

**ALEKSANDER KAMIŃSKI**

**KAMIENIE NA SZANIEC**

## **SPIS TREŚCI**

WSTĘP

SŁONECZNE DNI

W BURZY I WE MGLE

W SŁUŻBIE MAŁEGO SABOTAŻU

DYWERSJA

POD ARSENALEM

CELESTYNÓW

WIELKA GRA

UWAGI

NOTA EDYTORSKA

## WSTĘP

„Był w nim i bojowiec, i artysta, i skaut, i wychowawca, a przede wszystkim - Polak, Polak gorący, który - wydawało się - zrosł się z polską ziemią, który chodził jakby w gorączce, cały zasluchany, jak bije gdzieś w głębi polskiej ziemi polskie serce” - oto najkrótsza i najtrafniejsza charakterystyka Aleksandra Kamińskiego, autora Kamieni na szaniec. Aleksander Kamiński - twórca ruchu zuchowego w Polsce, wybitny działacz harcerski w dwudziestoleciu międzywojennym oraz naukowiec - jest również znakomitym pisarzem. Wszystko, co napisał Aleksander Kamiński: czy to będzie podręcznik dla instruktorów zuchowych, wspomnienie, opowiadanie czy rozprawa ściśle naukowa, jest zawsze autentyczne, bo głęboko przez autora przeżyte i przemyślane, i zawsze bardzo ucziwe.

Stanisław Broniewski: Całym życiem. Szare Szeregi w relacji naczelnika. Warszawa 1983, s. 101. Stanisław Broniewski, „Stefan Orsza”, „Witold”, „K. Krzemień” (ur. 1915), harcmistrz, ppor. AK, doc. dr hab. ekonomii, we wrześniu 1939 zaangażowany w Pogotowiu Harcerzy w Warszawie, w Szarych Szeregach od czerwca do września 1941 komendant Okręgu Południe w Chorągwi Warszawskiej, i w „Wawrze”, od 1941 do maja 1943 komendant Chorągwi Warszawskiej i Grup Szturmowych w Warszawie, od maja 1943 do października 1944 naczelnik Szarych Szeregów. Dowódca akcji pod Arsenalem. Autor wielu cennych prac o Szarych Szeregach.

Aleksander Kamiński (1903-1978) - związany z harcerstwem od roku 1922, komendant Chorągwi Mazowieckiej ZHP, w latach 1933-1939 kierownik Szkoły Instruktorskiej w Nierodzimiu i Górkach Wielkich na Śląsku Cieszyńskim. W latach 1945-1948 wiceprzewodniczący ZHP, a od 1956 do 1958 przewodniczący NRH. Od roku 1945 pracownik katedry pedagogiki społecznej Uniwersytetu Łódzkiego, a w latach 1962 - 1973 kierownik tego zakładu. Autor wielu prac z zakresu pedagogiki społecznej.

Kamiński wprawdzie sam podkreślał, że nie jest powieściopisarzem, że to, co pisze, jest relacją o wydarzeniach prawdziwych, a przecież doskonale konstruuje fabułę, potrafi zawsze utrzymać czytelnika w napięciu, a jego język jest barwny i obrazowy. Są w jego dorobku twórczym teksty tak znakomite, jakich nie powstydziliby się niejeden pisarz. Narodziny dzielności, Antek Cwaniak, Andrzej Małkowski, Zośka z Parasol - to tylko kilka tytułów książek, które zdobyły sobie już na stałe miejsce w polskiej literaturze dla młodzieży. Właśnie to, że wyrastają z autentycznych zdarzeń, że opowiadają o ludziach prawdziwych,

stanowi o ich walorach czytelniczych; w tej prawdziwości: historycznej, psychologicznej i moralnej tkwi istota pisarstwa Aleksandra Kamińskiego. Nie ma w nim fałszu i pustobrzmiących słów; autor pozostaje zawsze w zgodzie z tymi, o których pisze, i z samym sobą. Takie też są Kamienie na szaniec. Książka ta -tak bardzo popularna, że już dla kilku pokoleń Polaków stanowi lekturę obowiązkową, wynikającą jednak nie z nakazu szkolnego, lecz z czytelniczego wyboru - ma swoją niezwykłą historię. „Rosła” ona, rzec by można, w autorze, zanim jeszcze została napisana. Kamiński bowiem od pierwszych dni okupacji był wszechstronnie związany z konspiracją, jako współtwórca wielu inicjatyw, które w sposób znaczący wpłynęły na kształt życia podziemnego w okupowanej Warszawie. Przede wszystkim redagował „Biuletyn Informacyjny”, najpoczytniejsze pismo konspiracyjne, wychodzące w Warszawie już od 5 listopada 1939 roku aż do Powstania Warszawskiego, a następnie jako dziennik powstańczy do zakończenia działań bojowych w śródmieściu stolicy. Od roku 1941 był szefem Biura Informacji i Propagandy, a także twórcą i komendantem Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”.

„Wawer” miał bardzo ścisły związek z Szarymi Szeregami. Aleksander Kamiński wykorzystał bowiem w organizowaniu małego sabotażu metodykę pracy harcerskiej.

Do „Wawra” więc ściągnęły duże gromady młodzieży harcerskiej, pragnącej w sposób zorganizowany brać udział w walce z okupantem; tu właśnie spotkali się z „Kamykiem” Tadeusz Zawadzki, Jan Bytnar, Aleksy Dawidowski - późniejsi bohaterowie Kamieni na szaniec. Znakomity pedagog, rozmiłowany w idei harcerskiej, szybko zżył się z warszawskim środowiskiem szaroszeregowym i stał się w nim postacią popularną. Młodzież знаła go z książek i publikacji prasowych, a we władzach harcerskich byli jego przyjaciele: pierwszy naczelnik Szarych Szeregów: Florian Marciniak, Juliusz Dąbrowski, współautor znanej książki Jeden trudny rok, Leszek Domański (Zeus z Kamieni na szaniec) i inni.

Stanisław Broniewski, drugi po Marciniaku naczelnik tajnego harcerstwa, w swej relacji o Szarych Szeregach, zatytułowanej Całym życiem pisze, że wśród młodzieży szaroszeregowej początkowo najpopularniejsza była książka Aleksandra Kamińskiego Andrzej Malkowski - lecz młodzi pragnęli książki dla siebie i o sobie, książki o harcerskiej konspiracji. Przykładał też do jej powstania dużą wagę Florian Marciniak i taką książkę miał napisać Kamiński. Zimą 1941/1942 powstała Wielka gra ucząca młodego człowieka tak żyć w warunkach niewoli, aby zachować wewnętrzną wolność; została ona uznana za książkę Bojowych Szkół. W roku 1942 wyszedł spod pióra Aleksandra Kamińskiego Przodownik - adresowany do młodych drużynowych „Zawiszy”, książkę dla Grup Szturmowych podyktowało Kamińskiemu życie. Tamże podziemne władze wojskowe zarządziły, już w

czasie kolportażu Wielkiej gry, konfiskatę książki, uważając, iż jest zbyt czytelna w opisywaniu metod konspiracji i w wypadku dostania się w ręce wroga może stanowić zagrożenie dla polskiego podziemia.

W nocy z 22 na 23 marca 1943 roku gestapo aresztowało Jana Bytnara - Rudego.

Harc mistrz Bytnar był hufcowym Hufca Południe, dowódcą plutonu Grup Szturmowych, podporucznikiem AK. Wiadomość o jego aresztowaniu i szczególnie okrutnym torturowaniu spowodowała, że wśród przyjaciół Rudego szybko dojrzało postanowienie odbicia kolegi. 26 marca w czasie słynnej akcji pod Arsenalem, dowodzonej przez Stanisława Broniewskiego, ówczesnego komendanta chorągwi warszawskiej Szarych Szeregów, uwolniono Jana Bytnara oraz grupę innych więźniów przewożonych z alei Szucha do więzienia na Pawiaku. Ale „Rudego” nie dało się już ocalić, jego stan - po przeżytych na Szucha torturach - był beznadziejny.

Zmarł 30 marca 1943 roku, w tym samym dniu zakończył życie Aleksy Dawidowski - Alek, ranny w brzuch podczas odbijania Rudego; 2 kwietnia zmarł jeszcze jeden z uczestników akcji. Wypadki te legły u genezy Kamieni na szaniec. Relację o nich otrzymał Kamiński od bezpośrednich uczestników akcji, od przyjaciół Alka i Rudego, a przede wszystkim od Stanisława Broniewskiego. Przeżył to wraz z całym środowiskiem szaroszeregowym jako wielki wstrząs. I to był bezpośredni impuls do wzięcia pióra do ręki. Ale nie jedyny. Pozostał bowiem wkrótce po tragicznych wypadkach niezwykle dokument, jakim był pamiętnik Tadeusza Zawadzkiego - Zośki, który dotarł do Aleksandra Kamińskiego. I o tym dokumencie szerzej. Po śmierci przyjaciół Zośka był w fatalnym stanie psychicznym - był bliski załamania.

Wówczas jego ojciec, profesor Józef Zawadzki, namówił go do napisania wspomnień.

Opisuje to w Kamieniach na szaniec autor następująco: Akcja ta została szczegółowo opisana przez Stanisława Broniewskiego w książce: Pod Arsenalem.

„Na wieś wyjechali we trójkę: ojciec, syn i Hania, siostra Zośki. Hania była o dwa lata starsza od brata i siedziała również gdzieś w konspiracji. Zośka pisał, chodził na spacer z Hanią lub ojcem. Wspomnienia o Rudym zajęły mu około dwudziestu stron maszynopisu. Pisząc przeżywał od nowa wszystko, co zaszło.

Profesor, ojciec Zośki, przewidywał Jednak dobrze: były to wspomnienia wyzwalające. Gdy Zośka skończył - zaczął się czuć wyraźnie lepiej. Wspomnieniom swym nadał tytuł „Kamienie rzucone na szaniec”. Kiedy w parę tygodni potem spotkał się w Warszawie z kimś, kto pragnął napisać książkę o Alku i Rudym - Zośka uporczywie nakłaniał do dania tej książce tytułu swoich wspomnień:

„Kamienie rzucone na szaniec.” Ten „ktoś” -! to był oczywiście Aleksander Kamiński. Tak więc pamiętnik Zośki był drugim źródłem inspiracji oraz informacji dla pisarza. W Uwagach, do Kamieni na szaniec autor napisał, że książka we wszystkich szczegółach oparta została na rzeczywistych wydarzeniach, że stanowi dokument, któremu nadano formę opowieści. Jest to jednak dokument niezwykle: istotnie nie ma w Kamieniach na szaniec fikcji literackiej, autor jest wyjątkowo wierny realiom, jednocześnie akcja biegnie tak wartko, rysunki postaci są tak przekonujące i tak piękne, że czasem aż trudno uwierzyć że to życie samo - a nie literatura. Kamienie na szaniec zawierają jednak tylko prawdę i to - rzecz by można - prawdę wielokrotną. Po pierwsze: fakty. Wszystkie zostały potwierdzone przez historyków, nawet w szczegółach. Pisarz każde zdarzenie zawsze bardzo dokładnie lokalizuje i w czasie, i w przestrzeni. Można z tą książką wędrować po Warszawie, śladami jej bohaterów; bez trudu odnajdziemy ulice, domy i miejsca opisane przez Kamińskiego, bo jest to nie tylko opowieść o ludziach, ale i o mieście. Warszawa żyje w Kamieniach; żyją jej ulice, place i mury. To one są przecież najbliższymi świadkami tego, co robią Szare Szeregi. Związanie tak bliskie akcji z konkretnymi miejscami jest ważne w aspekcie literackim, gdyż ukonkretnia wszystkie wydarzenia fabularne. Znamy zawsze miejsce i czas wydarzeń opisywanych przez autora. Drugim elementem ukonkretniającym wydarzenia jest czas. Pierwsza data, pojawiająca się w Kamieniach na szaniec, stanowiąca niejako ich przedakcję, to czerwiec 1939, natomiast rozdział W burzy i we mgle, otwierający czas akcji Kamieni na szaniec rozpoczyna zdanie: „Wrzesień 1939 roku był jednym z najstraszniejszych polskich miesięcy”. Rozdział: W służbie Małego Sabotażu zaczyna się wiosną 1941, a Dywersje, kolejny z rozdziałów, otwiera zdanie „Listopad 1942 był przełomowym miesiącem drugiej wojny światowej”. Pod Arsenalem rozpoczyna się w przeddzień aresztowania Rudego - 22 marca 1943 roku.

Celestynów - rozdział siódmy opisuje wydarzenia po śmierci Jana Bytnara - autor informuje, że jest to maj 1943 roku; dwudziestego dnia tego miesiąca Zośka kieruje akcją odbicia transportu więźniów jadących pociągiem, czytelnik zna nawet godzinę, w której pociąg zbliża się do Celestynowa. Wielka gra - ostatni rozdział książki, otwierają słowa: „Mijały letnie miesiące 1943 roku” - zamyka opis śmierci Tadeusza Zawadzkiego, w dniu 21 sierpnia -1943 roku. Autor musiał celowo z wielkim pietyzmem traktować każdy szczegół, jakby świadom, że Kamienie na szaniec staną się pierwszą lekcją historii konspiracyjnego harcerstwa dla wielu pokoleń Polaków. Że zaś ta lekcja była tak bohaterska, że aż niezwykła, musiał ją solidnie udokumentować. Odpierał tym samym możliwość ataków dotyczących przerysowania postaci, przesady i upiększania historii. Prawdziwa jest także książka w

warstwie psychologicznej. Znać na każdej karcie, że autor był pedagogiem o dużej wrażliwości i ogromnym doświadczeniu w pracy z młodzieżą.

W Kamieniach na szaniec wszystkie postacie, tak pierwsze- jak i drugoplanowe są autentyczne, noszą swoje prawdziwe nazwiska i prawdziwe pseudonimy konspiracyjne. Ale to jeszcze nie wyczerpuje kwestii ich prawdziwości psychologicznej, gdyż trudniej jest utrwalić na kartach książki człowieka rzeczywistego, tak aby był postacią żywą i prawdziwą, niż stworzyć postać literacką. Młodzi, opisani w Kamieniach na szaniec - są tacy, jacy byli naprawdę. Alek, Rudy, Zośka, Leszek Domański, Andrzej Zawadowski, czy Jaś Wuttke mówią swymi własnymi słowami, dzielą się swymi prawdziwymi przeżyciami, ich gesty, zachowania, wygląd zewnętrzny utrwalone zostały z najczulszą dokładnością. Są żywi. I w takim ich rysunku psychologicznym tkwi Jeden z sekretów popularności książki. W rozdziale pierwszym autor dokonuje prezentacji swych bohaterów. Każdego z nich przedstawia na tle grupy rówieśników i domu rodzinnego; ukazuje świat wewnętrzny oraz sposób bycia, zainteresowania, ambicje życiowe, a także wygląd zewnętrzny. W każdej charakterystyce zawarte zostały te same elementy, ale za każdym razem całość ukształtowana została inaczej.

Później, na kartach książki widać dojrzewanie młodych. Wraz z Alkiem, Rudym i Zośką dojrzewa całe pokolenie; widać, jak kształtują się nowe cechy charakterów, jak zmienia się świat wyobraźni, jak w ich młode życie wkraczają takie pojęcia, jak: odwaga i rozwaga, odpowiedzialność, honor, wróg, niebezpieczeństwo, śmierć.

Wspomniano już wcześniej o pamiętniku Tadeusza Zawadzkiego - stanowi on nieoceniony dokument -pozwalający prześledzić właśnie zagadnienie konstrukcji postaci i wydarzeń w Kamieniach na szaniec. Kamiński czerpał z pamiętnika obficie: wprowadził go do książki w postaci cytatów oznaczonych cudzysłowem (wtedy do czytelników mówi sam Tadeusz Zawadzki), wydobyl z niego wszystkie informacje o swych bohaterach (na przykład o ich lekturach), o ich reakcjach, przemyśleniach, ukazał, jak się rodziła i pogłębiała ich przyjaźń, zainteresowania oraz plany życiowe. Zestawmy dla przykładu dwa fragmenty opisujące ten sam moment: pożegnania przyjaciół przed aresztowaniem Rudego:

Pamiętnik:

„Rano w poniedziałek przygotowanie do ewakuacji Sosnowej, a po południu odprawa starszego harcerstwa ze Stefanem I znowu z wielkim, przejęciem poruszany był temat wódzów i wychowania przez wzajemne oddziaływanie, gdy Jednak odprowadzał mnie ze Stefanem do domu, mówił: - Nie mam JUŻ teraz żadnych żartów, choćbym nawet chciał - nie mam. Teraz Tadeusz wciąż musi się czymś martwić. Wieczorem zadzwoniłem do niego: leżał już w łóżku, na bosaka podszedł do telefonu, umówiliśmy się na godzinę ósmą rano

przed fontanną. Krótkośmy rozmawiali.

Dobranoc - powiedział i położył słuchawkę”.

Kamienie na szaniec:

Popołudnie 22 marca 1943 roku spędził Rudy ze swym najbliższym przyjacielem.

Skończyli przygotowanie do przenoszenia dużego magazynu materiałów wybuchowych, brali udział w dyskusji na temat podjętej w owym czasie przez Szare Szeregi akcji stworzenia porozumienia międzyorganizacyjnego konspiracyjnych organizacji młodzieżowych i teraz szli do domów. Rudy odprowadzał Zośkę. Rozmawiali o sprawie ostatnio bardzo ich obchodzącej: o formowaniu osobowości- przez wzajemne oddziaływanie: analizowali dodatnie i ujemne wpływy. Jakie na siebie wywierają.

Zbliżała się godzina policyjna, trzeba się było rozstać. Rudy był bardzo ożywiony i pogodny. - Nie mam teraz żadnych zmartwień - mówił do przyjaciela - Choćbym nawet chciał, nie mam. Teraz ty musisz się zacząć czymś martwić Wieczorem przed snem Zośka zatelefonował do Rudego. W ostatnich miesiącach czuli się ze sobą wyjątkowo dobrze, zgadzali w poglądach na świat, na wypadki, na ludzi. Pasjonowały ich te same zadania. Zapatrzeni byli w te same rzeczy nieuchwytnie a tak ważne, że mały wobec nich wszystkie inne problemy życia.

Wymiana najbliższych zdań sprawiała im przyjemność, Zośka telefonował bez żadnego powodu - ot tak, żeby powiedzieć dobranoc. Rudy leżał już w łóżku i na bosaka przybiegł do telefonu. - Dobranoc - odpowiedział przyjacielowi.

Przy - nawet pobieżnej - lekturze zestawionych wyżej fragmentów widać wyraźnie, jak bardzo pisarz jest wierny realiom, uściśla je niekiedy, podając na przykład datę, charakteryzując bliżej przedmiot dyskusji itp. Wszystkie wypowiedzi Rudego zostały przytoczone dosłownie, i nawet tak drobne szczegóły jak ten, że Janek Bytnar podbiegł boso do telefonu, przeniósł pisarz do książki. Rozbudowana natomiast została w Kamieniach na szaniec charakterystyka postaci: autor bardzo wnikliwie analizuje stan psychiczny swych bohaterów, pięknie opisuje ich przyjaźń, zdając sobie sprawę, że to wszystko będzie później stanowiło klucz do zrozumienia postępowania Zośki w dalszych partiach opowieści. Pamiętnik stał się niejako konspektem najważniejszego rozdziału książki: Pod Arsenalem. Dzięki niemu zobaczył Aleksander Kamiński postać Rudego w oczach przyjaciela oraz autocharakterystykę Zośki, świadom, że człowiek pisząc o innych, pisze także zawsze o sobie. Dla opisanie sceny pod Arsenalem i tego wszystkiego, co po niej nastąpiło, pamiętnik Zośki stanowił źródło podstawowe. Widać to doskonale w opisach zachowania Janka Bytnara, już po odbiciu, a także w relacji o samym przebiegu akcji. Także scena śmierci Jana



Bytnara - tak patetyczna i zdawałoby się wskroś literacka, jest sceną autentyczną; naprawdę tak umierał Rudy.

Wprawdzie w pamiętniku Zośki nie został utrwalony ów moment, gdy umierający recytuje Testament mój Juliusza Słowackiego, ale według relacji wiarygodnych świadków, było właśnie tak, jak zostało opisane w Kamieniach na szaniec. Scena ta bowiem ma swoje bardzo głębokie uzasadnienie w specjalnym kulcie Słowackiego wśród młodzieży szaroszeregowej (żywy był on przecież w legionach Piłsudskiego, których legenda robiła na tym pokoleniu tak wielkie wrażenie). W przededniu aresztowania Rudego, właśnie podczas odprowadzania Zośki do domu przez Janka Bytnara i Stanisława Broniewskiego, rozmawiano o książce Karola Koźmińskiego:

Kamienie na szaniec - były to życiorysy kilku legionistów. Podobny tytuł - jak już wspomniano - Kamienie przez Boga rzucone na szaniec dał swym wspomnieniom Tadeusz Zawadzki. A w rok po wydarzeniach pod Arsenalem komendant „Ula” 12 Jan Rossman, kończył swój „Rozkaz L. 9/4” słowami: „Wojna trwa, walka jest nie zakończona; niech jej przyświecają te same słowa, które prowadziły bohaterów Pomarańczarni, słowa z „Testamentu” Juliusza Słowackiego: Niechaj więc żywi nie tracą nadziei...

A jeśli trzeba na śmierć idą po kolei Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec” „Tytuł książki spinał więc klamrą całą fabułę: wyrastał z przeżyć jednego z jej bohaterów, z atmosfery, jaką żyło całe pokolenie, zawierał ponadto w sobie pewną głębszą, metaforycznie ujętą myśl, będącą wskazaniem dla żyjących i utwaleniem pamięci o zmarłych. Sam Zośka najgoręcej namawiał Kamińskiego do nadania książce właśnie takiego tytułu, także inni szaroszeregowi przekonywali autora, mającego początkowo pewne opory, do Kamieni na szaniec. Zaznaczmy jednak, że wydarzenia, które nastąpiły po odbiciu Rudego, ukazał Kamiński w pewnym skrócie. Mianowicie, nie przedstawił zmian miejsca pobytu rannego, przenosin z ulicy Ursynowskiej na ulicę Kazimierzowską, a następnie do szpitala Wolskiego. W Kamieniach, na szaniec Rudy cały czas przebywa w jednym miejscu: na Mokotowie. W ten sposób powstała bardzo spoista scena, o dużym napięciu dramatycznym, a równocześnie delikatnie zabarwiona liryzmem, jedna z najbardziej przejmujących w książce. Jest w niej autor wierny wszystkim realiom zawartym w pamiętniku, stwarzając przy tym niezwykle nastrój, wynikający z wielkiego zaangażowania uczuciowego narratora. W takim przedstawieniu jednego ze zwrotnych momentów akcji pokazał Kamiński swoje znakomite wyczucie spoistości fabularnej; nagromadzenie szczegółów związanych z opisywaniem przenoszenia rannego osłabiłoby dramatyzm tej sceny. Nie szkodząc więc prawdzie historycznej, złączył wszystko w jedną całość, wyzyskując napięcie dramatyczne tkwiące w

opisywanych wydarzeniach, tak aby czytelnik długo pozostał pod wrażeniem ostatnich chwil Rudego, aby miał wrażenie, że był ich świadkiem. Natomiast śmierć Alka Dawidowskiego, w szpitalu Dzieciątka Jezus, stanowiąca scenę poprzedzającą odejście Rudego, w niczym już nie odbiega od faktycznych wydarzeń. I ten fakt ma również swoje istotne uzasadnienie. Obaj zmarli w tym samym dniu. Sceny śmierci sąsiadują ze sobą w książce, tak jak wydarzenia sąsiadowały w życiu. Ale każda z nich pełni inną funkcję ideową. Śmierć Alka jest śmiercią żołnierską, w pewnym sensie normalną w istniejącej sytuacji, z taką śmiercią jego koledzy z Szarych Szeregów są w stanie - choć z wielkim bólem - pogodzić się, bo widzą ważny sens tej ofiary. I dlatego scena ta stanowi przygotowanie do tego, co nastąpi, bo śmierć Janka Bytnara - jest śmiercią ofiary. Kamiński nie waha się więc - a jest to pisarz o wielkiej kulturze literackiej - przed naturalistycznym opisem wyglądu Rudego, po katowaniu na Szucha; opisuje też szczegółowo straszne męczarnie towarzyszące umieraniu i to wszystko potęguje tragizm losu Rudego: zadręczonego w bestialski sposób na śmierć. Zrozumiała staje się teraz reakcja kolegów, bezradnych wobec cierpień przyjaciela; chęć wymierzenia kary tym, którzy zakatowali Janka Bytnara. Zrozumiałe też staje się ich szybkie wewnętrzne dojrzewanie, gdyż tego typu przeżycia uczą pokory wobec ludzkiego cierpienia a zarazem poczucia wielkiej odpowiedzialności za życie drugiego człowieka.

Kamienie na szaniec są także opowieścią o wzrastaniu młodych, o przemianach wewnętrznych towarzyszących dojrzewaniu, ukazując, jak z młodości wchodzi się w wiek męski. Bohaterów książki poznajemy w momencie, gdy młodość jeszcze prawie graniczy z dzieciństwem. Właśnie zdali maturę i pragną zdobywać cały świat. Byli uczniami jednej z najlepszych szkół średnich w Warszawie: „Batorego”, wielu z nich miało wybitne uzdolnienia, mieli otwarte głowy i wysokie aspiracje życiowe.

Uczniem tej szkoły był właśnie Krzysztof Kamil Baczyński - współkolega bohaterów Kamieni na szaniec. Należeli do 23 Warszawskiej Drużyny Harcerzy, która znana była ze znakomitej atmosfery i wspaniałego drużynowego: harcemistrza Leszka Domańskiego. -W książce środowisko szkoły i drużyny zostało ukazane bardzo interesująco. Od tej charakterystyki rozpoczyna autor Kamieni opowieść tak, aby móc swych bohaterów przedstawić od razu na tle pewnej zbiorowości. Tę metodę zresztą stosuje Kamiński w całej książce, łącząc elementy charakterystyki socjologicznej z psychologiczną. Dzięki temu poznajemy domy rodzinne bohaterów, ich rodziców, rodzeństwo, nauczycieli i przełożonych harcerskich. Po takim „zwiadzie środowiskowym” prezentuje Kamiński swoich bohaterów: kreśli ich wygląd zewnętrzny, charakteryzuje upodobania, przedstawia zalety i wady. Charakteryzuje ich bezpośrednio poprzez relację narratora oraz pośrednio, głównie ukazując

w działaniu. Czasem wykorzystuje pisarz bardzo drobny szczegół, coś na pozór zupełnie banalnego, dla wzbogacenia sylwetki psychicznej bohatera. Przykładem jest epizod związany z kupieniem skórzanej kurtki przez Alka. Ten incydent pokazuje jeszcze pewną dziecinność bohatera, a zarazem sprowadza go do bardzo ludzkich wymiarów, tym samym jego postać staje się czytelnikowi bliższa.

Wprowadza pisarz także taką motywację postępowania bohaterów, aby już niejako z góry przygotować czytelnika do roli, jaką Alek, Rudy i Zośka mają później odegrać w Szarych Szeregach. Kreacja postaci bohaterów jest w Kamieniach na szaniec sprawą niezwykle ważną; czytelnik bowiem musi już na początku opowieści ich polubić, uwierzyć w ich prawdziwość, dostrzec w nich żywych młodych ludzi: niezwykłych a jednak bardzo bliskich. Tak też się stało. Talent pisarski Aleksandra Kamińskiego i jego wiedza pedagogiczna zaowocowały znakomicie właśnie w tej warstwie opowieści. Szczególnie pierwszy rozdział Kamieni zawiera sporo wiedzy pedagogicznej, psychologicznej i socjologicznej, a przecież ani przez moment nie odczuwa się tego jako nużącego balastu erudycyjnego. O sprawach bardzo ważnych, czasem tragicznych, niejednokrotnie nawet patetycznych, pisze Aleksander Kamiński zawsze prosto, ma dar jasnego, zwięzłego i bardzo przekonującego ujmowania spraw trudnych i to także stanowi cechę jego całego pisarstwa. Wspomniano już, że w Kamieniach na szaniec ukazano dojrzewanie pokolenia. Wraz z tym procesem pojawiają się problemy towarzyszące odchodzeniu od beztrudności młodości. Wszystkie te niełatwe zagadnienia wprowadził pisarz na karty książki: bądź to w formie dyskusji toczącej się między młodzieżą harcerską, bądź też w formie przemyśleń poszczególnych postaci. Jednym z takich trudnych problemów jest sprawa zabijania wroga; to ona właśnie będzie spędzać sen z powiek Alka. A wyraz oczu umierającego esesmana będzie niepokoił Rudego. W takim przeżywaniu problemów czasów okupacji też zostało przedstawione dojrzewanie, które jest nie tylko nabywaniem odwagi, męstwa, twardości charakteru, ale także pogłębiającą się wrażliwością moralną. Mieści się w niej poczucie odpowiedzialności za dom rodzinny, mądre pojęte koleżeństwo, uczciwość w ocenianiu samego siebie. W akcję książki wplótł autor bardzo wiele interesujących dyskusji. Prowadzone są one jeszcze z młodzieńczym zacietrzewieniem, ale zarazem z dużą ostrością w widzeniu spraw. Jedną z najciekawszych jest rozmowa z ojcem Zośki na temat niebezpieczeństw i wypaczeń, jakimi grozi kombatantwo. Są też i inne: o konieczności przebudowy charakteru Polaków, o czasach, które nadejdą po zakończeniu wojny, o etyce walki, potrzebie samokształcenia. Stanowią one jakby drugi, głębszy nurt Kamieni na szaniec ukazujący najpełniej motywację poczynań bohaterów. Bez niego książka stałaby się płytką,

sensacyjną powieścią, choćby nawet opowiadała o tych samych ludziach i wydarzeniach. Jednak tracąc całą aurę moralną i patriotyczną, towarzyszącą wszystkim poczynaniom bohaterów - straciłaby swój niepowtarzalny charakter.

Właśnie pojęcie walki i służby, które w naturalny sposób realizują w codziennym życiu Alek, Rudy i Zośka, wywodzą się z tego drugiego nurtu Kamieni na szaniec.

I tak dochodzimy do nazwania trzeciej prawdy zawartej w książce Aleksandra Kamińskiego, tkwi w niej pewien imperatyw moralny, nakazujący splecenie osobistego życia z losami narodu. „To poszukiwanie nowych dróg walki i służby było cechą charakterystyczną nie tylko Buków, lecz wszystkich czynnych elementów społeczeństwa polskiego w jesieni i w zimie” - pisze autor w drugim rozdziale Kamieni. A więc harcerze z Pomarańczarni nie zachowują się jakoś wyjątkowo, ale tak jak wszyscy, jak cały naród i dlatego decyzja podjęcia walki nie jest umotywowana chęcią przeżycia przygody, lecz moralnym nakazem chwili. Ci chłopcy, których przedstawił autor w rozdziale pierwszym, nie mogli w momencie zagrożenia Ojczyzny zareagować inaczej, ich postępowanie było logicznym następstwem tego, jak ich ukształtowały: dom, szkoła i harcerstwo. Nie byli wcale pokoleniem straceńców, obca im była wszelka desperacja, czy katastroficzne nastroje. Byli prawdziwie młodzi: potrafili się bawić uczyć, kochać, pasjonować wieloma sprawami, ale ponadto, był w nich głęboko zakorzeniony kodeks norm moralnych.

Wiedzieli, co to znaczy patriotyzm i mieli „szczerą wolę całym życiem służyć Bogu i Ojczyźnie”, rozumieli, że rodzicom należy się szacunek, położonym posłuszeństwo, a zmarłym pamięć i modlitwa. O tym nigdy nie dyskutowali - to po prostu w nich było. Są także w Kamieniach na szaniec elementy przygody, ryzyka, niebezpieczeństwa. Jest groźny przeciwnik, którego pokonanie wymaga odwagi i mądrości. W takim przedstawieniu wroga tkwi także jeden z walorów książki.

Niemców nie pokazano w niej, jako głupiego, łatwego do zwyciężenia okupanta, co jest cechą tylu książek o tematyce wojennej. Niemcy w Kamieniach są mądrzy, przebiegli i okrutni. Przez to bohaterowie muszą działać rozważnie i mądrze.

„Przyjemnie mieć do czynienia z przeciwnikiem rzutkim i pomysłowym! Dużą satysfakcją jest mu się nie dać, odparować, uderzyć go w czułe miejsce.

Szczególnie, gdy przeciwnik jest zbrojny w potężne środki, samemu zaś rozporządza się tylko kredą i małą nalepką.” Is Pisze Aleksander Kamiński o akcji małego sabotażu. Walka z takim wrogiem jest poważną, męską próbą sił.

Najwięcej elementu przygody znajduje się właśnie w rozdziale W służbie Małego Sabotażu. Pomysłowość młodzieży sprawia, że chwilami czytelnik odnosi wrażenie, że to

wielka harcerska gra: wymagająca odwagi, spostrzegawczości, szybkiego refleksu, sprytu i nieco poczucia humoru. Fakt, że bohaterowie ocierają się o realne niebezpieczeństwo, dodaje tej grze tylko atrakcyjności - ale jeszcze nie przeraża. Groza pojawi się dopiero w następnych rozdziałach. Ale ta przygoda, która jest wciąż obecna w Kamieniach na szaniec, jest zarazem szkołą charakterów. Właśnie przeżywając tę przygodę wawerczycy uczyli się punktualności, posłuszeństwa, rzetelności i uczciwego stosunku do obowiązków, uczyli się i tej trudnej prawdy, że odwagą musi kierować rozsądek. Świadomość tego stwarzała szansę powodzenia wszelkich zamierzeń - tak efektownie wyglądających wyczynów szaroszeregowej młodzieży. Przy pobieżnej lekturze czytelnikowi może się wydawać, że to przypadek i fantazja decydowała o powodzeniu w rysowaniu kotwic, zrywaniu flag hitlerowskich, malowaniu haseł na murach Warszawy. Wszystkie te akcje są prowadzone z rozmachem, pełne emocji i znakomicie trzymają czytelnika w napięciu. Wystarczy jednak zacząć czytać nieco uważniej, by dostrzec, jak niezwykle sumiennie Zośka planuje każdą akcję, jak stara się wyeliminować każde, potencjalne niebezpieczeństwo, przewidzieć rozwój sytuacji. Nie osłabia to jednak wcale dynamizmu książki, wypadki toczą się bardzo szybko, zawierają w sobie zawsze element niespodzianki - jednak nie rządzi nimi ślepy przypadek. Jest w końcu w Kamieniach na szaniec także stopniowanie emocji: mały sabotaż jest przygotowaniem do dywersji, dywersja przygotowuje do odbicia Rudego, to zaś do równie dramatycznych i coraz trudniejszych akcji, także do śmierci innych bohaterów książki. Przygotowuje zresztą wielorako: stopniuje napięcie, bo przygoda staje się coraz bardziej niebezpieczna, ale też bohaterowie są coraz dojrzalsi: z młodzińskiej przygody przechodzą do twardej męskiej walki. Są pełni zapału, bawi ich mały sabotaż, ale coraz bardziej narasta w nich pragnienie podjęcia otwartej walki z okupantem. I tak dochodzimy do akcji pod Arsenalem, która stanowi moment zwrotny dla dalszego rozwoju wypadków. Oto odchodzą Alek i Rudy - ich wielka gra skończyła się śmiercią, jakiś rozdział w dziejach Szarych Szeregów został zamknięty. Ze względu na duży ładunek napięcia emocjonalnego u uczestników wydarzeń moment odbicia Rudego posiada wszelkie cechy punktu kulminacyjnego; będą wprawdzie później jeszcze inne akcje, inne starcia z wrogiem, po których też opłakiwać się będzie poległych kolegów, ale będzie to jednak przede wszystkim jawna walka z Niemcami. Starcie pod Arsenalem jest czymś innym, bo ma inny cel: nie jest rozrachunkiem, lecz ratowaniem przyjaciela, i ten fakt stwarza specyficzny klimat, w którym jest coś z romantycznego mierzenia sił na zamiary. Napięcie tej sceny wzrasta w momencie odwołania pierwszego przygotowania do odbicia Janka Bytnara, by osiągnąć swój szczyt wówczas, gdy zapadnie decyzja pozytywna. Teraz wypadki toczą się już błyskawicznie, przybliżając chwilami

Kamienie na szaniec do sensacyjnej powieści, jednak bohater, którym jest teraz pewna zbiorowość, nie posiada żadnej z cech awanturniczej postaci. Podstawowa sprawa nie zostaje ani na moment zepchnięta na plan drugi utworu. Autor z dużym powodzeniem połączył w tej scenie przygodę z realiami historycznymi i pogłębioną refleksją psychologiczną. Wspomniano już o wzrastającym napięciu w czasie odwołania akcji uwolnienia więźnia. Do tej sceny trzeba jeszcze na moment powrócić. Oto czytelnik jest już przygotowany do ocalenia Rudego przez przyjaciół. Wszystko zostało sumiennie opracowane, a świadomość, iż liczy się każda chwila, wywołuje wrażenie konieczności odbicia w tym momencie. I właśnie wtedy akcja zostaje odwołana. „Tuż przed godziną przejazdu samochodu więziennego Zośka dostaje rozkaz: rozładować akcję. Mieni się cały na twarzy, przeżywa straszliwy wstrząs.

Jest już jednak tak wyrobiony i karny, że zdejmuje ludzi z posterunków. Ledwo skończył, ulicą przejechała więźniarka z Szucha” „. Widoczne są wówczas wielkie zmagania wewnętrzne Zośki między pragnieniem ratowania przyjaciela a koniecznością wykonania rozkazu. Do zrozumienia postawy Zośki czytelnik został przygotowany od pierwszych kart książki. Harcerstwo zawsze było szkołą posłuszeństwa, Wawer zaś wzbogacił to jeszcze o umiejętność panowania nad sobą - nawet wbrew sobie. Dlatego Zośka wie, że musi odwołać akcję. Mimo tego jednak ani napięcie emocjonalne nie opada, ani nie mija nastrój oczekiwania. Potem już wypadki potoczą się błyskawicznie. „Z nami to jak z lasem, Haniu. To i tamto drzewo pada pod siekierą, a tymczasem cały las rośnie i pnie się ku górze... - powiedział Tadeusz Zawadzki do swej siostry w jakiś czas po śmierci przyjaciela.

Pokazując młodsze pokolenie harcerzy takich, jak:

Andrzej Romocki (Morro), Janek Gutt, Jerzy Tabor (Pająk) i innych, łagodni pisarz tragiczną wymowę książki, kończącej się śmiercią Zośki. Wydawać by się mogło bowiem, że odejście Alka, Zośki, Rudego, Felka Pendelskiego, i innych stworzy w Szarych Szeregach wyrwę nie do wypełnienia, że coś się w tych, którzy pozostali, załamało i odbierze sens temu wszystkiemu, czym żyli wcześniej. Zbyt wytrawnym był jednak Kamiński pedagogiem, by książce dla młodzieży nadać wymowę pesymistyczną. Dlatego opowieść o „ludziach, którzy... w życie wcielić potrafili dwa wspaniałe ideały: braterstwo i służbę” nie kończy się, lecz urywa - tak jakby pisarz musiał odłożyć pióro, bo nadszedł znów czas działania. Píše wyraźnie: „Walka trwa. Trzeba przerwać tę opowieść”. Przerwać, to jednak nie skończyć, bo jeszcze nic się nie skończyło; walkę podjęli młodszy koledzy Alka, Rudego, Zośki. Kamiński nie zamyka więc swej książki, czyni ją otwartą, zapowiadając tym samym ciąg dalszy wydarzeń. Gdyby jednak wcześniej nie pojawił się w Kamieniach na szaniec problem szybkiego dorastania młodszej Pomarańczarni, gdyby nie pojawił się Andrzej Morro, tak

podobny pod pewnymi względami do Tadeusza Zawadzkiego, to wówczas wraz ze śmiercią głównych bohaterów akcja zamykałaby się nieodwołalnie. Ten proces szybkiego dorastania ludzi został zarysowany w Kamieniach bardzo wcześnie. Na oczach czytelnika, niemal od pierwszych kart książki, rośnie młodsza Pomarańczarnia, a ci, którzy dochodzą z zewnątrz (na przykład Andrzej Morro z PETu), szybko się wtapiają w jej szeregi.

W bardzo pięknym porównaniu Szarych Szeregów z rosnącym lasem uchwycone zostało to zjawisko nadzwyczaj trafnie. Jest to głęboka i niebanalna refleksja dotycząca wartości nieprzemijających, ponadczasowych, które nie przepadają nawet wówczas, gdy ginie człowiek, który nosił je w sobie; podejmują je natychmiast młodszy, ukształtowany przez system tych samych wartości i ideałów. Problem ten sięga zresztą jeszcze w dalszą przyszłość. Zmarli żyli jeszcze długo w wiernej pamięci przyjaciół, ich imiona nosiły harcerskie bataliony walczące w Powstaniu Warszawskim. Dalsze życie zapewniła im literatura, dzięki książce Aleksandra Kamińskiego pokolenie „późnych wnuków” wybiera Zośkę, Rudego, Alka jako bohaterów drużyn harcerskich. Siła sugestii pisarskiej sprawiła, że postacie bohaterów Kamieni na szaniec jakby wyszły z książki i rozpoczęły nowe życie.

Książka utrwaliła czas i ludzi, uratowała ich od zapomnienia. Las, o którym mówił Zośka do swej siostry, jest wciąż żywy i zielony.

Kamienie na szaniec należą do literatury faktu; beletryzacja ma w nich charakter bardzo subtelny, a głównym celem pisarza jest stworzenie wiarygodnej relacji o ludziach i wydarzeniach prawdziwych. Ten typ literatury rozwinął się bardzo bujnie po wojnie, stając się trwałym dokumentem swoich czasów. Książka Kamińskiego łączy w sobie elementy opowieści reportażowej i harcerskiej gawędy.

Reportażowość uwidacznia się w dążeniu do stworzenia bardzo szczegółowo udokumentowanej relacji o warszawskich Szarych Szeregach. Autor pisze prawie wyłącznie o ludziach, których znał osobiście, i o wydarzeniach, w których osobiście uczestniczył, bądź też znał z opowiadań wiarygodnych świadków.

Wprowadził jednak dość rozwinięty komentarz narratora, obszerne charakterystyki psychologiczne bohaterów, łącząc w ten sposób techniki reportażowe z narracją literacką. Książka pisana była na gorąco, bezpośrednio pod wpływem przeżytych wypadków, bez dystansu wobec opisywanych wydarzeń. To zadecydowało, że jest ona jednak czymś więcej niż opowieścią reportażową. Aleksander Kamiński tkwił w samym środku spraw, które opisywał, i z tej sytuacji wynikał ton żarliwego zaangażowania emocjonalnego, który wywiera na czytelniku tak silne wrażenie.

Przypomnijmy, jak zaczynają się Kamienie na szaniec:

„Posłuchajcie opowiadania o Alku, Rudym, Zośce i kilku innych cudownych ludziach, o niezapomnianych czasach 1939- 1943 roku, o czasach bohaterstwa i grozy. Posłuchajcie opowiadania o ludziach, którzy w tych niesamowitych latach potrafili żyć pełnią życia, których czyny i rozmach wycisnęły piętno na stolicy oraz rozeszły się echem po kraju. Autor pisze wyraźnie: „posłuchajcie”, a nie przeczytajcie, tak jakby mówił do słuchacza, a nie pisał dla czytelnika. To bardzo istotna sprawa a nie kwestia przypadku. Otóż pierwsza wersja książki była - rzecz by można - wersją mówioną. I tu trzeba powrócić do genezy Kamieni na szaniec. Autor książki mieszkał przez całą okupację w Warszawie, a jego rodzina przebywała pod Warszawą. W maju 1943 roku przyjechał autor Antka Cwaniaka do rodziny przebywającej wówczas w Żbikowie, był bardzo poruszony i poprosił żonę, aby siadła do pisania. Chciał, aby pisała ręcznie, był w takim stanie psychicznym, że nie chciał skorzystać z maszyny do pisania, choć stała na oknie.

Mówił urywkami, spacerując po pokoju, czasem słowa przychodziły mu z trudnością.

Trwało to dwa dni, później Kamiński zabrał rękopis i pojechał do Warszawy - w lipcu ukazały się Kamienie na szaniec. Było to coś więcej niż zwyczajne dyktowanie: w autorze książka już widocznie dojrzała i została nawet w szczegółach przemyślana, skoro mógł z pamięci dyktować ją przez kilka godzin, a zarazem obserwować wrażenie, jakie wywiera na piszącej. Wrażenie było bardzo silne i w ten sposób od razu sprawdzała się celowość wyboru takiej właśnie formy. „Posłuchajcie”... tak przecież zaczyna się gawęda, a gawęd harcerskich wygłosił Aleksander Kamiński w swym życiu bardzo wiele, był mistrzem tej formy, posiadał ogromną łatwość nawiązywania kontaktu ze słuchaczami. Znać to właśnie w przytoczonym powyżej zdaniu otwierającym książkę; takich bezpośrednich odwołań znajdziemy zresztą w niej więcej. Pisarz bardzo swobodnie przechodzi od jednej informacji do drugiej, język bliski jest mówionemu, z bogatego tła opowieści wyłaniają się postaci i zdarzenia, jakby wypływały ze wspomnień o dniu wczorajszym o przeszłości, która graniczy jeszcze z teraźniejszością. Pozostały zresztą w książce także inne ślady takiej sytuacji językowej: a więc dialogi prowadzone w mowie potocznej, uwarunkowane konkretną sytuacją mówienia, czasem pewna skrótowość wypowiedzi, czasem powtórzenia nie mające stylistycznego uzasadnienia. Autor bardzo umiejętnie oscyluje pomiędzy lapidarnością a rozciągłością toku opowiadania. Raz ogranicza się do zwartej, krótkiej informacji, świadom tego, że czytelnik dobrze rozumie, o co chodzi, kiedy indziej drobiazgowo opisuje, zwłaszcza konkrety. Wytwarza to swoistą dynamikę narracyjną, tak ważną dla utrzymania w napięciu uwagi odbiorcy. Autor operuje także bardzo umiejętnie nastrojami: żart jest zawsze powściągliwy, patos dyskretny. Trzykrotnie opisuje Kamiński śmierć bohaterów, którzy stali się już bliscy



czytelnikowi, nie powtarza się w tych opisach ani raz; każde odejście jest inne, podobnie jest przy opisach akcji dywersyjnych czy sabotażowych. Są też sceny w Kamieniach przypominające zupełnie kadry z filmu. Dzieje się tak przeważnie wówczas, gdy autor zmienia czas narracji, na przykład z przeszłego przechodzi w czas teraźniejszy, wówczas na chwilę zatrzymuje się akcja, a autor kreśli obraz - choć nierozzerwalnie związany z fabułą książki - to jednak rządzący się własnymi prawami i mogący istnieć oddzielnie. Takim obrazem kończy też Aleksander Kamiński swą książkę. Jest to obraz śmierci Zośki - scena jakby namalowana: skondensowanie ruchu, barw, kształtów, różnych rodzajów zdań: od napięcia, towarzyszącego początkowi ataku, poprzez narastający bitewny zgiełk - aż do ostatecznego uspokojenia, i odejścia Zośki na wieczną wartę. W tym momencie narrator znów zmienia czas: „Bezsilne, omdlałe ciało osuwa się spod ściany ku ziemi...” - tak zamyka się teraźniejszość. Zdanie następne: „Zdobycie posterunku żandarmerii w Sieczychach było jednym z najpiękniejszych zwycięstw Zośki” - narzuca już do opisanych wydarzeń dystans, słowo „było” odsuwa wydarzenia w przeszłość. Umiejętne operowanie czasem daje w Kamieniach na szaniec znakomite efekty w wywoływaniu nastroju, pogłębia ekspresję opisywanych scen. Ostatnie zdania książki są utrzymane w czasie teraźniejszym, bo przecież - jak już wspomniano: „Walka trwa”. „Opowieść, o wspaniałych ideałach Braterstwa i Służby, o ludziach, którzy potrafią pięknie umierać i Pięknie Życ” - takie zakończenie książki sprawia, że jest ona jednak - mimo śmierci bohaterów - wychylona ku życiu, nie jest więc epitafium dla zmarłych, lecz pamiątką dla żywych. Wielotysięczne nakłady Kamieni na szaniec zawsze błyskawicznie znikają z półek księgarskich. Książka cieszy się niesłabnącą popularnością wśród kolejnych pokoleń młodych czytelników. Młodszy szukają w niej przede wszystkim sensacyjnej akcji, starsi wzorów osobowościowych. Powracają wielokrotnie do niej dzieci i młodzież na różnych etapach czytelniczej edukacji. Przed wszystkimi atakami krytyki, zarzucającej jej w latach pięćdziesiątych słabość ideologiczną oraz idealizowanie postaci, książka obroniła się sama. Nie zaszkodziła jej też dziesięcioletnia nieobecność na półkach księgarskich w okresie 1946-1956.

Dzisiaj Kamienie na szaniec uznawane są już powszechnie przez krytykę literacką za klasykę, za najlepszą książkę dla młodzieży o tematyce wojennej. Przyznają to wszyscy badacze literatury dla dzieci i młodzieży, by przywołać tylko nazwiska Krystyny Kulickowskiej, Zbigniewa J. Białka i Stanisława Fryciego. Także w opinii historyków książka ta stanowi pozycję o doniosłym znaczeniu. Tomasz Strzembosz - znawca lat 1939-1945 bardzo wybitny - zauważył, że Kamienie na szaniec „to zarazem pierwsze historyczne opracowanie, próba świadectwa, dydaktyczna opowieść dla współczesnych i dla potomnych

oraz osobista relacja, dokument historyczny (dokument świadomości i dokument epoki), żarliwe wyznanie dopiero co przeżytej prawdy o ludziach”. Stworzyły one fakt psychologiczny, który wycisnął piętno na wszystkich, którzy później pisali o Szarych Szeregach; narzuciły model wyobraźni zbiorowej i sposób wartościowania. Potwierdza to reakcja czytelnicza na każde nowe wydanie książki, tarcze szkolne, kwiaty i harcerskie chusty na grobach Alka, Rudego i Zośki, a także coroczne zloty drużyn i szczerpów im. Szarych Szeregów w rocznicę wydarzeń pod Arsenalem. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby Aleksander Kamiński nie napisał Kamieni na szaniec.

\* \* \*

## SŁONECZNE DNI

Posłuchajcie opowiadania o Alku, Rudym, Zośce i kilku innych cudownych ludziach. o niezapomnianych czasach 1939-1943 roku, o czasach bohaterstwa i grozy.

Posłuchajcie opowiadania o ludziach, którzy w tych niesamowitych latach potrafili żyć pełnią życia, których czyny i rozmach wycisnęły piętno na stolicy oraz rozeszły się echem po kraju, którzy w życie wcielić potrafili dwa wspaniałe ideały: BRATERSTWO i SŁUŻBĘ.

Na jednej z dzielnic warszawskich było środowisko młodzieży harcerskiej, które umiało stworzyć atmosferę i warunki, w jakich młodzież czuła się dobrze, pragnęła sama kształcić swe charaktery, sama sobie stawiała cele i sama czyniła wszystko, co w jej mocy, by te cele osiągać. Jednym z zespołów tego środowiska był zespół Buków, nazwany tak od częstych wypraw leśnych, jakie czynił rokrocznie. Zespół Buków, do którego należeli Alek i Rudy, był zespołem udanym. Było w nim to, co stanowi o sile i prężności każdej gromady: duch zespołu, koleżeństwo i ciągła aktywność; czyn jeden po drugim, i rozmach, i radosny uśmiech. W lecie i w zimie, w czasie długich wakacji i w czasie krótkich dni świątecznych zespół ruszał w dalekie góry, nad odległe jeziora lub w pobliskie lasy i niedalekie pola. Alek był dryblasem. Wysoki, szczupły, o niebieskich oczach i płowej czuprynie, ciągle się uśmiechał, mówił szybko, wymachiwał rękoma i przy byle okazji wpadał w zachwyt. Wpływowi zespołu Buków zawdzięczał nabywanie pewnej właściwości charakteru bardzo mu obcej: chłodnego panowania nad sobą w chwilach ważnych. Kiedyś na wsi, gdzie Alek przyjechał -na parę dni, syn gospodarza rąbiąc drzewo uderzył się siekierą w nogę. Krew silnie popłynęła na zieleń trawy. I, jak często w takich wypadkach, całe wystraszone otoczenie straciło głowę. Ktoś krzyknął wylękły, ktoś uciekł do pokoju, żeby nie widzieć krwi, paru domowników biegło bezradnie po domu bezsensownie szukając wody, waty. Alek jeden z całego otoczenia zareagował całkowicie odmiennie niż inni: znikł mu z twarzy wyraz niefrasobliwego roztrzepania, zbiegły się brwi nad oczyma. Po chwili był już przy skaleczonym, naciskając silnie kciukiem miejsce powyżej krwawiącej mocno rany. - Panno Basiu - zwrócił się do wystraszonej, stojącej bezradnie dziewczyny - widzi pani, już w porządku. Proszę wziąć ten płaski kamyk, wymyć go i przynieść mi razem z ręcznikiem. Zrobimy opatrunek uciskowy. Gdy to mówił - mówił spokojnym, naturalnym głosem. Z twarzy znikało skupienie i pojawił się znów uśmiech. A Rudy? Rudy miał piegowatą twarz i rudawe włosy. Cała istota Rudego ześrodkowała się w jego oczach i czole, odzwierciedlając wybitną inteligencję. Uzupełniający charaktery ludzkie zespół Buków - ten sam, pod którego

wpływem roztrzepany uczuciowiec Alek stawał się opanowany i skupiony - zespół ten urodzonego intelektualistę Rudego ściągał do konkretów przyziemnego życia. Przy czym owo przyziemne życie uosobione zostało w postaci... kucharstwa. Mianowicie na każdej wycieczce, na każdej wyprawie, na każdym obozowisku Rudy był kucharzem Buków. Co się biedak w początkach kucharzowania nacierpiał - nie warto opisywać. Warto natomiast stwierdzić, że po pewnym czasie potrawy przyrządzane przez Rudego przestały denerwować i śmieszyć, zaczęły zastanawiać, a wreszcie zdumiewać. - Bracie - mówił poważnie Zeus<sup>1</sup>, wódz Buków - świetnie gotujesz! Masz wyjątkowy talent kucharski.

Było to w pierwszym okresie przyglądania się Zeusa Rudemu. Toteż Zeus - harcmistrz Leszek Domański - zauważył tylko część prawdy: ujawniony talent kucharski. Istota Rudego była inna. To nie był chłopiec o talencie kucharskim.

Był to chłopiec o dużej, wszechstronnej skali talentów w ogóle, ale ujawniło się to dopiero z biegiem lat. Na razie nikt tak wspaniałego nie piekł na patyku chleba (tak, tak - chleba na patyku, to nie jest omyłka zecera!), nikt tak świetnie nie smażył płótek na oleju, żadna kasza hreczana nie potrafiła się zmierzyć z kaszą Rudego. A już zupełnie magicznym zjawiskiem wydawało się Bukom to, gdy kiedyś Rudy ugotował świetną zupę... z pokrzyw! To jednak, co zdecydowało o popularności Rudego w zespole, nie miało nic wspólnego z kucharstwem. To coś oparte było na talentach artystycznych Rudego i na jego zamiłowaniu do majsterkowania. Pewnego razu obmyślił Rudy oznakę dla zespołu Buków. Cyfra 23 w trójkącie, wycięta w jasnym metalu, na pomarańczowym tle małej, sukiennej podkładki. Cały zespół Buków był zachwycony estetyką oznaki, dyskrecją odcieni, delikatnością rysunku. Pobudzony zachwytem kolegów Rudy zmajstrował sztancę i własnoręcznie odbił nią tyle oznak, ilu członków liczył, zespół Buków. - Ja ci mówię, przejdziesz do historii sztuki - klepał protekcyjnie Rudego po ramieniu gruby Andrzej Zawadowski<sup>2</sup>. - A ty, Alek - ciągnął dalej tenże sam Andrzej Grubas - musisz się zabrać do skomponowania oznaki narciarskiej dla Buków. Alek bukowej oznaki harcerskiej nie skomponował nigdy, chociaż był najlepszym narciarzem zespołu. Narciarzem narwanym, narciarzem niepokojącym rodziców i Zeusa, narciarzem, którego nigdy nie zadowalały łagodne stoki i uczęszczane tory. Narciarzem, którego niespokojny duch ciągnął w wysokie góry, na nowe i samotne szlaki. Ten niespokojny duch narciarski był tylko częścią osobowości Alka, która cała była niespokojna, spragniona niecodzienności, stęskniona do nadzwyczajności. Zresztą tęsknota

---

<sup>1</sup> Zeus - Leszek (Lechoźław) Domański, członek pierwszej wojennej Głównej Kwatery Harcerzy, wizytator Polski Wschodniej, zastępca Naczelnika Harcerzy, zginął w Mińsku na przełomie 1939 i 1840 r.

<sup>2</sup> Andrzej Zawadowski, „Grubas”, „Gruby” - maturzysta Batorego w 1939, podharc mistrz, zginął w czasie akcji czarnocińskiej w roku 1943.

Alka do niecodzienności, do czynów przekraczających wyobraźnię i możliwości przeciętnego człowieka, była taka sama, jak tęsknota wszystkich jego kolegów - Buków. A może nie tylko Buków? Może jest to tęsknota każdej młodości?

Ta tylko różnica zachodziła między tęsknotami dziesiątków tysięcy młodych serc, a tęsknotami do niecodzienności Buków, że Buki umiały się zdobyć na wcielenie wielu swych marzeń w czyn. Istniała w Warszawie szkoła, dobra szkoła. W stolicy nie brak było doskonałych szkół. I ta była właśnie jedną z nich. W szkole tej pracował właściwy zespół nauczycielski. Gdy piszemy „właściwy” nauczyciel, mamy na myśli człowieka, który posiada umiejętność zachęcania i wdrażania uczniów do samokształcenia. Tę właśnie właściwość miała większość nauczycieli gimnazjum imienia króla Stefana Batorego<sup>3</sup>. Czy to się wyda dziwne, jeśli podamy do wiadomości, że nauczycielem geografii w gimnazjum i liceum Stefana Batorego był pan profesor Domański, przez część uczniów zwany Zeusem? Mianowicie przez tę część uczniów, która należała do zespołu Buków. Co prawda pan profesor Leszek Domański był dopiero drugi rok nauczycielem i liczył sobie zaledwie osiem lat więcej niż uczniowie klasy, której był wychowawcą. Chociaż tak było i chociaż zespół nauczycielski gimnazjum im. Batorego był zespołem ludzi świątłych, cały korpus profesorski miał jednomyślnie profesorowi Domańskiemu za złe, że wprowadził zwyczaj zwracania się do siebie części uczniów przez - ty.

Oczywiście nie na lekcjach, tym niemniej jednak... Korpus nauczycielski „wyraźnie to dziwactwo dezaprobował i ostrzegał kolegę Domańskiego przed niebezpieczeństwem zbytniego spoufalenia się z młodzieżą”. Właśnie w tej chwili wychodzi gromadka chłopców i ich nauczyciel na ulicę. Lekcje się skończyły. Idą powoli, rozmawiają. - Słuchaj, Zeus, idziemy dziś na „Burzę nad Azją” czy na „Dziesięciu z Pawiaka?” - pyta Alek. Alek jest wielbicielem kina. Profesor Domański również. Kilka razy w miesiącu chodzą razem do kin. - Zeusie kochany - wtrąca się Czarny Jaś<sup>4</sup> - pożycz mi głowę Indianina wyrzeźbioną w orzechu kokosowym, którą przywiozłeś z Ameryki. Jest mi bardzo potrzebna - chcę sobie zrobić podobną z huby. Ponieważ dzisiejsza lekcja profesora Domańskiego obracała się wokół spraw Yellowstone Parku w Stanach Zjednoczonych, rozmowa schodzi na Yellowstone Park. Ktoś stawia parę pytań dotyczących parku narodowego w Tatrach.

Zeus odpowiada. Andrzej Grubas zaperzony nie zgadza się z poglądami profesora.

---

<sup>3</sup> Gimnazjum in. Stefana Batorego - znana państwowa szkoła średnia w Warszawie.

Dyrektorem jej był Witold Ambroziewicz - wybitny pedagog. Część młodzieży gimnazjum ciążyła do Kręgu świętego Jerzego, część do Pomarańczarni.

<sup>4</sup> Czarny Jaś- Jan Wuttke, maturzysta Batorego z 1939. członek warszawskiej Komendy Chorągwi, harcmistrz, podporucznik, poległ jako zastępca dowódcy kompanii batalionu „Zośka” około 19 września 1944

Cała gromadka staje na ulicy, chłopcy gestykują, śmieją się i znów poważnieją.

Przechodnie uliczni, szybko wymijając gromadkę, nie zauważają jednego z dziwactw profesora Domańskiego: kończenia lekcji na ruchliwej ulicy miasta. Są w kraju domy rodzinne, w których istnieją warunki dające możliwość zdrowego rozwoju psychicznego i fizycznego zarówno rodzicom jak i dzieciom. W domach tych jest wystarczająca skala zarobków, bez których jakże trudno o normalne ludzkie życie.

Jest także harmonia wśród członków rodziny, oparta na wzajemnej dobrej woli i ustepliwości.

Jest pewien poziom kulturalny, umożliwiający udział w przeżyciach całego świata i w dorobku przeszłych pokoleń. Jest wreszcie specjalna atmosfera, którą trudno określić, a którą poznaje się tylko po skutkach: poszczególnych członków rodziny łączy mocna więź, dom jest ostoją i otuchą, dodaje odwagi, zapewnia spokój.

Takimi właśnie dobrymi domami rodzinnymi były domy Alka i Rudego. Ojcowie każdego z nich byli ludźmi biorącymi czynny udział w życiu społecznym. Matki obu chłopców były kobietami życzliwymi i mądrymi. Oba te domy nie znały się jednak, nie utrzymywały ze sobą stosunków. Dom Alka był domem kierownika fabryki. Dom Rudego - to dom inteligencki pierwszego inteligenckiego pokolenia. Ojciec Rudego był pierwszym w swej chłopskiej rodzinie, który pozostawiwszy wieś poszedł do szkół miejskich i do miasta. Rudy i Alek mieli wyjątkowo szczęśliwe warunki młodości: dobry dom, dobra szkoła, dobra organizacja młodzieżowa; a wszystkie te czynniki współdziałały ze sobą i wzajemnie się wspierały. Jakżeż - niestety - niewielu jeszcze chłopców w Polsce ma takie warunki młodości. Oczywiście szkoła, dom, środowisko koleżeńskie ogromnie ułatwiły dobry start życiowy tym chłopcom.

Ale nie popełnijmy błędu złej oceny: o poziomie sportowca nie decyduje nawet najlepsze boisko ani najbardziej wygodny ubiór, ani skrupulatne przestrzeganie trybu życia sportowego - o poziomie sportowca decyduje co innego: jego istotne uzdolnienia sportowe i jego praca nad sobą. To porównanie jest odpowiedzią na pytanie o rolę dobrych warunków młodości Rudego, Alka i niektórych ich kolegów.

Warunki te ułatwiły kształtowanie się dobrych charakterów. Ale właściwa i pełna zasługa, że Alek i Rudy stali się tym, czym się stali, przypada w udziale samym tym chłopcom i ich woli, z jaką chwycili w dłoń ster swego życia. Iluż młodych ludzi marnuje się i zatracą wśród tych samych, jakie mieli ci dwaj, warunków młodości. Co to jest zacięcie przywódcze? Człowiek obdarzony nim mimo woli wywiera na otoczenie wpływ zniewalający; ludzie skupiają się wokół niego i w sposób naturalny ulegają jego życzeniom.

W Alku zacięcie przywódcze zaznaczyło się wcześniej. Nie miało ono nic wspólnego z „wodzostwem”, posiadało charakter naturalnego, koleżeńkiego przodownictwa. Ten wysoki, zawsze uśmiechnięty dryblas, nie potrafiący mówić spokojnie, przeżywający każdy czyn i każdy problem, duszę całą wkładający w każdą rozmowę i w każdą pracę - miał w sobie coś, co przyciągało doń kolegów. Ile razy szedł ulicą, tyle razy widzieć można było obok niego dwóch, trzech chłopców. Ilekroć zabierał się do majstrowania czegoś w pracowni szkolnej, tylekroć podsuwali się inni, by przypatrzeć się jego robotom, spytać o radę. Żaden z chłopców nie potrafiłby uzasadnić, dlaczego ciągnie go do Alka i dlaczego chętnie spełnia jego życzenia. Być może działała tu owa Alkowa niecodzienność, poszukująca w nauce, w grach i w życiu rozwiązań niebanalnych? Ale również mogła pociągać w Alku wyjątkowa szczerość, bezpośredniość i uczynność tak wielka, że niekiedy aż krępująca. Z biegiem czasu skupiła się wokół Alka grupka pięciu, sześciu kolegów, niemal wielbicieli.

Powstanie tej drużyny wokół naturalnego przywódcy odbyło się według wszelkich reguł „doboru naturalnego”. Byli to chłopcy podobni do Alka psychicznie, jak on pragnący przebijać się w pierwszym szeregu życia ku Wielkości i Sławie. Tak powstał sławny w ciągu paru lat wśród Buków - Klub Pięciu. Klub wślawił się zdobyciem niebezpiecznych tatrzańskich zboczy, składał się z wybitnych narciarzy oraz wielbicieli powieści Jacka Londona i przygód. - Jeśli my, Klub Pięciu - powiedział któryś z nich jednego razu - nie dokonamy w życiu jakichś wielkich rzeczy, to chyba tylko przez wyjątkową złośliwość losu. Jakże to miały być wielkie rzeczy, których dokonać pragnęli - z tego zdawano sobie sprawę w sposób bardzo mętny. Może to będzie przepłynięcie kajakiem żaglowym z Gdyni do Sztokholmu? Może wynalezienie nowego typu samolotu? Rudy przysłuchiwał się z dala marzeniom Klubu Pięciu i z dala obserwował jego wyczyny. Nie należał do Klubu. Alek to „fajny” chłop! Ale refleksyjna natura Rudego wolała się trzymać z boku. Mniej go pociągały wyczyny sportowe, mniejsza była tęsknota do przygody na lądzie i morzu. Jego istotnym światem był świat uczuć i myśli. Tam szukał swojej przygody. Lecz wszechstronnie zdolny potrafił, gdy tego zapragnął, wybić się na pierwsze miejsce w każdej dziedzinie technicznej. Zrobiony przezeń kajak był najlepszym kajakiem w zespole. Gdy w pewnym momencie zorientował się, że jest jedynym nie umiejącym tańczy uczniem w klasie - szybko i z zaciętością zabrał się do nauki tańców i po trzech miesiącach stał się ku zdumieniu szkoły najlepszym tancerzem. W pracach saperskich nikt tak jak on nie potrafił budować kładek i trampolin, wiszących mostów i szafasów. Ale właściwą treścią zainteresowań Rudego był świat życia wewnętrznego. Wystarczyło wziąć jakąkolwiek książkę do ręki, wystarczyło zacząć poważniejszą rozmowę, wystarczyło zamknąć oczy i pozostać w samotności, aby

natychmiast do mózgu i serca zaczęły kołatać natrętne, ciągle niepokojące problemy społeczne, kulturalne, filozoficzne. W owych czasach nie było wokół Rudego wiernej drużyny wielbicieli. Natomiast zbliżali się doń i dobrze się w jego towarzystwie czuli ci wszyscy, którzy pragnęli wymiany myśli. Z biegiem czasu nieliczna gromadka przyjaciół Rudego powoli cementowała się i zespalała. Był wśród Buków chłopiec, który wyróżniał się bardziej od innych. - Urodzony organizator - mówili o nim nauczyciele, obserwując jak koledzy wysuwają go na czołowe stanowiska w samorządzie szkolnym.

- Urodzony przywódca - stwierdzono w harcerstwie, obarczając go coraz bardziej odpowiedzialnymi funkcjami. - Co w tym jest? - pytała nieraz samą siebie matka, wyczuwając atmosferę uwagi i posłuchu, otaczającą w domu niedorosłego chłopca ze strony siostry i całego otoczenia dorosłych. Rozumni rodzice, ceniąc w chłopcu posiadany przezeń dar, usiłowali - skutecznie - związać owo zacięcie przywódcze syna z nastawieniem do służenia innym. Wiedzieli: przywódca-egocentryk - to niebezpieczeństwo, przywódca o typie przodownika w pracach społecznych - to wartość społeczna. Często tak bywa, że ludzie posiadający zacięcie przywódcze w stopniu skromnym - nadrabiają je marsową miną, ostrym spojrzeniem, wyniosłą postawą, stanowczym głosem. Przywódcy naturalni tego wszystkiego nie potrzebują.

Tkwiąca w nich siła wyraża się w sposób nieuchwytny, niedostrzegalny, nie potrzebujący sztucznych akcesoriów. To prawo psychiczne zaznaczyło się na naszym bohaterze w sposób jaskrawy. Został on bowiem przez naturę obdarzony niemal dziewczęcą urodą. Delikatna cera, regularne rysy, jasnoniebieskie spojrzenie i włosy złociste, uśmiech zupełnie dziewczęcy, ręce o długich, subtelnych palcach, wielka powściągliwość, pewien rodzaj nieśmiałości - wszystko to było aż nadto dostatecznym powodem do nazywania Tadeusza Zawadzkiego<sup>5</sup> przez kolegów - Zośką.

Zośka! Cóż za fatalna, zdawałoby się, przeszkoda dla kariery przywódcy! Taki wygląd i takie przezwisko! Uroda Zośki nie była jedyną zasłoną, która utrudniała dostrzeżenie męskiej strony jego charakteru. Drugą taką zasłoną był stosunek Zośki do domu i do matki.

Chłopiec ten nie czuł się nigdzie tak dobrze, jak właśnie w domu, z nikim nie przyjaźnił się tak serdecznie, jak właśnie z matką. „Matka zastępuje mi kolegów i przyjaciół” - zwierzył się kiedyś na kartkach swego pamiętnika. I to bowiem także ku „hańbie” Zośki zapisać należy, że robił notatki o sobie, coś w rodzaju pamiętnika. Zośka do domu przywiązany był wyjątkowo silnie. Godzinami całymi prowadził koleżeńskie rozmowy z

---

<sup>5</sup> Zośka - Uwagi Aleksandra Kamińskiego.



ojcem - profesorem<sup>6</sup>, z matką - działaczką społeczną, z siostrą. Albowiem w domu rodzinnym Zośki było w zwyczaju omawianie wspólnie zagadnień i kłopotów z zakresu prac każdego z rodziców i każdego z dzieci. Dzieci radziły się ojca i matki. Matka i ojciec pytali o opinie dorastające dzieci. Rzadko się zdarza, by dwoje ludzi tak bardzo do siebie było podobnych, jak Zośka i jego matka. W obojgu uderzał ten sam spokój pokrywający głębię uczucia i wrażliwość, ten sam łagodny, wyrozumiały, głęboki stosunek do ludzi, to samo pełne oddanie się sprawie, co do której wzięli na siebie odpowiedzialność. Życie matki Zośki przed ślubem było całkowicie wypełnione pracą społeczną wychowawcy. Po przyjsciu na świat dzieci uznała ich wychowanie za główny cel dalszego życia i - choć ciężko to jej przyszło - odeszła od wielu dawnych prac umiłowanych, zachowując jako główną osobistą przyjemność to tylko, co się z nową drogą życia - uzgodnić dało. Miała to szczęście, że wychowała dzieci takie, jakie wychować chciała. Zośka był to chłopiec o wyjątkowych zdolnościach, wybitnej inteligencji teoretycznej i praktycznej. Wszystkim się interesował i gdziekolwiek zwrócił umysł, czegokolwiek się tknął - towarzyszyły mu szybkie i łatwe osiągnięcia. Jak to często bywa z chłopcem zdolnym - Zośka nie przepracowywał się zanadto w szkole. Uczył się na czwórki. W jednym półroczu przyniósł nawet na cenzurze większość trójek. Była to - rzecz charakterystyczna!

- półrocze, w którym bardzo ciężko chorowała jego matka. Uroda, wdzięk w sposobie bycia oraz pochłonięcie życiem domowym - wszystko to osłaniało i kryło przed otoczeniem naturę Zośki. Częściowo „dekonspirowały” go sporty. Zośka wyróżniał się w strzelectwie, w hokeju i w tenisie, zdobywając w turniejach międzyszkolnych szereg pierwszych miejsc. Zresztą, rzecz ciekawa, że nawet w sportach...

- Co ty robisz? - zawołał kiedyś zdumiony Jacek Tabęcki<sup>7</sup>, patrząc na Zośkę, który miał za chwilę wybiec na boisko dla rozegrania jednego z decydujących meczów i teraz odmierzał w kąciku jakieś krople. - Waleriana... – odburknął Zośka, zawstydzony, że go przyłapano na czymś niemęskim. - Dwanaście, trzynaście, czternaście... - liczył spadające na kostkę cukru krople. Zwycięstwo sportowe imponuje otoczeniu. Zośka był niemal zawsze zwycięzcą. Zwycięstwa kierowały nań spojrzenia kolegów. Równocześnie zaczęto stwierdzać rzecz inną:

Zośka był uparty, uparty w sposób niezwykle drażniący. Rzadko to się zdarzało.

Przeważnie albo nie zajmował stanowiska wobec rozgrywających się wypadków, albo też ustępował nalegającym. Gdy jednak zaciął się w jakiejś decyzji - nic go nie mogło

---

<sup>6</sup> Ojciec Zośki- Józef Zawadzki (1886-1981) wybitny chemik, rektor Politechniki Warszawskiej.

<sup>7</sup> Tabęcki Jacek - maturzysta Batorego w 1941, zmarł w Oświęcimiu.

przełamać. Szczególnie, gdy upór wsparł się o inny potężny czynnik duszy Zośki - o ambicję. Zośka w dzieciństwie bał się wody. Rzeczka, jezioro, morze - odpychały go od siebie z jakąś przemożną siłą. Nie chciał nigdy wchodzić do wody powyżej piersi. Aż ktoś kiedyś poruszył w nim nutę ambicji i wywołał decyzję.

Już przy końcu sezonu Zośka pływał bez niczyjej pomocy, zbudował kajak, w dwa lata potem był dobrym pływakiem i wreszcie w zawodach pływackich, jako najlepszy z Buków, zaczął reprezentować zespół.

Sporty, ambicja, upór wyrabiały mu, rzecz oczywista, pewną sławę. Sława jednak koleżeńska była czymś, o co Zośka mało dbał. Nie starał się zjednać kolegów, nie szukał przyjaźni. Niekiedy zdawało się, że na całe swoje otoczenie patrzy jakby z dala, pomimo że wszystkim się interesował i każdemu starał się być pomocny.

Albowiem najsilniejszą w tym czasie właściwością psychiczną Zośki była jego samotność. „Zawsze jestem raczej sam” - tak brzmiało pierwsze zdanie na pierwszej stronie pamiętnika Zośki. Poczucie samotności, powściągliwość i skrytość powodowały to, że Zośka raczej unikał kolegów - ale koledzy nie unikali Zośki. Albowiem jeden z paradoksów psychiki zbiorowej brzmi: samotność, częsta towarzyska wewnętrznej siły człowieka - przyciąga i zniewala otoczenie. W miarę jak biegły lata - autorytet Zośki w szkole i w zespole Buków ugruntowywał się i umacniał. Od piętnastego roku życia rządził już i kierował stale. Tym zaś różnił się od innych przywódców-rówieśników, że swą rolę wypełniał w sposób naturalny, prosty i nieznaczny. Nie rozkazywał, nie żądał, nie pouczał. Nie narzucał swej woli. W zwykły, prosty sposób mówił i w zwykły prosty sposób robił to, co chciał, by robili inni. I myślał raczej o innych niż o sobie. To wystarczało.

Całe otoczenie Zośki - i Buki, i szkoła, i dom - wiedziało -o nim jedno: chłopiec ten umie przewidywać i umie zarządzać. Zaś trafne przewidywanie i dobre zarządzanie są istotą organizacji. Zośka był niewątpliwie dobrym organizatorem.

Klasa Alka, Rudego i Zośki zdała maturę; osiemnastoletni Rudy jako prymus i dziewiętnastoletni Alek jako „średniak”. W początkach czerwca 1939 roku cała grupa Buków spośród klasy maturzystów wyruszyła pod wodzą Zeusa na dziesięciodniową wycieczkę w Beskidy śląskie<sup>8</sup>.

Cóż to była za cudowna wyprawa! Po wspaniałym, słonecznym dniu na Baraniej Górze ruszyli autobusem na Zaolzie do Trzyńca<sup>9</sup> zwiedzać wielkie huty żelaza. Potem na

---

<sup>8</sup> Poprawna nazwa geograficzna Beskid Śląski.

<sup>9</sup> Trzyniec - duży ośrodek ciężkiego przemysłu na Śląsku Zaolziańskim, obecnie w Czechosłowacji. Harcerska Męska Szkoła Instruktorska i Harcerski Ośrodek Wiejski od roku 1937 prowadzone były przez

tarasie Ośrodka Harcerskiego w Górkach Wielkich, opici świętym mlekiem, opalali się leniwo w pięknych, letnich promieniach słońca, w zapachu górskich łąk. A następnego dnia wśród lasu bukowego na Równicy, spoglądając w dolinę Wisły, rozpoczęli długą wymianę zdań. O czym? O rzeczy najważniejszej dla wszystkich maturzystów świata: o przyszłości. Najpierw mówił Rudy i jak zwykle uogólniał zagadnienie:

- Nie ma co gadać, powiodło nam się! Mieliśmy dobrą szkołę, potrafiliśmy stworzyć dobry zespół koleżeński. Staliśmy się grupą przyjaciół. Noblesse oblige<sup>10</sup>.

Nie wolno spatałaszyć szans, które dostaliśmy do rąk. - Na wyspach Salomona... - zaczął któryś z Klubu Pięciu.

- Stul pysk, Salomonie - przerwał mu ze śmiechem ktoś z paczki Rudego. - Tak, tak - wtrącił się leżący na plecach Zeus. - Robota aż się prosi do rączek w tym pięknym kraju. „Wisła, Wisła modra rzeka” - nie uregulowana. Miliony Maćków z wesołej piosenki klepie biedę, że aż piszczy. Nie ma na zapalki, nie ma na sól, nie ma na buty. Rodziny robotnicze po miastach nie w mieszkaniach żyją, lecz w norach. Nakłady książek w tym pięknym kraju wynoszą ledwo po dwa, trzy tysiące.

Około 50% szkół - to szkoły jednoklasowe... Diabelnie dużo zrobiło się w ciągu tych dwudziestu lat niepodległości. Ot, choćby porównać rozbudowę miast, Gdynię, Centralny Okręg Przemysłowy<sup>11</sup>, powstanie nowej warstwy społecznej wykwalifikowanych robotników, rozbudowę ubezpieczeń społecznych, ogromny spadek śmiertelności. Ale... na Boga miłego, iluż tu trzeba jeszcze pierwszorzędnym inżynierów, pierwszorzędnym wychowawców, pierwszorzędnym rolników, pierwszorzędnym rzemieślników. - Drugorzędni też nie zaszkodzą - przerwał Zośka - bo coś mi się zdaje, że orłów w Polsce było zawsze sporo, mrówek - znacznie mniej. Gawęda zmieniła kierunek. Alek, którego obok pogoni za niecodziennością cechowała silna żądza analizy własnej osobowości, zaczął na inny temat. O tym, że najistotniejszą sprawą jest wyrobienie w sobie charakteru.

Rudy podsunął się bliżej do Alka. Słuchał go z wytężoną uwagą. Sprawa charakteru, sprawa pracy nad sobą, sprawa uzupełnienia własnej osobowości tym wszystkim, czego tej osobowości brakuje - wszystko to tak samo poruszało umysł Rudego jak i umysł Alka. Była to dziedzina przeżyć, która łączyła obu chłopców jednolitym odczuwaniem i jednolitymi pragnieniami. Nie tylko zresztą tych dwóch pochłaniał problem doskonalenia się i pracy nad

---

Aleksandra Kamińskiego.

<sup>10</sup> Noblesse oblige (franc.) - szlachectwo zobowiązuje.

<sup>11</sup> Centralny Okręg przemysłowy - teren województwa kieleckiego, lubelskiego oraz części krakowskiego i rzeszowskiego, na którym od roku 1936, z inicjatywy wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, zaczęto rozbudowywać przemysł.

sobą. Pochłaniał on wszystkich członków zespołu Buków. W środowisku tym takie decyzje jak Rudego, który w trzy miesiące nauczył się tańczyć, bo twierdził, że tego mu brakuje do „pełni osobowości”, jak Alka, który zawiązał się na wyrabianie w sobie opanowania i skupienia; jak Andrzeja, który w rok opanował język angielski; jak Zeusa, który przez trzy miesiące nie chodził do ulubionego kina, by dowieść samemu sobie, że zdolny jest do rezygnacji z przyjemności - w innym gronie sprawa doskonalenia się nie miała tyle zrozumienia, co wśród Buków. - Ale, słuchajcie, cóż to z tą wojną będzie? Zacznie się czy nie zacznie? Gotowa nam pokiełbasić wszystkie plany.

- Nie bój się, Andrzeju! Pięć razy pan Hitler się obejrzy, nim na nas, na Francuzów i na Anglików skoczy. A jak skoczy, to dostanie w zęby fest. Chłopcy uśmiechnęli się, zapanowała chwila ciszy. Przed oczyma beztroskiej wyobraźni przesuwały się potężne polskie czołgi, niezwyciężone pułki polskiej piechoty, i naród cały zjednoczony i zwarty wokół naczelnego wodza i rządu. Niech no tylko Hitler spróbuje! Odechce się mu wojny już po paru miesiącach. Chłopcy zaczęli wstawać. Zbliżał się czas odmarszu do Brennej. Wkładali plecaki, porządkowali chlebaki, ktoś zanucił modną w drużynie piosenkę, dziesięć głosów od razu pochwyciło jej silny, mocny ton.

Dalej, wesoło niech popłynie gromki Śpiew,  
Niech stutysięcznym echem zabrzmie pośród drzew,  
Niech spędzi z czoła wszelką troską, wszelki cień,  
Wszak słoneczny mamy dzień!

## W BURZY I WE MGLE

Wrzesień 1939 roku był jednym z najstraszniejszych polskich miesięcy. Nie dlatego, że ponieśliśmy klęskę - niejedną już klęskę miał naród za sobą. Nawet nie dlatego, że klęska ta była tak gwałtowna i tak miażdżąca - na wojnach dramaty i gwałtowne zmiany sytuacji są zjawiskiem częstym. Potworność polskiej tragedii wrześniowej polegała na czym innym: na katastrofie psychicznej narodu, najzupełniej nie przygotowanego do tego, co się stało. Ogromny grzech obciąża sumienia polskiej propagandy i polskiego wychowania narodowego sprzed 1939 roku.

Mówiono i pisano tylko o naszej potędze i o zwycięstwach - nigdy o klęskach; w stosunku do wrogów używano tonu niemal wyłącznie lekceważącego, w instrukcjach i zarządzeniach unikano jak zarazy słów „ewakuacja”, „odwrót”. W wyniku tego wszystkiego zarówno społeczeństwo, jak i kierująca nim administracja, a nawet wojsko - były psychicznie gotowe do zwycięstw, lecz całkowicie nie przygotowane do klęski. A cóż dopiero do tak koszmarnych klęsk, jakie zgotował nam los. Dla Zośki, Rudego i Alka, dla ich kolegów, dla Warszawy, dla całego kraju cztery tygodnie września, rozpoczęte wśród uniesienia, szybko zastąpionego grozą, przelewać się zaczęły burzą - huraganem oraz koszmarami faktów i przeżyć.

Nierzeczywistość tego, co się działo, wydawała się tak silna, że w mózgach nieustannie kołatało pytanie: czy to wszystko jest aby prawdą? Czy nie jest to tylko snem? Szóstego września zgodnie z apelem radiowym, Zeus, który pełnił obowiązki zastępcy naczelnika harcerzy, zebrał alarmowo harcerstwo warszawskie i wyruszył z Warszawy na wschód<sup>12</sup>. Chłopcy byli w wieku przedpoborowym. O jakichkolwiek przydziałach do pomocniczych służb wojskowych wśród panującego chaosu trudno było myśleć. Przede wszystkim trzeba było usunąć młodych mężczyzn z terenów, które mogły wpaść w ręce wroga. Tym sposobem Buki znalazły się w sytuacji niezmiernie głupiej. Wysportowani, zdrowi, zdolni osiemnastoletni chłopcy spędzili parę tygodni na drogach wśród milionowych rzesz uchodźców.

Drużyny harcerskie zaprawione w dziesiątkach wycieczek różniły się wybitnie od nieszczęsnej rzeszy uchodźców. Na czele ich stał dowódca, posiadający wyrobienie organizacyjne oraz dobre mapy. Z miejsca, zaraz po przekroczeniu Wisły, wyzwalając się

---

<sup>12</sup> 8 września 1939 pułkownik Roman Umiasowski ogłosił ewakuację mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Wyruszyli oni w kierunku Mińska Mazowieckiego, harcerze Byli pod przywództwem harcmistrza Domańskiego.

spod przemożnej sugestii owczego pędu, zeszyły drużyny z głównych dróg na drogi polne i leśne. 23 drużyna - Buki - szła jak inni. Chłopcy milczeli zasępieni, nikomu nie przychodziło na myśl, by śpiewać, nikt nie chciał rozmawiać. Stopy wybijały normalne tempo, a przez mózgi przelewały się setki dręczących obrazów i wątpliwości. Co to wszystko znaczy? Co się właściwie stało i co się dzieje? Dlaczego nie dostali jakiejś pożytecznej roboty? Czemu im nie wyznaczono jakichś zadań, które mogliby wypełniać? Te dręczące pytania, na które nie znajdowało się odpowiedzi, przerywały obrazy zapadające na całe życie w pamięć. Oto podchodzą do wsi i obserwują, jak lotnicy nieprzyjacielscy zniżają się i zrzucają na wieś bomby burzące i zapalające; w kilkadziesiąt minut wieś cała stoi w ogniu. W przeraźliwym ryku umyka z niej bydło, groza widoczna jest w oczach ludzi, którym udało się ująć z życiem z płomieni i z piekła wybuchów. Więc to taka jest wojna? Więc nawet bezbronna wieś? Więc nawet cywilna ludność... Twarde sumienia mają lotnicy niemieccy. Inny obraz: dróżka ich przecina szosę, muszą więc podejść do szosy. Szosa jest zatłoczona od horyzontu po horyzont w sposób wprost niesamowity. Rzeka ludzka wylała z ram szosy w rowy przydrożne i poza rowy. Gęsto posuwa się zbita ciżba, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu - toboły, rowery, wózki dziecięce, głowy końskie, taczki... Oto wśród tej zgęszczonej ciżby, kluczy powoli na rowerze mężczyzna. Na plecach ma ogromny tobół, widocznie pościel, poduszki; na tym ogromnym tobole maleńkie, dwuletnie dziecko, trzymające się kurczowo rączkami za wielki supeł prześcieradła. Zośka, który to widzi, czuje jakiś skurcz bólu, cierpi, jakby był matką nieszczęsnego maleństwa. I nagle na szosie zaczyna się dziać coś niesamowitego. Gdzieś na dalekim horyzoncie pryskają ludzie na boki, w pola. Słychać słaby, z każdą chwilą intensywniejszy warkot motorów. Samoloty! Mkną tuż nad szosą, rażąc z karabinów maszynowych bezbronne tłumy uchodźców. Twarde sumienia mają lotnicy niemieccy. Raz tylko jeden w ciągu tych wrześniowych wędrówek Buki miały możliwość pożytecznego wystąpienia. Było to pod Dębem Wielkim. Jakaś zbójcka lotnicza eskadra zbombardowała pociąg z uchodźcami. Chłopcy, przechodząc obok toru, ujrzeli przeraźliwy obraz: wśród potrzaskanych, wykolejonych, dymiących wagonów - setki ludzi krzątających się nerwowo lub leżących we krwi. Nigdzie nie widać białych kitłów lekarzy i sanitariuszy, nigdzie wozów, które by przyjmowały rannych. Na równoległe z torem biegnącej szosie migają od czasu do czasu auta, przesuwają się wozy, żaden się jednak nie zatrzymuje, żaden nie dostrzega tuż obok widocznych plam krwi i ogromu ludzkiego cierpienia. - Panowie, tak być nie może - mówi powoli Alek. Twarz ma pobladła. Po raz pierwszy ujrział tak bezpośrednio i blisko grozę wojny. - My tych ludzi nie zostawimy. W parę minut potem, gdy cały oddziałek Buków, rozproszony wśród rannych przystępuje do najkonieczniejszych opatrunków, Alek

staje na skraju szosy i daje znak zbliżającemu się samochodowi, by stanął. Auto, nie zwalniając biegu, przemknęło dalej. Drugie - to samo. Nie zatrzymał się również przejeżdżający wóz chłopski, mimo nalegań Alka. - Do jasnej cholery! - wrywa się z ust młodego człowieka.

Dłonie zwijają się w pięść, szczękę co chwila chwyta skurcz. - Chłopcy do mnie - woła w kierunku kolegów. Po chwili stoi na szosie cała gromadka. Zbliży się auto ciężarowe. Teraz już nie machają rękami i nie proszą. Stoją pośrodku drogi z niezłomną decyzją w oczach. - Stać! Auto ciężarowe powoli zatrzymuje się.

- Wszyscy wysiadać z wozu! - nie cierpiącym sprzeciwu głosem rozkazuje Alek. - Pan zabierze rannych z pociągu - nakazuje szoferowi. Szofer chwilę się waha.

Polecenie bowiem wydaje jakiś harcerz, nie wojskowy. Ale harcerz jest wysokiego wzrostu, z oczu jego widać, że nie żartuje, a za nim stoi pięciu czy sześciu innych, których twarze niedwuznacznie wskazują na to, czego chcą. Więc szofer wychodzi z auta. Powoli zaczynają schodzić podróżni. - Państwo do najbliższego miasteczka pójda pieszko - mówi Alek. - Tam dostaniecie z powrotem wasze auto.

Mężczyzn proszę o pomoc w przenoszeniu rannych. I jak to często bywa w takich chwilach - nastrój egoizmu i oporu radykalnie się zmienił w nastrój współdziałania i pomocy. Następne auta i wozy zatrzymują już nie tylko Buki, lecz i ich przygodni pomocnicy z auta ciężarowego. Do późnego wieczora trwa męczący duszę i nerwy transport nieszczęsnych, cierpiących ludzi do miasteczka.

Była to dla Buków pierwsza i ostatnia okazja zaznaczenia swej pożyteczności. We Włodawie dowiedzieli się o oddziałach sowieckich, które szybko posuwają się na zachód<sup>13</sup>. Niemcy zaś byli już pod Włodawą. Po krótkich naradach Zeus zarządził powrót ku Warszawie. Wracano również bocznymi drogami, chwytając nieustannie wiadomości o klęskach i zapadaniu się w przepaść całej państwowej maszyny polskiej. Bez przygód weszli za Włodawą w teren okupowany przez Niemców. Szli milczący, zgryzieni, zdenerwowani, źli. Pierwsze niemieckie mundury wstrząsnęły nerwami. Echa bohaterskiej obrony Warszawy podniecały, piekły i dręczyły męczącym pytaniem: dlaczego nas tam nie było? Kapitulację stolicy odchorowali, nie chcieli tego dnia nic jeść. Dalszy marsz stał się marszem udręczonych, chorych psychicznie ludzi, których ożywiał jedynie niepokój o najbliższych. Na ulice Pragi weszli tuż za okupacyjnymi oddziałami niemieckimi, zajmującymi stolicę po trzydniowym zawieszeniu broni. Wracali po bezsensownej włóczędze, nakazanej przez chaos

---

<sup>13</sup> 17 września 1939 wojska radzieckie doszły do Bugu i Sanu 28 tegoż miesiąca Niemcy hitlerowskie ustaliły w tym miejscu granicę.

decyzji. Warszawa w październiku 1939 roku była miastem grozy. Gruzy hamowały ruch na ulicach, dymiły jeszcze zgliszcza. Na jezdniach piętrzyły się barykady. Domy były bez, szyb. Mieszkania bez światła, bez wody, oraz gazu. Zamarłej i niesamowitej ciszy ulic nie porusza zgrzyt wozów tramwajowych. Na każdym domu blizny po uderzeniach bomb i szrapneli. W słońcu przedziwnie pogodnej jesieni niezliczone tłumy ludności przelewają się jezdnią i chodnikami. Pod murami stoją pierwsi przygodni handlarze, trzymający w rękach różnorodne towary. Od czasu do czasu maszeruje wrogi oddział w szarzielonych mundurach. Coraz częściej przesuwają się zielone, policyjne auta niemieckie. Rozpoczyna swą działalność gestapo.

Zaczynają się pierwsze rewizje, pierwsze aresztowania. Ojciec Alka był jedną z tych najpierwszych ofiar gestapo. Siedzieli właśnie wszyscy w mieszkaniu, był już późny wieczór, minęła godzina policyjna. Alek bandażował sobie stopę, skaleczoną w końcowym okresie wędrówki, z której wrócił przed dwoma tygodniami.

Matka sprzątała ze stołu. Gdy rozległo się energiczne stukanie do drzwi, nikogo to specjalnie nie zaniepokoiło. W owe pierwsze okupacyjne tygodnie ludność

Warszawy-nie znała jeszcze lęku, powodowanego stukaniem w drzwi po godzinie policyjnej. - Kto tam?

- Polizei!

Weszło ich pięciu, z jakimś cywilnym volksdeutschem na czele. Od pierwszej chwili było oczywiste, że przyszli po ojca Alka, znanego w Warszawie działacza, kierownika dużego zakładu przemysłowego. Pan Dawidowski w czasie krótkiego badania był blady, lecz spokojny - nie znano jeszcze wówczas ani śledztwa gestapowskiego, ani sposobów likwidacji więźniów. Alek stał w rogu pokoju oszołomiony nieoczekiwanym wydarzeniem, zaskoczony tym, co się dzieje. Gdy zbliżył się doń ów gestapowiec w cywilu i czystą polszczyzną zaczął zadawać jakieś pytania dotyczące ojca, Alek przez chwilę wahał się, co i jak odpowiedzieć. Dopiero gdy cywil, natarczywie żądając wiadomości, gdzie są ukryte pieniądze, przyłożył do brzucha chłopca lufę pistoletu i zagroził strzałem, dopiero wówczas Alek zdecydował się na odpowiedź. - Strzelaj pan - powiedział wolno, patrząc w oczy szpicla. - Strzelaj pan - powtórzył. Dlaczego nie aresztowano wówczas Alka, dlaczego wyprowadzono tylko ojca? Bóg to raczy wiedzieć! Być może w pierwszych dniach okupacji gestapo nie miało jeszcze ustalonej metody postępowania w podobnych sytuacjach. Hardą odpowiedź chłopca pozostawiono bez następstw. Harda ta odpowiedź była dla Alka jakby wypowiedzeniem jego prywatnej wojny Niemcom. Jego pierwszą próbą stawiania oporu wrogowi. Aresztowanie ojca wywarło na Alku ogromne wrażenie. Wrażenie to uzewnętrzniło się w dwóch decyzjach



jakże bardzo charakterystycznych dla Alka.

Decyzja pierwsza polegała na uczynieniu postanowienia, że do czasu, póki ojciec będzie więziony, nie tknie słodyczy ani cukru. W charakterystycznej tej, choć drobnej decyzji, trwał Alek konsekwentnie aż do czerwca 1940 roku. Potem już postanowienie stało się bezprzedmiotowe: jednej z nocy czerwcowych w lesie w Palmirach<sup>14</sup> ojciec Alka został rozstrzelany wraz z Maciejem Ratajem, Mieczysławem Niedziałkowskim<sup>15</sup> i dwustu kilkudziesięcioma innymi ludźmi, których jedyną winą było to, iż byli działaczami społecznymi, politycznymi lub gospodarczymi w przedwojennym życiu polskim. Decyzja druga była tak samo naturalna jak pierwsza, ale znacznie donioślejsza w skutkach. Alek postanowił jak najszybciej rozpocząć akcję przeciw okupantowi. W tej drugiej decyzji Alek był tylko jednym z tysiąca. Wszak we wszystkich polskich szkołach, we wszystkich salach publicznych przez lata całe widniało hasło: „Być zwycięzonym i nie ulec - to zwycięstwo”. Polska przegrała szereg bitew, nie przegrała jednak wojny. Wojna trwa! Walczą nasi sprzymierzeńcy, organizuje się we Francji nowy polski rząd i emigracyjne polskie siły zbrojne. Wojna trwa! Polska musi walczyć, musi walczyć także w kraju! Ledwo wróciwszy z wędrówki, zaczęły się Buki z Zeusem na czele schodzić na rozmowy, których głównym zadaniem było szukanie sposobów szkodzenia wrogowi i pełnienia służby społecznej w nowych warunkach. To poszukiwanie nowych dróg walki i służby było cechą charakterystyczną nie tylko Buków, lecz wszystkich czynnych elementów społeczeństwa polskiego w jesieni i w zimie 1939-1940 roku. Zespół Buków mógł się w tym poszukiwaniu poszczycić pewnym rekordem, jakże naturalnym wśród tej gromady młodych, której ambicją było przodowanie w inicjatywie i wysiłkach. Buki jedne z pierwszych chwyciły „trop” nowych form walki i służby. Stało się to 15 października 1939 roku. Tego dnia Zośka przybiegł do innych z paroma arkuszami pierwszego tajnego, na powielaczu odbitego pisemka. Był to pierwszy numer „Polski Ludowej” - pisma demokratycznej grupy młodzieży PLAN<sup>16</sup>. Chłopcy z zapartym oddechem czytali nieudolnie powielone arkusze, mało zastanawiając się nad zdaniem o wycisku kapitalistycznym i o krwawym sztandarze rewolucji, natomiast całym sercem chłonąc słowa, męką cierpień i nienawiści zaprawione, wzywające do walki z okupantem. Nie ma się co długo namyślać! Oto jest ośrodek, który organizuje akcję przeciwniemiecką. Natychmiast do nich i natychmiast z nimi. Byłe jak

---

<sup>14</sup> Palmiry - miejsce masowych egzekucji w latach 1939- 1941; na pamiątkę nazwę tę przybrała organizacja Małego Sabotażu w okręgach podwarszawskich, jesienią 1941 połączona z Wawrem. Maciej Rataj (1884-1940) - marszałek Sejmu RP 1921-1928.

<sup>15</sup> Mieczysław Niedziałkowski (1893-1940) - działacz, teoretyk PPS, publicysta.

<sup>16</sup> Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa [przyp. autora] - tajna lewicowa organizacja utworzona 15 października 1939 w Warszawie przez grupę młodzieży demokratycznej, rozbita 15 stycznia 1940.

najprędzej szkodzić wrogowi! Zośka, który znał jednego z założycieli PLANu - wybitnego instruktora harcerskiego - Juliusza Dąbrowskiego<sup>17</sup> szybko nawiązał łączność między PLANem a zespołem Buków. Grupa PLAN-u okazała się nielicznym, lecz pełnym zapału środowiskiem gorącej młodzieży, próbującej z chaosu pomysłów i rozbieżnych koncepcji wytworzyć jakąś całość. W paru pokojach przy ulicy Złotej był przez cały dzień ruch przeczący najbardziej elementarnym zasadom konspiracji. Dwa razy w tygodniu powielano tam „Polskę Ludową” (notabene stronę techniczną już drugiego numeru wzięły w swe ręce Buki). Przez cały dzień przyjmowano interesantów, między innymi nowych członków organizacji (największym zmartwieniem PLAN-u było to, że do organizacji zgłaszali się sami inteligenci; za wszelką cenę starano się zdobyć młodzież robotniczą!). Przymięta, która w tydzień po przyjęciu do organizacji Buków została uchwalona przez zarząd PLAN-u, składała się z tak fantastycznych zdań, jak chyba żadna z konspiracyjnych przysięg. Była tam mowa o walce na życie i śmierć z Niemcami oraz o niezłomnej woli rozbudowania w Polsce... uniwersytetów ludowych; o zdradzie karanej śmiercią oraz o... kategorycznym postanowieniu nie zamieniania z Niemcami żadnego słowa. Zespół Buków, spragniony konkretnych wystąpień przeciwniemieckich, wybrał spośród projektów i zamierzeń PLAN-u to, co było najbardziej w nich konkretne. Dwie piątki dwa razy w tygodniu powielaly i kolportowały „Polskę Ludową”. Jedna piątka poszła do współpracy z grupą bojową słynnego Kota<sup>18</sup>, który był pierwszym działaczem niepodległościowym, ściągany plakatami policji niemieckiej jako „zbrodniczy Żyd”. Dwie inne piątki wzięły na siebie propagandę uliczną. W tych właśnie piątkach propagandy ulicznej znaleźli się Zośka, Alek i Rudy. Gdy w końcu października 1939 roku rozplakatowana została odezwa nowo mianowanego gubernatora Franka o utworzeniu Generalnej Guberni - na odezwie tej w parę dni po jej rozwieszeniu „nieznani sprawcy” ponalepiali małe wąskie karteczki: „Marszałek Piłsudski powiedziałby: a my was w d... mamy”. Przed tymi wąskimi skrawkami papieru, nalepionymi na żółtych plakatach obwieszczenia, stawały na moment masy ludzi i, chwyciwszy okiem treść, uśmiechały się i szły dalej. Szły jakoś bardziej wyprostowane, jakoś raźniejszym krokiem, mocniej patrząc przed siebie. Historycznym faktem pozostanie, że te pierwsze w Warszawie nalepki propagandowe wyszły z koncepcji i z „warsztatu” Rudego i jego kolegi Jerzego

---

<sup>17</sup> Juliusz Dąbrowski (1909-1940) - harcmistrz, współtwórca Koła Instruktorskiego im. Mieczysława Bema, członek wojennej Głównej Kwatery Harcerzy, współautor znanej w okresie przedwojennym książki poświęconej harcerstwu: Jeden trudny rok.

<sup>18</sup> Kazimierz Andrzej Kot - kierownik wydziału bojowego PLAN-u, w czasie przesłuchania zbiegł z siedziby gestapo w alei Szucha.

Masiukiewicza-Malego<sup>19</sup>. „Warsztat” składał się z maleńkiej drukarenki-zabawki, której gumowe literki mogą być złożone najwyżej w dwa wiersze. Obydwaj młodzi ludzie wraz z kolegami w podnieceniu „drukujący” i rozlepiający swe karteczki, niewątpliwie nie zdawali sobie sprawy z tego, że realizują pierwszy czyn samorzutnej polskiej propagandy podziemnej i że robią coś, co dla morale świeżo pokonanego narodu mieć będzie wielkie znaczenie.

Kolejnym zagadnieniem był kłopot z uruchomionymi wśród ruin i zgliszcz stolicy luksusowymi restauracjami i dancingami. Młodemu ludziom z PLAN-u oburzenie tamowało oddech, gdy patrzyli na przepych zastawionych winami i zakąskami stołów, oddzielonych jedynie wielkimi witrynami okien od rażącej nędzy warszawskiej ulicy. Na tę podłość moralną za mało było nalepek. Historycznym faktem pozostanie, że zespół Buków w ramach PLAN-u po raz pierwszy zastosował gazy dla wywarcia presji na nikczemność. Mianowicie w grudniu 1939 roku młodzi ludzie i jedna dziewczyna pod przewodnictwem Janka Błońskiego<sup>20</sup> (cudowny człowiek, zakatowany w 1942 roku na Szucha) zagazowali osławiony warszawski lokal luksusowy „Adrię” gazem wywołującym wymioty. Satysfakcją było przyglądanie się wystrojonym kobietom i obżartym, łajdackim twarzom mężczyzn opuszczających szybko „Adrię” i „chorujących” w śniegu na ulicy. Występ w „Adrii” był ostatnim aktem współpracy Buków z PLAN-em. Zarówno Zeus, jak i sami chłopcy stwierdzili, że zwiążanie się z PLAN-em było związkiem nienaturalnym. Nie mieli zainteresowań partyjno-politycznych i źle się czuli w chaosie organizacyjnym.

Pragnęli innego typu organizacji. Rozstanie odbyło się bez zgrzytów, bez nieporozumień, w sposób naturalny i uczciwy. Obie strony stwierdziły, że nie pasują do siebie - i Buki odeszły, by dalej szukać swego właściwego miejsca w Polsce Podziemnej. Odeszli na miesiąc przed katastrofą PLAN-u. Słynna była na całą Warszawę ta pierwsza wielka „wsypa”. Był to początek 1940 roku.

Kilkudziesięciu ludzi znalazło się w rękach gestapo, przy czym aresztowano także rodziny podejrzanych, między innymi całą sześciuosobową rodzinę Juliusza Dąbrowskiego, z której cztery osoby zginęły od kul lub w obozach, oraz rodzinę Jerzego Drewnowskiego<sup>21</sup>. Gestapo było we wszystkich lokalach PLAN-u. Schwytano Kota w jego mieszkaniu i tylko dzięki dużej przytomności umysłu dzielny ten mężczyzna potrafił wymknąć się z rąk gestapowskich. Z zespołu Buków nikt nie ucierpiał. Burza przewaliła się obok nich. Oddajmy

---

<sup>19</sup> Jerzy Masiukiewicz „Mały” - maturzysta Batorego aresztowany 2 listopada 1942.

<sup>20</sup> Jan Błoński „Novak”, „Sum” - podharcemistrz, znany ze swych lewicowych poglądów; aresztowany 3 listopada 1942, pośmiertnie mianowany harcemistrzem

<sup>21</sup> Jerzy Drewnowski (ur 1918) - maturzysta Batorego w 1936 następnie student Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, związany ze Stronnictwem Demokratycznym, zastępowy w 23 Warszawskiej Drużynie Harcerzy, współorganizator PLAN-u.

hołd ówczesnej młodzieży PLAN-u i jej kierownikom. To prawda: byli chaotyczni w organizacji. Były to jednak gorące serca pragnące zespolić szczęście Polski ze szczęściem jej najszerszych warstw ludowych. I była to także jedna z najpierwszych organizacji niepodległościowych podziemnej Warszawy. Ponad trzy miesiące trwało poszukiwanie przez Buki nowego dla siebie miejsca w Polsce Podziemnej. Niełatwa to była sprawa. Centralna organizacja wojskowa - Służba Zwycięstwa Polski - tak się zakonspirowała, że trafić do niej przedstawiciele Buków nie mogli. Penetrując więc świat podziemny co ruchliwsze Buki wywiadywały się i szukały odpowiedniej służby, zajmując się na razie kolportażem podziemnej prasy, którą z miesiąca na miesiąc stawała się coraz liczniejsza. Kolportowano prasę organizacji wojskowej, ale ileż także innych pism przeszło przez kolportaż Buków w świat! Szła przez ich ręce słynna na owe czasy i szeroko rozprowadzana „Polska Żyje”. Szła prasa socjalistyczna, narodowa, demokratyczna, bezpartyjna, szły gazety powielone i drukowane. Ponieważ jednak kolportaż dużo czasu nie zajmował, równocześnie zaś skończyły się w domach Buków słynne trzymiesięczne pensje, wypłacone we wrześniu przez polskie władze - musieli zająć się pomocą materialną swym domom. Trzeba było chwycić Wszystko to, co dawało zarobek. Ale czy chwytano naprawdę każde wpadające pod rękę zajęcie? No... nie! Były zarobki, które jakoś odpychały, na które żaden z nich nie miał ochoty. Raziło coś w paskarskim handlu żywnością. Nie pociągały pierwsze próby wyrobu bimbru. Bez specjalnego zastanawiania się, bez specjalnej myśli przewodniej, wdrożeni do pewnego typu postępowania - wybierali te wojenne sposoby zarobkowania, w których zarobek szedł w parze z mniejszą lub większą akcją pomocy społecznej. Więc przede wszystkim szklarstwo. Po oblężeniu domy warszawskie były całkowicie pozbawione szyb, a zima 1939-1940 roku była jedną z najstraszliwszych polskich zim.

Brakowało opału. Ludność cierpiała ogromnie. Szklarze mieli pełne ręce roboty i wtedy właśnie zaczęły powstawać, jak grzyby po deszczu, zastępy szklarzy- amatorów, a wśród nich Buki. Piekielnie męcząca była ta praca. Ręce grabiały na mrozie, puchły palce. Nieustanne przebywanie w wyziębłych mrozem pokojach wciągało w przewlekłe przeziębienia. Wydostanie szyb wymagało fantastycznej pomysłowości i sprytu. Ale cóż to była za satysfakcja, gdy się widziało, jak do świeżo oszklonych izb wracali wypędzeni z nich ludzie, jak po raz pierwszy nagrzane piece ocieplały powietrze, jak w tym błogim cieple wracał spokój na twarze dzieci, kobiet i mężczyzn. Gdy skończył się sezon szklenia, rozdzieliły się drogi Buków. Rudy zaczął dawać korepetycje. W mieście zamknięte były wszystkie szkoły, a Rudy był doskonałym korepetytorem. Alek ze swym zamiłowaniem do ekstrawagancji uruchomił jedną z pierwszych w Warszawie riks - to jest dwukołowy wózek

połączony z rowerem. Rikszę prowadził do spółki z Małym.

Ponieważ były to czasy, gdy uruchomiono tylko kilka linii tramwajowych, zaś każda z dopiero co wprowadzonych w stolicy riksz wzbudzała wśród publiczności zdumienie i uśmiech - Alek czuł się doskonale. - Te, Mały, czy nie sądzisz, że możemy być dumni z wprowadzenia w Polsce nowych środków lokomocji? Pionierzy jesteśmy, psiakość! Praca riksiarza była ciężka i męcząca. Riksz mało, amatorów transportu dużo. Gdy Alek z Małym wracali po dniu roboczym do domu, czuli się tak zmęczeni, że nie mieli już chęci ani na czytanie, ani na dyskusje. Ponieważ wraz z nadejściem lata zjawily się na ulicach nie sprzątanego miasta tumany kurzu, Alek i Mały powzięli decyzję skończenia z rikszą. - Pan Bóg dał lato nie po to, by pedałowac po mieście w skwarze i kurzu. Trudno dziś o góry i morze, ale najbliższa wieś jest tuż-tuż. I tak się zaczął nowy rozdział zarobkowej, typowo wojennej pracy Alka - został drwalem. Ponieważ węgiel nie dochodził wówczas do stolicy i drzewo stało się podstawowym środkiem opału, o pracę w lesie było nietrudno. W jednej z podwarszawskich miejscowości zaciągnął się Alek do roboty i ciął, piłował, rąbał od rana do wieczora. Rąbanie drzewa jest ciężką pracą, ale wbrew pozorom - pracą przyjemną. Szczególnie dla młodego, silnego mężczyzny. Gdy się oburącz trzyma w dłoniach ciężką szczapę, która jak piorunem rażona rozpada się na dwie części - ma się poczucie siły, w której dobrze czuje się psychika męska. Tam to właśnie, w środowisku gdzie pracował jako drwal, poznał Jędrka Makulskiego<sup>22</sup>. Był to chłopiec o parę lat młodszy od Alka i prawie o połowę mniejszy od niego, ale z usposobienia, charakteru, sposobu myślenia i zainteresowań tak doń podobny, że już po krótkim czasie młodzi ludzie zaprzyjaźnili się z sobą. Początki ich przyjaźni związane były z pewnym odkryciem, które na parę miesięcy związało ich i zespoliło we wspólnym przedsięwzięciu. Spacerując kiedyś po lesie, natknęli się na jakieś miejsce, najwidoczniej świeżo poryte łopatami. Zaczęli myszkować i ze zdumieniem wydostali karabin. Parogodzinna praca postawiła ich wobec faktu nie budzącego żadnej wątpliwości. Natknęli się na spory skład broni, złożony z kilku karabinów maszynowych, kilkudziesięciu karabinów ręcznych i dużych zapasów amunicji.

Najwidoczniej któryś z oddziałów, zmuszony do kapitulacji, zakopał tę broń, by nie dostała się wrogowi. Zakopał ją jednak mało starannie. Odkrycie ogromnie poruszyło obydwu młodych ludzi. Nie sposób było o tym mówić komukolwiek z domowników. W lęku przed odpowiedzialnością doradziliby im jeszcze jakieś głupstwo. Gwałtownie czynione próby dotarcia do jakiegokolwiek komórki organizacji wojskowej, zakomunikowania jej o odkryciu i

---

<sup>22</sup> Andrzej Makólski [w tekście błędna pisownia nazwiska), „Mały”. „Jędrak” - ur. 1924, uczeń Szkoły Podchorążych, dowódca plutonu w Powstaniu Warszawskim, poległ na Starówce 23 sierpnia 1944.

przekazania broni - spaliły na panewce: nie potrafili dotrzeć do wojska. Cóż pozostawało robić?

Wzięli na siebie całkowicie ciężar, radości i kłopoty odkrycia. Przez szereg tygodni każdej wolnej godziny i w każde święto gruntownie porządkowali broń, czyścili ją starannie („reperujemy rower, proszę pani”), oliwili, szczelnie zawijali w impregnowany materiał, wreszcie starannie zakopywali w dobrze urządzonej schronie. Była to ciężka i męcząca robota, która zajęła obu chłopcom kilka miesięcy. Pomagało im w tym zresztą paru Buków. Groza jednak odpowiedzialności ciążyła na Alku i Jędrku. Ta właśnie praca stała się podłożem ich paroletniej przyjaźni. Specjalnością, w której zasłynął Zośka - był wyrób marmolady. Co prawda i on w początkach zimy, wzorem większości Buków, pracował jako szklarz, ale sezon szklarski skończył się, trzeba było rozejrzeć się za nowym źródłem zarobkowania. I wtedy powstał pomysł założenia „fabryki” marmolady. Oto w pokoju Zośki siedzą wokół wielkiej misy pracownicy „fabryki” obierając i krając jabłka, marchew i rabarbar: matka, siostra, Urka<sup>23</sup>, Czarny Jaś, Jacek Tabęcki i Leszek Zieliński<sup>24</sup>. Jacek od paru miesięcy bardzo zbliżył się z Zośką. Jest pierwszym w życiu Zośki przyjacielem. Jego zdolności, inteligencja, hart zdobyty wskutek trudnych warunków domowych – imponowały Zośce, pociągała zaś wielka subtelność. Imponowała także umiejętność i zamiłowanie do przelewania na papier swoich i wspólnych myśli oraz treści pochłanianych masowo książek. Czego tam nie było w notatkach Jacka! I to, że człowiek może zostać takim, jakim chce, i uwagi o honorze, myśli o bohaterstwie, o potrzebie ofiar i to, jaki musi być żołnierz polski, uwagi o roli rozumu i uczucia, a także o błędnej przezeń ocenie Zośki, jako kierującego się wyłącznie rozumem. Teraz wspólnie prowadzą wytwórnię marmolady. W domu Zośki tak jest dobrze, że każdy pomysł pracy zarobkowej, tutaj właśnie zakotwiczonej, wydaje się doskonały. W „fabryce” marmolady rozmawia się o wszystkim, nigdy jednak o sprawach organizacyjnych Buków, choć do „fabryki” coraz więcej zagląda kolegów. Dom Zośki przyciąga jak magnes. Czy to działa atmosfera wzajemnej życzliwości, otaczająca całą tę rodzinę? Czy to przyciąga młodych ludzi obecność Hanki i Urki! Być może działa powód jeden i drugi - niewątpliwie wszakże oddziałuje także powód trzeci: w owym czasie przywódcze „właściwości Zośki rozwijają się i wzmagają. Wokół jego osoby zaczyna się koncentrować samorzutnie cała gromada Buków. Tak samo samorzutnie ze strony Zośki

---

<sup>23</sup> Urka - Urszula Głowacka-Plenkiewicz w 1939 maturzystka Gimnazjum i Liceum Im. Królowej Jadwigi w Warszawie, przyboczna w 9 W2DH „Błękitnej”. W latach okupacji członkini sabotażowego zespołu Wawra przy hufcu Mokotów Otrzymała pseudonim honorowy „pani Kwaskowska”.

<sup>24</sup> Lechosław Zieliński (1914-1940) - maturzysta Batorego w 1932, magister nauk ekonomicznych, w latach 1937-1938 komendant Gniazda 23 WDH, podharcemistrz, aresztowany w marcu 1940, zginął w Oświęcimiu.

wzrasta troska i poczucie odpowiedzialności za cały zespół. Osoba Zośki zaczyna spajać Buki czymś bardzo mocnym i bardzo trwałym. Ale wszystkie te i tym podobne zajęcia zarobkowe i dorywcze prace społeczne nie dawały ani Zośce, ani Alkowi, ani Rudemu, ani ich kolegom poczucia stałości. - To wszystko - nie to!

Szukano więc dalej nowych dróg i nowych czynności. Kiedyś cały zespół Buków związał się z działalnością Stołecznego Komitetu Samopomocy Społecznej, w którym dział młodzieżowy objął profesor Domański-Zeus. Kiedy indziej wzięto na siebie wielki trud porządkowania mogił żołnierskich. I to, i tamto było bezpośrednio pożyteczne, ale na dnie wszystkiego wciąż leżała niepewność: czy to jest jednak to, o co chodziło? Stosunkowo najsilniej związali się w tym przejściowym czasie z pracą komórki więziennej, tzw. Komórką Andrzeja. Praca w komórcie więziennej była pierwszą służbą Buków na rzecz podziemnych sił zbrojnych, których ramieniem w więziennictwie warszawskim była Komórka Andrzeja. Charakter tej pracy, jak to często bywa u Pani Służby, łączył w sobie dużą odpowiedzialność i... nudę.

Chłopcy rozdzieleni zostali na niewielkie zespoły według dzielnic, całością dowodził Zośka. Każda dzielnica miała swój lokal, na który co dzień przychodziło kilka lub kilkanaście drobnym makiem zapisanych grypsów więziennych. Karteczki te kurierzy rozwieźć mieli po mieście i doręczyć adresatom. Ponieważ zaś adresaci z reguły nie oczekiwali ani karteczek, ani nieznanym „listonoszy” - o kłopotliwe nieporozumienia było nietrudno. Robotę w komórcie więziennej rozpoczęto w marcu 1940 roku, trwała ona do czerwca. Potem zakotłowało się coś „na górze”. Karteczek zapisanych drobnym makiem było coraz mniej, rowery całymi dniami zaczynały stać beczynne. W końcu czerwca Buki rozstały się z komórką więzienną. Trwałą zdobyczą z tej służby było zawiązanie przyjaźni między Bukami i panem Jankiem<sup>25</sup>, ich bezpośrednim przełożonym w komórcie więziennej. W drugiej połowie 1940 i w początkach 1941 roku na pierwszy plan wybiło się w zespole Buków samokształcenie. Właściwie JUŻ od października 1939 roku uczyli się i dyskutowali. Jedni z pierwszych w Warszawie zorganizowali komplety matematyki, fizyki oraz cykle dyskusji historycznych i światopoglądowych. Ale w tym właśnie czasie, na przełomie 1940 i 1941 roku, ogarnęła ich istna pasja nauki i dyskutowania. Jakby na przekór ponurej rzeczywistości, wbrew nastrojom paniki, jaka ogarnęła Warszawę na skutek olbrzymich łapanek do Oświęcimia, przeprowadzonych w sierpniu i wrześniu 1940 roku, wbrew beznadziei

---

<sup>25</sup> Pan Janek- Jan Rouman, członek Głównej Kwatery, harcistrz; od 1942 kierownik Wydziału Kształcenia GKH. od 1X4 wizytator Chorągwi Warszawskiej, członek Rady Programowej przy Naczelniku Harcerzy.

politycznej, spowodowanej katastrofą Francji, wbrew strasznym warunkom ciężkiej drugiej wojennej zimy, wbrew temu wszystkiemu młodzi ci ludzie z zaciętym uporem co dzień odrabiali samym sobie wyznaczone przydziały naukowe i parę razy w tygodniu organizowali wieczory dyskusyjne. Cóż za fantastyczne fluidy napełniały atmosferę pokojów, w których zbierała się ta gromadka. Jaka przekora była z dyskutowanych tematów w stosunku do rzeczywistości. W tygodniu, w którym Hitler odbierał defiladę w Paryżu i w całej Europie ludzie chodzili ze spuszczoneymi głowami - ci „wariaci”, zawiesiwszy ścianę mapami, roztrząsali sprawę wcielenia do Polski Prus Wschodnich. Gdy przychodzić zaczęły pierwsze wiadomości o masowych zgonach w Oświęcimiu - po obszernym rozważeniu sprawy, jednomyślnie zajęli stanowisko, iż w polskiej walce przeciwko zbrodniarzom pruskim, należy bezwzględnie unikać metod hitlerowskich, a zachować rycerskie, polskie obyczaje. Wreszcie któregoś mroźnego dnia, gdy woda w mieszkaniu pozamarzała w dzbankach, a para buchała z ust przy każdym oddechu - urządzili... poranek szopenowski. Tak oto bezgraniczna wiara młodości: wiara w siebie samych, wiara w naród, wiara w słuszość polskiej sprawy i w najwyższą sprawiedliwość - kazała tym młodym ludziom traktować całą otaczającą ich rzeczywistość jako coś bardzo nierealnego i przejściowego. W tym też czasie Zośka, Alek, Rudy i kilku innych -wstąpiło do Szkoły Budowy Maszyn im. Wawelberga<sup>26</sup>. Uczyli się starannie, choć nie była to szkoła, do której by uczęszczali w czasach normalnych. W każdym jednak razie była to szkoła i normalna nauka. Dawała więcej niż komplety, szczególnie gdy się lekcje uzupełniało samokształceniem i „naciągało” profesorów na dodatkowe wyjaśnienia.

Uczenie się, dyskusje światopoglądowe, wycieczki, kolportaż, zajęcia zarobkowe, doraźne służby na rzecz tej czy innej komórki podziemnej, wszystko to zajmowało całe dnie, dawało poczucie, że się spełnia swe obowiązki, ale... „Dyskusje nam się coraz częściej nie kleiły. Chcieliśmy coś robić. Robić z przeświadczeniem, że to jest robota warta całkowitego oddania się jej”. Tych parę zdań napisał, wspominając te czasy, Zośka. I oto - stała się rzecz, której wszyscy pragnęli. W marcu 1941 roku trafili wreszcie na właściwy tor. Związali się z akcją małego sabotażu, prowadzoną przez organizację podziemną Wawer, która stanowiła wówczas czoło otwartej walki z okupantem w kraju na odcinku szczególnie istotnym - odcinku oddziaływania niezależnej polskiej myśli na najszersze rzesze narodu. W okresie szczytowych powodzeń Niemiec, w okresie największego wzrostu ich potęgi - udany dowcipny pomysł propagandowy wytwarzał ten szczególny nastrój Warszawy, który ją będzie charakteryzował przez całą okupację, nastrój niczym nie zmaconej wiary w słuszość własnej

---

<sup>26</sup> Szkoła Im. Hipolita Wawelberga - szkoła techniczna, znana z wysokiego poziomu nauczania.



sprawy i kpiarskiego stosunku do tak zwanych „tymczasowych”. Nowa robota otworzyła chłopcom okazję do prawdziwie czynnej służby w pracy niepodległościowej. W przyłączeniu się do akcji Wawra nie pośredniczył już Zeus. Na parę miesięcy przedtem, wypełniając rozkaz Głównej Kwatery Szarych Szeregów ruszył do Wilna, w celu nawiązania kontaktów z harcerstwem wileńskim. Ruszył - i ślad po nim zaginął. Młodzi ludzie przez długie miesiące i lata odwiedzali po dawnemu tak przez nich lubiane mieszkanie Zeusa i przyglądali się po dawnemu cudom jego podróżniczych zbiorów, rozmawiając całymi godzinami z samotną starszą panią, która wciąż jeszcze czeka.

## W SŁUŻBIE MAŁEGO SABOTAŻU

Pierwsze zadanie dotyczyło fotografów. Instrukcja przyniesiona „z góry” stwierdzała, że liczni fotografowie warszawscy powystawiali w szafkach wystawowych fotografie żołnierzy niemieckich; fotografowie demoralizują samych siebie i społeczeństwo; nadają ulicom Warszawy nieznośny wygląd. Ponieważ na kilkakrotne listowne wezwania Wawra tylko niewielka ich część zareagowała, usuwając fotografie Niemców, należy resztę nauczyć postawy obywatelskiej innymi sposobami. Tłuczenie szyb przymilającym się do klienteli nieprzyjacielskiej fotografom - oto zadanie na najbliższą przyszłość. Stłuczenie szyby wystawowej wiosną 1941 roku nie było rzeczą łatwą... psychicznie. Po pierwsze - ogromna większość zakładów mieści się na głównych ulicach miasta, na których o każdej porze jest duży ruch; po drugie - w owym czasie miasto nie znało jeszcze żadnych „akcji” ulicznych. W owych czasach nikt do nikogo na ulicy nie strzelał, nikt nie wybijał szyb. Szyby fotografów miały być i były jednym z pierwszych aktów represyjnych wobec Polaków, którym brakowało kośćca obywatelskiego. Wykonawcy tych represji - pionierzy słynnych później wyczynów ulicznych - zabierali się do swoich szyb z namaszczeniem, lękiem, z długotrwałym obmyśleniem planu i z wielkimi ostrożnościami. Głośny brzęk rozpryskiwanej szyby wystawowej zdawał się i dla wykonawcy, i dla publiczności warszawskiej aktem równym wybuchowi maszyny piekielnej. W tej właśnie akcji fotograficznej wybił się na czoło Alek. Po jednym czy po dwóch miesiącach ostrożnie i skrupulatnie przygotowanych doświadczeniach, zachęcony powodzeniem, zdecydował się na ryzykowną i pomysłową inicjatywę. Któregoś wczesnego ranka wsiadł na rower (zdjąwszy uprzednio numerek), do kieszeni włożył kilka sporych kawałków żelaza i ruszył na Marszałkowską. W pobliżu pierwszej witryny fotografa skręcił na chodnik, wyminął paru przechodniów i z całej siły walnął w szybę. Głośny brzęk tłuczonego szkła przygiął go do kierownicy, stopy mimo woli mocniej zaczęły naciskać pedały. Nie oglądając się skręcił na Jeźnię i szybko pedałowal przed siebie. Dopiero po minucie ochłonął z wrażenia i zauważył, że z prawej strony widać znów witrynę z fotografiami niemieckich żołnierzy. Skręcił, trzasnął z całej siły żelazem, aż szyba rozprysła się w drobne kawałki. Z bramy ktoś wyskoczył wrzeszcząc głośno i Alek znów odruchowo przyłgnął do kierownicy. Trzecia witryna z fotografiami niemieckimi, która wpadła mu w oczy, była na wprost dworca. O sto kroków stał policjant. Na rogu robotnicy ZOM<sup>27</sup> przeprowadzali jakiś remont. Dozorcy zaczęli otwierać bramy. Był spory ruch.

---

<sup>27</sup> ZOM - Zakład Oczyszczania Miasta.

Dziesiątki podszeptów wzywało Alka, by nie patrzył na prowokującą witrynę i pędził dalej, ale nie mniej silny głos wewnętrzny kazał mu sięgnąć do kieszeni po dużą żelazną nakrętkę. - Przecież nigdzie nie widać żadnego Niemca, ci wszyscy na ulicy - to Polacy; nie bój się, chłopcze, szczęście sprzyja odważnym - szeptał sam do siebie. Rozsądek pokierował odwagą. Alek zszedł z roweru i prowadząc go powoli w kierunku witryny, czekał na nadjeżdżający tramwaj. Gdy wozy tramwajowe z chrzęstem i zgrzytem wymijały fotografa - Alek zamachnął się i cisnął wielką nakrętką. Huk przejeżdżającego tramwaju zagłuszył brzęk szkła. Alek odjeżdżał powoli oglądając się z uśmiechem na witrynę trzeciego fotografa. Był zdumiony: ani policjant, ani robotnicy z ZOM, ani dozorczy domowi niczego nie zauważyli. Wobec tego czwartą szybę wywalił także przy akompaniamencie hałaśliwych zgrzytów tramwajowych i szczęśliwy wracał do domu. Jechał wyprostowany, uśmiechnięty, chciało mu się śpiewać i pokrzykiwać. Dokonał dwóch rzeczy: spełnił ponad normę przypadające nań zadanie oraz przed samym sobą odbył z dobrym wynikiem próbę odwagi. Akcja fotograficzna Wawra po kilku uporczywych miesiącach jej kontynuowania wydała doskonałe wyniki: z ulic warszawskich zniknęły zupełnie fotografie mężczyzn w niemieckich mundurach. Natomiast druga akcja, prowadzona równocześnie z pierwszą, nie dała tak dobrych wyników, choć włożono w nią dużo wysiłku i pomysłowości. Akcja miała przerwać chodzenie polskiej publiczności do kin, gdyż w kinach wyświetlano stale propagandowe dodatki niemieckie i czysty ich dochód szedł do kas propagandy niemieckiej. Jak w represjach fotograficznych wybił się Alek, tak w początkach „pracy kinowej” głośny stał się Rudy. Było to wtedy, gdy zaczynano dopiero szykany wobec publiczności kinowej. Zaczynano wstępnym, złośliwym sloganem, wypisywanym kredą na murach: „Tylko świny siedzą w kinie”. W druku slogan ten wygląda króciusieńko, ale gdy się go pisze dużymi literami na murze, staje się potwornym tasiemcem. Jego wypisywanie trwa zda się wieki; ponieważ zaś napis musi być czytelny, każdą literę należy pisać równo, starannie i bez pośpiechu. Jakaż świetna szkoła panowania nad sobą! Napisałeś pierwszych parę liter, a oto ubezpieczający cię kolega ostrzega, że do rogu podchodzi przechodzień. Serce przyspiesza uderzenia, lecz dłoni nie wolno przyspieszyć ruchów kredy. Z drugiej strony ulicy słychać kroki. Niespokojny gwizd zabezpieczającego uderza w uszy.

Fala krwi napływa do mózgu. Przemozna pokusa krzyczy wprost w duszy, by przerwać, cisnąć kredę, biec - ale dłoń spokojnie i równo kreśli koniec ostatniego słowa, potem również spokojnie kładzie kredę do kieszeni. Spokojnie i powoli zaczynasz iść w kierunku najbliższej przecznicy. Zwyciężyłeś sam siebie.

Alek był z natury odważny. Lecz Rudy musiał się silnie przezwyciężać przy każdej

robocie. Jego pierwsze wielkie nad sobą zwycięstwo było związane z napisem sloganu „Tylko świnie siedzą w kinie”. Na ulicy Rakowieckiej, na czerwonych ceglach koszar lotniczych, Rudy najpierw napisał slogan, a potem narysował dwie duże świnie siedzące w krzesłach. Ulica Rakowiecka jest dość ruchliwą ulicą.

Była ulicą koszar lotniczych i koszar SS. Pisanie i rysowanie trwało parę minut.

Była to jedna z najpierwszych prac Rudego. Rudy wykonał zadanie ponad normę, uzupełniając je własnym pomysłem. Ponieważ był dobrym rysownikiem, świnki wypadły pierwszorzędnie i przez dłuższy czas były tematem rozmów w mieście.

Walka z kinami rozgorzała na dobre. Mały Sabotaż - kontra publiczka warszawska.

Wydano specjalną ulotkę do młodzieży. Rozlepiono na ulicach powszechny śmiech wzbudzające „obwieszczenie urzędowe” szefa propagandy Ohienbuscha, w którym to obwieszczeniu Ohienbusch wzywa Polaków do uczęszczania do kin, jako że dochód z nich idzie na dobrojenie armii niemieckiej! Gazowano niezliczoną ilość razy sale kinowe, powodowano w nich smrody, wybuchy i pożary. Bez skutku! Warszawa powtarzała slogan o świniach siedzących w kinie, śmiała się z Ohienbuschowego afisza, a próbowała wykurzanie gazami z filmów - ale publiczka warszawska nie dawała się zwyciężyć. Ku zdumieniu i irytacji komendy Wawra właśnie w tych kinach, gdzie najczęściej przeprowadzano gazowanie - tłok był największy.

Publiczka cisnęła się tam nie tylko, by oglądać film, ale także, aby przeżyć sensację gazowania. Wreszcie na pomoc Małemu Sabotażowi przyszli... hitlerowcy, urządzając któregoś dnia łapankę w salach kinowych. Kiedy i to także nie zmniejszyło frekwencji - Mały Sabotaż uznał się za pokonanego i dał spokój kinom. Publiczka zwyciężyła! Do kin chodził co prawda ludek bardzo pośledniego gatunku, ale sprawiedliwość nakazuje stwierdzić, że gdy na ekranie pokazywała się już zbyt oczywista „lipa” propagandy niemieckiej, ten ludek gwizdał i tupał.

Jednym z głównych zadań Małego Sabotażu było oddziaływanie na własne społeczeństwo, doprowadzanie do porządku kanałii, uczenie ludzi o małym wyrobieniu obywatelskim rozumem, upowszechnianie haseł walki cywilnej. Zarówno akcja przeciw fotografom, jak i przeciwko kinom te właśnie cele miała do spełnienia. W pierwszej wybił się Alek, w drugiej - Rudy. Obaj zjednoczyli swą pomysłowość i wysiłki w tak zwanej „akcji przeciw Paprockiemu”. Paprocki był to restaurator przy ulicy Madalińskiego. Regularnie w każdą sobotę ogłaszał się w godzinowym „Nowym Kurierze Warszawskim” komunikując, że pośredniczy w prenumeracie „Der Sturmer” (jednego z najbardziej plągowych tygodników hitlerowskiej propagandy) i innych niemieckich pism. Wobec tego Rudy i Alek przy pomocy

kilku kolegów postanowili na rozkaz Wawra „wykończyć” Paprockiego, wykończyć go „na szaro”. Kwatery główna roboty przeciw Paprockiemu mieściła się w mieszkaniu Rudego. Codziennie przychodzili tam Alek i paru innych. Każdego dnia omawiano plan bliższych i dalszych przeciw Paprockiemu zamierzeń, każdego dnia zamierzenia te wprowadzano w czyn. Najpierw posłano do Paprockiego parę perswadujących listów. Potem wytłuczono mu szyby. Potem na szeregu przystanków tramwajowych rozlepiano ogłoszenie, że ma on na sprzedaż, po rewelacyjnie niskiej cenie, bardzo w owym czasie poszukiwaną słoninę. Potem zaczęto go nękać i dręczyć kilkoma dziennie telefonami, tłumacząc, co to jest „Der Sturmer”.

Potem dano w „Nowym Kurjerze Warszawskim” parę ogłoszeń o tym, że Paprocki ma na sprzedaż za pół darmo węgiel, którego chce się szybko wyzbyć. Potem na murach domu Paprockiego i sąsiednich wypisano o Paprockim szereg soczystych słów. Potem nalepiono na drzwiach restauracji klepsydre żalobną o zgonie Paprockiego. I znów wytłuczono mu szyby. Po dwóch tygodniach w każdym z okien restauracji ukazało się ogłoszenie, wystawione przez bliskiego wariactwa restauratora: „Zawiadamiam Szanowną Publiczność, że nie prowadzę JUŻ pośrednictwa w prenumeracie Der Sturmer i innych niemieckich pism”. Jeden z głupców został nauczony rozumu!

Chłopcy czuli się doskonale w służbie Małego Sabotażu. W pracę wkładali inicjatywę i sporo czasu. Słyszeli, jak miasto pozytywnie ocenia to, co robią.

Widzieli często dodatnie wyniki swej pracy. To dawało zadowolenie. Duże zadowolenie. Szczególnie, że czuli jednocześnie, jak oswajają się z niebezpieczeństwem, jak wdrażają w odwagę, i jak wzrasta wpływ ich działalności na stolicę. Dwa poczynania Wawra były szczególnie udane i dały specjalnie dużo zadowolenia. Rozlepienie ośmieszającego Hitlera afisza: „Führer powiedział...” oraz rysowanie na murach żółwia, mającego propagować powolną robotę w zakładach, pracujących na rzecz okupanta. Rekordzistą żółwiowym okazał się Rudy. Przydały się tu jego zdolności rysunkowe oraz wymyślony przezeń schemat żółwia, łączący w sobie, jak z dumą mówił - ekspresję wyrazu i szybkość pociągnięcia kredą.

Jednego wieczoru narysował Rudy ponad 80 żółwi! Koledzy, oglądając te rysunki, z uznaniem kiwali głowami nad wyjątkowym lenistwem, bijącym z sylwetek żółwi Rudego. - Nie ma co! Wybitny talent rysunkowy! Tej samej skali, co talent kucharski! To wszystko, co opisywaliśmy wyżej, dotyczy jednej z dwóch dróg oddziaływania Małego Sabotażu: drogi oddziaływania na własne społeczeństwo. Była jednak również i dziedzina druga:” oddziaływanie na Niemców warszawskich, na 20 000 cywilnych Niemców stale przebywających w stolicy oraz setki tysięcy przewalających się przez stolicę niemieckich

żołnierzy i urzędników. Chodziło o to, by Niemiec widział i czuł, że pobity kraj nie został pokonany, że go jako okupanta nienawidzi. Chodziło o to, by dręczyć i niepokoić nieprzyjaciela unaocznianiem mu, iż istnieją podziemne siły polskie, w każdej chwili gotowe do wyjścia na świat i do odwetu. W latach 1941 i 1942 tę działalność pedagogiczną w stosunku do okupanta spełniał właśnie Mały Sabotaż. Mały Sabotaż Wawra był pierwszą linią Polski walczącej. Dywersja w owe czasy trwała jeszcze w głębokim ukryciu. Oddziałów partyzanckich także jeszcze nie było, z wyjątkiem legendarnego Jędrusia<sup>28</sup> na Kielecczyźnie. Pierwszą wielką robotą dręczenia i niepokojenia Niemców, w której wzięli udział nasi chłopcy - była znana na całym świecie wojna z Goebbelsem, przeprowadzana za pomocą litery V. Inicjatywę podjęła propaganda angielska, nawołująca drogą radiową wszystkie kraje okupowane do pisania na murach litery V, to znaczy „Victory” - zwycięstwo. Wawer przyłączył się do brytyjskiej inicjatywy i pewnego dnia miasto pokryło się tysiącami liter V. Ponieważ to samo działo się w Jugosławii, Belgii, Francji - w całej okupowanej Europie, a nawet na niektórych terenach Rzeszy - Goebbels powziął decyzję wybicia klina klinem. Na przełomie lipca i sierpnia 1941 roku propaganda hitlerowska zaczęła z niesłychanym nakładem sił i środków, za pomocą ulotek, afiszy, napisów, specjalnych tablic itd. rozpowszechniać tę samą literę V jako „Victorię” - symbol przyszłego zwycięstwa niemieckiego. Wawer ocenił z uznaniem refleks i pomysłowość Goebbelsa, natychmiast jednak zastosowano ripostę; zaczęto duże V uzupełniać w ten sposób, że Warszawa zaroila się od słowa „verloren”. „Deutschland verloren” - Niemcy zgubione! Było dużo roboty z tym V i z „Deutschland verloren”. Była to jednak praca-zabawa. Przyjemnie mieć do czynienia z rzutkiem i pomysłowym przeciwnikiem! Dużą satysfakcją jest nie dać mu się, odparować i uderzyć go w czułe miejsce. Szczególnie, gdy przeciwnik jest zbrojny w potężne środki, samemu zaś rozporządza się tylko kredą i małą nalepką.

Gdy propaganda niemiecka rzuciła hasło wypisywane i rozlepiane setkami tysięcy:

„Deutschland siegt an allen Fronten”, Wawer krótkim ostrym pchnięciem odparował cios: w słowie siegt literę s zamieniono na literę l „Deutschland liegt an allen Fronten” (zamiast: Niemcy zwyciężają... - Niemcy leżą na wszystkich frontach).

Starożytni poeci, zaczynając swe eposy, wzywali często we wstępach bogów do pomocy w opisie wielkich czynów. Niechże wolno będzie autorowi tej książki westchnąć także o pomoc do muz w opisie jednego z drobnych, lecz jakże pomysłowych czynów Zośki i Rudego. W drugim roku okupacji uruchomili hitlerowcy w Warszawie szereg sklepów

---

<sup>28</sup> Jędrus - Władysław Jasiński (1909-1943), twórca grupy dywersyjno--bojowej działającej od 1941 roku na terenie powiatów: tarnobrzskiego, Kieleckiego.3

wędliniarskich, sprzedających wędliny tylko Niemcom.

Dla zrujnowanej Warszawy (dla stutysięcznych rzesz ciągle głodującej ludności, otrzymującej na kartki tylko chleb, drobne ilości cukru oraz od czasu do czasu 100 g mięsa) - te olbrzymie sklepy, za witrynami których widniały stosy soczystych kielbas, wielkich szynek, połcie mięsa, wiazanki parówek i serdelków - te niemieckie sklepy Wohlfartha były nieznośną prowokacją. Zośka, bardziej niż inni wrażliwy na zagadnienia społeczne, zdecydował przeprowadzenie akcji przeciw kilku sklepom. Do spółki z Rudym, do którego w tym czasie silnie się zbliżył i zaprzyjaźnił, zdobył kilka próbek gazowych i ze stoperem w ręku przeprowadził doświadczenia co do długości spalania lontu. Pewnej soboty, kupiwszy samo-zatrzaszkującą się kłódkę, Zośka i Rudy ruszyli do głównego sklepu Wohlfartha na Nowym Świecie. Była godzina 12 w południe. Tłok w sklepie ogromny.

Zośka przewyciężając niepokój i lęk, zapalił zwisający u próbki lont, szybko otworzył drzwi, wszedł i, odsuwając paru Niemców, położył na bocznej ladzie próbkę z syczącym lontem. Gwałtownym ruchem cofnął się do drzwi i, zanim zdumieni Niemcy zorientowali się, o co chodzi, był już za progiem. Rudy stał z kłódką na zewnątrz. W chwili, gdy Zośka zamykał drzwi, a w sklepie powstał niespokojny ruch, Rudy nałożył kłódkę na dwa zewnętrzne kółka, aby zamknąć w ten sposób drogę wyjścia kilkudziesięciu Niemcom. Wszystko to trwało zaledwie sekundy. Syczący lont i zamknięcie drzwi wywołały w sklepie panikę. Kotłowanie widoczne było na zewnątrz. Zośka zniknął. Rudy jednak został przy drzwiach, szarpiąc się z kłódką. Przekleństwo! Kłódka była za mała, kółka za grube - nie można było docisnąć. Próbkę już wybuchła, duszący dym zaczął napępniać sklep.

Przed sklepem gromadził się tłum. Ludzie widzieli, że coś niesamowitego dzieje się wewnątrz. Podchodziło dwóch policjantów. - Rudy! Rudy! - krzyknął ostrzegawczo z drugiej strony ulicy Zośka. Każda chwila stawała się coraz niebezpieczniejsza. Rudy podniecony i wściekły odbiegł od sklepu. Jakiś głupio usłużny przechodzień otworzył drogę zamkniętym, którzy, jak przez szatanów pędzeni, w tłoku i krzykach rzucili się na ulicę. Oczywiście Alek nie mógł dać się zakasować pomysłowości i inicjatywie innych. On też miał swoje pomysły i swoje zamierzenia. Jeśli dręczyć hitlerowców - to dręczyć. Jeden z efektownych, choć nieco niebezpiecznych sposobów polegać będzie na zrywaniu hitlerowskich flag. W każde niemieckie święto wywieszały niemieckie i Niemcom podległe urzędy ogromne, czerwone flagi ze swastykami. Te wielkie jaskrawe płótna zwisały na dziesięć metrów i często niemal dotykały chodników, prowokując polskie oczy swą symboliką. Stwierdzić trzeba, że pierwsze hitlerowskie flagi zerwane były w Warszawie rękami Alka. Ponieważ chłopiec ten, jak się przekonano JUŻ od pierwszych tygodni pracy w Wawrze, miał wyjątkowo rozwiniętą

odwagę, a ponadto wciąż gnał go niepokój w poszukiwaniu rzeczy niecodziennych, w wykonywaniu czynów niełatwych - ponieważ silnie grała w Alku ambicja - toteż flagi hitlerowskie, na które ruszał osobiście - były to zawsze flagi wyjątkowe.

Koledzy z jego piątki szli na ściąganie flag normalnych, skromniejszych rozmiarów, na mniej ruchliwych ulicach. Alek ruszał do flag największych, do najbardziej eksponowanych punktów miasta. On też zerwał olbrzymią flagę z gmachu PKO na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Wspinanie się, silne szarpnięcie, szybkie zwinięcie flagi i jazda. A potem - uśmiechnięty, zadowolony odwiedza Alek przyjaciół i wymachując rękoma, pełen entuzjazmu szybko opowiada o tym, jak to było. - Cóż u Boga Ojca, myślisz, że ty jeden to potrafisz! - zachnął się kiedyś Rudy. - Przyjdź do mnie jutro, a postaram się pokazać ci coś!

Zaintrygowany Alek wpadł następnego dnia do Rudego i oczom swoim nie wierzył: w pokoju czerwieniła się masa płótna trzech potężnych, dziesięciometrowych flag. - Rudy! Człowieku! Gdzieś ty to zrobił?

- Zdjąłem z Zachęty.

- Bujasz, niemożliwe!

- Jedźmy, sprawdzimy.

Pojechali. Alek już z daleka wlepił wzrok we fronton Zachęty i zdumiony zaczął cmokać. - No, no, no! - Spośród czterech olbrzymich flag wisiała tylko jedna.

Trzy inne były zerwane. Na drążkach u góry czerwieniały strzępy mocno trzymających się resztek materii. - No, no, no! - powtórzył z uznaniem Alek, patrząc na małą postać Rudego i w myśli przymierzając ją do dolnego drążka ostatniej ocalałej flagi. Drążek ten był mniej więcej na trzymetrowej wysokości od ziemi. W oczach Alka widniało nie ukrywane zdziwienie. Oczywiście wszystkie wyczyny Alka, Rudego i ich kolegów nie rodziły się chaotycznie i przypadkowo.

Tylko ktoś nie znający mechanizmu działania zespołowego mógłby powziąć absurdalną myśl, że młodzi ludzie zależnie od natchnienia i od nastroju wykonywali te czy inne oderwane akcje. W istocie rzecz wyglądała bardziej skomplikowanie, a może bardziej prosto; za kulisami efektownej akcji Buków znajdował się ich przywódca i reżyser - Zośka. Oczywiście Zośka nie był naczelnym wodzem Wawra w Warszawie, był tylko komendantem jednego z szesnastu rejonów, na jakie została podzielona stolica. Ale był to komendant zdolny, obdarzony wyjątkowym wyrobieniem organizatorskim i dysponujący doskonale dobranym zespołem. W każdej pracy, jaką trzeba było robić, Zośka brał osobiście żywy i bezpośredni udział. Przewodził w czasie szaleństwa „Victorii”, bił rekordy w czasie



rysowania „kotwic”. W czasie roboty odznaczał się dużym opanowaniem i spokojem. Spokój ten i opanowanie najbardziej imponowały Bukom.

Ale osobiste uliczne wyczyny Zośki były czymś mało istotnym i drugorzędnym dla jego udziału w akcji Małego Sabotażu. Istotna rola Zośki polegała na pracy „sztabowej”. To on rozplanowywał drobiazgowo i szczegółowo każdą pracę, wyznaczoną jego rejonowi przez Komendę Wawra, troskliwie przewidując wszelkie niebezpieczeństwa, mogące tej właśnie pracy towarzyszyć. To on organizował i podniecał wspaniałe współzawodnictwo inicjatywy i pomysłowości. On czynił z każdego występu ulicznego swoistą szkołę charakterów, przepajając wszelkie wystąpienia Buków atmosferą służby i obowiązku, punktualności, rzetelności, odwagi, koleżeństwa. Z miesiąca na miesiąc wzrastało przywiązanie i zaufanie Buków do Zośki. To, że umiał trafnie przewidywać i trafnie zarządzać - wiedzieli od dawna, jeszcze z czasów szkolnych. Teraz przekonali się, że Zośka stał się specjalistą w organizowaniu ludzi i życia. Mimo że był ich rówieśnikiem i kolegą, poddawali się jego woli chętnie i bez wewnętrznego oporu. Szczególnie mocnym oparciem dla Buków był Zośka w ciężkich okresach, kiedy w kogoś z ich gromady uderzył grom lub gdzieś w najbardziej bezpośrednim pobliżu zapadał się grunt podziemnego życia. W takich chwilach zdolności przywódcze Zośki jakby uwielokrotniały się. Był jeszcze spokojniejszy niż zwykle, decyzje wydawał szybciej niż zwykle. Pewnego listopadowego ranka 1942 roku uratował od niewątpliwiej zguby dwoje ludzi tylko dlatego, że w ciągu minuty po usłyszeniu groźnej nowiny pędem wybiegł na miasto i zdążył w sam czas, by ich zatrzymać przed bramą zagrożonego lokalu. Zośka był wśród Buków propagatorem „teorii spokoju” w czasie akcji. Mawiał często: - W służbie potrzebny jest spokój, opanowanie, trzeźwa ocena, jasny umysł i pogoda ducha. - Zabawne jest pochodzenie tej sentencji. Kiedyś gromadka Buków z Zoską na czele wypisywała jakieś hasła na długim murze pewnej fabryki. Chłopcy byli niespokojni, pisali nerwowo i szybko. Naraz zza rogu wyszedł stróż. Młodzi ludzie nie zauważyli go i pospiesznie pracowali dalej. Stróż po chwili konsternacji oprzytomniał. - Panowie, spokojnie, spokojnie, nie tak ostro! Wy musicie pisać, ja muszę ścierać - ale po co tyle tego! Nie tak ostro, powoli! - Piszący zbaranieli, zaskoczeni zarówno nieoczekiwanym zjawieniem się stróża, jak i jego kpiącym głosem. Pierwszy uśmiechnął się Zośka, za nim inni. Gdy wracali z roboty, powtarzali sentencję stróża - spokojnie, panowie, nie tak ostro. - Od tego czasu okrzyk ów stał się dewizą postępowania Buków w akcjach Małego Sabotażu. Tylko odwaga i zdecydowanie połączone ze spokojem i trzeźwością dają powodzenie. Dopiero teraz, w napięciu przeżyć i osiągnąć Małego Sabotażu, Buki stają się naprawdę zwartą i zespoloną grupą. Rozumieją się wszyscy doskonale i są karni, jak rzadko która grupa.

Wszyscy oni, zarówno dowodzący jak i dowodzeni, nie zdając sobie z tego sprawy - wychowywali się przez wzajemne oddziaływanie. Zośka kiedyś zanotował w swym pamiętniku: „Już pierwsze miesiące wspólnej roboty dały nam to, co uważamy za jedno z najważniejszych osiągnięć tej pracy, coś, co w wartości swej było co najmniej równoznaczne z wynikami zewnętrznymi naszej roboty, a mianowicie życie się, stworzenie pełnego zaufania do siebie, związanie się wspólnie przeżytymi pracami i niebezpieczeństwami, a jednocześnie ćwiczenie odwagi i dzielności.

Wtedy już dobrze zrozumieliśmy służbę. Mówię w liczbie mnogiej, gdyż wszystkie obserwacje, sformułowania czy postęp naprzód któregoś z nas był szybko chwytny i przyjmowany jako swoja własność przez wszystkich”. Rzecz drobna, ale charakterystyczna: Bukom nigdy na myśl nie przyszło, by zrobić z siebie jakąś „elitę”, jakiś zamknięty klub. Wręcz przeciwnie! Pragnęli szczerze być otwartym bractwem wciągając do swego grona coraz innych ludzi - harcerzy i nieharcerzy - dopuszczając ich pełnym sercem do trudów i do przyjaźni, do niebezpieczeństw i do dowodzenia. Pasjonujące wyczyny Małego Sabotażu, pozytywna ocena tej roboty przez polską opinię publiczną oraz widoczne jej skutki - wszystko to powodowało, że różnymi drogami garnęli się do Wawra coraz liczniejsi ochotnicy. Koło „weteranów” skupiać się zaczynały „młodziki”. Już nie dziesiątki, lecz setki głów i rąk rywalizowało w jak najlepszej pracy. Powstawały pomysły i czyny coraz skuteczniejsze, coraz mocniejsze. Coraz inne zespoły ubiegały się o pierwszeństwo w Wawrze. Zespół Buków rozrósł się także w dużą gromadę. Zośka został komendantem większej grupy. Rudy i Alek mieli teraz nowe, własne oddziały, którym przewodzili. Szczególnie ruchliwy stał się oddział Alka. Nie byli to chłopcy z Klubu Pięciu. Ci siedzieli już na samodzielnych odcinkach.

Teraz przyszli całkiem nowi, „wojenni” ludzie. Przede wszystkim Jędrzek, towarzysz z czasów drwalskich, współłodkrywca i współkonserwator przygodnego magazynu broni. Gdy wypełniła się właściwa ilość czasu i prób - nadszedł dzień, w którym nowy zespół Alka miał złożyć uroczyste przyrzeczenie. Przyrzeczenie to odbywało się w mieszkaniu Alka na Żoliborzu. Przyszedł nań komendant Wawra. Co za widok! Podłoga pokoju, w którym odbywa się przyrzeczenie, cała zasłana hitlerowskimi flagami. Chodząc - depte się po swastykach (a o flagi hitlerowskie coraz trudniej, Niemcy wieszają je coraz wyżej). Na ścianie Orzeł Polski i biało-czerwona chorągiew. W rogu, na dużym stole dziesiątki trofeów i symboli. Kawał szyby ze sklepu Meinia, po jednym egzemplarzu każdej z rozrzuconych ulotek, pachnące jeszcze gazem bilety kinowe; wielkie portrety fotograficzne jakichś niemieckich oficerów; wycięty kawałek przepalonej kwasem sukni jakiejś kobiety, która

widocznie szła z Niemcem; parę szyszek, parę kamyków, parę liści - symbole wycieczek przeprowadzonych ot tak, dla spędzenia czasu w gronie przyjaciół pod pięknym, bożym słońcem. Na wysokim trójnogu stoi mosiężny talerz, w nim trochę- spirytusu. W pewnym momencie Alek przyklada do spirytusu płonąca zapalkę i przed Białym Orłem bucha niebieskawy płomień.

Wszyscy wstają. Komendant Wawra mówi rotę przyrzeczenia. Inni powtarzają jego słowa. A potem zasiadają na tapczanie i stołkach i zaczynają mówić. O czym mówią?

O tym, czym wszyscy żyją. Komendant prosi, żeby wyrazili opinię o dodatnich i ujemnych stronach Małego Sabotażu. Zaczęli mówić jeden przez drugiego. Strony ujemne? że czasem żmudne, nużące zadania, ale poza tym trudno było chłopcom wyszukać minusy. A plusy?

Alek, jak zawsze z zapalem, i jak zawsze przeświadczony o tym, że mówi najważniejszą prawdę, zaczyna wygłaszać to, o czym już od dłuższego czasu pogadują w rozmowach prywatnych. Pod formą zewnętrznych wystąpień małosabotażowych kryje się silna wewnętrzna treść wychowawcza: każda akcja - to szkoła odwagi, opanowania, to ciągle wdrażanie w panowanie nad sobą; to jakby nabieranie nawyku odwagi i opanowania. Jakże to może się przydać w późniejszych, bardziej odpowiedzialnych i bardziej niebezpiecznych robotach. - A ja - dorzuca Jędrzek - sam na sobie stwierdziłem, że wszystko to nauczyło mnie podejmowania szybkich decyzji. - Bardzo mi odpowiada atmosfera panująca w całości Małego Sabotażu - mówi Marian<sup>29</sup>. Mało gadania, dużo roboty. Żadnej drażniącej frazeologii patriotycznej. Żadnej bufonady. Natomiast z każdego poczynania i z każdej pracy promieniuje atmosfera braterstwa i karności, pogody i rycerskości.

Pogody nawet w tych fatalnych czasach. Pod koniec zaczął mówić Komendant.

Podziękował, trochę pochwalił. A największy nacisk położył na wybitne wzmoczenie ostrożności, szczególnie w pracach podejmowanych z własnej inicjatywy. „Wasza grupka jest w Małym Sabotażu jedną z najpierwszych. Na Małym Sabotażu nie kończy się świat i nie kończy się walka. Nie wolno wam zaprzepaścić się teraz w tej robocie - bo kiedyś każdy z was będzie potrzebny do rzeczy większych i znacznie donioślejszych w skutkach. Trzy są rumaki, które wprzęgnięte być powinny w wóz Małego Sabotażu, jeśli ten wóz ma pędzić szybko i bez katastrof: „Odwaga, Staranne Planowanie i Ostrożność w Wykonaniu”.

Komendant skończył i wyszedł. Odeszli po kilkudziesięciu minutach koledzy. Alek zawołał siostrę<sup>30</sup>, razem sprząтали pokój. Tego dnia był Alek bardziej niż kiedykolwiek

---

<sup>29</sup> Marian - Jest to jedyna postać w książce, której danych osobowych nie udało się ustalić.

<sup>30</sup> Maria Dawtowska - w Powstaniu Warszawskim sanitariuszka batalionu „Zośka”.

spragniony zwierzeń. Gdy więc Maryla usiadła na tapczanie - przysiadł się do niej. - Żebym mógł zrealizować chociaż pięćdziesiąt procent moich pomysłów. Tyle tego kłębi się w głowie. Wiesz, Marylko, zdumiewające jest, co też ludzie widzą we mnie, że tak życzliwe mnie oceniają. Nieprzyjemnie jest być niedocenianym, ale głupio jest być przecenianym. Czasami, jak mi się tak wszystko udaje, gdy z min i głosów otoczenia wyczuwam pochwały, mam takie uczucie, jakbym był wekslem bez pokrycia... Tyle jest we mnie ujemnych stron, niedociągnięć. Jak to wstrętne, że jestem tak nieczuły, tak mało wrażliwy na te bestialstwa, jakie hitlerowcy wyczyniają z Polakami albo w gettach. I to moje lenistwo, które tak trudno przezwyciężyć, i to głupie pyszałkowe gonienie za niecodziennością. Wiesz, Marylo, że właściwie powinienem jeszcze raz zapalić znicz i złożyć swoje indywidualne, prywatne przyrzeczenie. Ponieważ u Alka między zamiarem a wykonaniem nie było prawie rozpiętości - szybko wstał i na kawałku papieru nakreślił kilka zdań: „Obiecuję pracować nad rozwinięciem w sobie silnej woli, dążyć będę do pracy, nad sobą bez wytchnienia, zdławię lenistwo, wzmocnię wytrwałość, tępić będę obojętność, unikać będę chaosu i braku skupienia myśli. Silna wola! Silna wola!” Maryla z uśmiechem patrzy, jak ten młodzieńczy dryblas zapala ponownie znicz, wrzuca w ogień przed chwilą napisaną kartkę i stoi w skupieniu, dopóki płonie ogień. Namietność do analizy, do poznania samego siebie, była tak silna w Alku, że przy każdej sposobności wykorzystywał swych bliskich do zbierania wiadomości o swym charakterze; więc i teraz już zaczynał rozmowę z Marylą na ten temat, gdy z sąsiedniego pokoju rozległ się głos matki: - A-aluś, przynieś węgla!

Alek do matki przywiązany był bardzo silnie i starał się usunąć z przed jej rąk każdy kłopot. Pomagał we froterce pokoi (to była jego podstawowa funkcja domowa), zmywał naczynia po posiłkach, zawsze pomagał przy praniu; bardzo dbał o dom. W jednym tylko nie mógł ulec matce: gdy namawiała go do zaprzestania ryzykownych wypraw ulicznych. Wszystko, tylko nie to. Teraz też, gdy przyniósł węgla i narąbał trochę drzazg, wziął z, wieszaka czapkę, starając się nie widzieć matczynego spojrzenia. Zbliżał się Trzeci Maj. Mały Sabotaż przygotowywał nową robotę. Manifestowanie rocznic narodowych wzięł na siebie Wawer jako jeden z naturalnych obowiązków. Zośka i jego koledzy dwukrotnie w czasie swojej służby przeprowadzali akcję uliczną 3 maja i 11 listopada.

Specjalnością trzeciomajową w owe czasy była manifestacja barw narodowych.

Ogromna większość ludzi Małego Sabotażu robiła to w ten sposób, że malowała białą i czerwoną kredą barwy narodowe na murach lub też umieszczała w różnych miejscach małe, biało-czerwone chorągiewki. Zadania te trudne i ryzykowne wobec skróconej godziny policyjnej i długiego dnia oraz wobec Wzmoczonej czujności Niemców i ich szpicli - nie

zadowalały ambicji ani Alka, ani Rudego. Barwy narodowe? Zgoda! Ale barwy narodowe w takich wielkościach i w takiej formie, żeby miasto je naprawdę widziało. Uradzono zakupić, gdzie się tylko da, płótna białego i czerwonego i uszyć szerokie na kilkadziesiąt centymetrów, parometrowej długości flagi. Flagi te należy zawiesić na drutach tramwajowych i latarniach elektrycznych. Ale jak? Alek i Rudy na pytanie to odpowiedzieli dwiema odmiennymi propozycjami, a ponieważ każdy upierał się przy swoim pomysłu, Zośka zdecydował, że zespoły ich wykonają zadania na sposób różny, według pomysłów swych dowódców. Więc o trzeciomajowym świcie Alek ze swoimi zarzucał na przewody tramwajowe chorągiewki przymocowane do sznurka, na którego końcu był kamień. Był to system „zarzucania”. System ten być może łatwy dla Polinezyjczyków - bardzo jest trudny dla pozbawionych wprawy warszawiaków. Ileż się młodzi ludzie nakłęli i napocili, zanim chorągiewki ich wisały na drutach! Ale gdy już raz taka chorągiewka zawisła, nie było innego sposobu na jej usunięcie, jak tylko przez sprowadzenie specjalnego wozu tramwajowego lub straży pożarnej. Alek dumny jak paw czyhał z aparatem fotograficznym na te wozy, przyjeżdżające do zdejmowania chorągiewek, a potem promieniejący pokazywał fotografie kolegom. System Rudego był systemem „blokowym”. W jaki sposób dostał Rudy klucz do opuszczania ulicznych latarni elektrycznych - było tajemnicą. Dość, że dostał. W znajomym warsztacie dorobił jeszcze kilka takich kluczy, rozdał je swym chłopcom i przy ich pomocy wieczorem przed Trzecim Maja pospuszczano dziesiątki latarń oraz przymocowano do tych latarń zrolowane chorągiewki owinięte dla zamaskowania czarnym papierem. Rolka taka owiązana była nitką, do nitki dosztukowano długi sznurek, który po wciągnięciu latarni ku górze - zwisał na wysokości około 2 metrów nad ziemią. Wystarczyło pociągnąć za ten zwisający sznurek - aby nitka została zerwana i chorągiewka natychmiast rozwijała się w pełni swej biało- czerwonej kraszy. Uczyniono to następnego ranka, trzeciomajowego. Tego dnia z najwyższym kolegą swej grupy Małym - Rudy objechał wszystkie swe punkty, aby rozwinąć flagi. Niekiedy sznurki, za które trzeba było szarpnąć, zwisały tak wysoko, że Mały stawał przy latarni, Rudy wchodził na ramiona Małego i wspiąwszy się dodatkowo na palce, pociągał sznur. Przed ósmą rano robota była skończona.

Rudy i Mały nabrali już takiej bezczelności, że na pojedynczych gapiących się przechodniów nie zwracali uwagi, oczywiście otaksowawszy wpierw „gościa”, jako nie wyglądającego na szpicla. Specjalnością propagandową na 11 listopada było wypisywanie na murach, płotach, chodnikach hasła - „Polska zwycięży!” Oczywiście Alek i Rudy natychmiast stawiali sobie dodatkowe wymagania. Jeżeli, Czytelniku, jesteś mieszkańcem Warszawy - to niewątpliwie pamiętasz wielkie napisy czarną farbą - Polska zwycięży! - zrobione w

najruchliwszych, najbardziej niebezpiecznych punktach miasta: na Banku Gospodarstwa Krajowego (Nowy Świat), na budynku Funduszu Kwaterunkowego (róg Krakowskiego i Królewskiej), na drogowskazach wojskowych koło dworca - to właśnie była robota Alka, który dla tej wyjątkowej roboty dostał zezwolenie na występ „w cudzym” śródmiejskim rejonie Wawra. A jeśliś tak samo wielkie, krzyczące czernią napisy widział wzdłuż głównej arterii Mokotowa - ulicy Puławskiej - spoglądałeś na napisy Rudego. W czerwcu 1942 roku Radlewicz<sup>31</sup>, który był wówczas komendantem wawerskiego Mokotowa, i Zośka powzięli inicjatywę zmanifestowania łączności kraju z jego emigracyjnym rządem w sposób następujący: zdobyto tysiąc egzemplarzy gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego” z datą 27 czerwca i w pokoju dzielnej dziewczyny (Wawer nadał jej honorowy pseudonim Kwaskowskiej, bowiem kiedyś, oblewając żrącym płynem palta spacerujących z Niemcami kobiet, poparzyła się kwasem) - w pokoju Kwaskowskiej stemplowano te strony dwoma wielkimi stemplami. Na jednym była kotwica - znak Polski Walczącej, na drugim - życzenia imienninowe pod adresem dwóch Władysławów:

Sikorskiego (Wódz Naczelny) i Raczkiewicza (Prezydent). W godzinę potem już sprzedawano te egzemplarze na ulicach miasta. W akcji tej Alek nie brał udziału, był on bowiem, w owym czasie na wygnaniu na wsi, o czym opowiemy na następnych stronach. Rudy pozbawiony groźnego rywala, zbierał laury wykonawcy stempli i sprzedawcy-rekordzisty. Rudy w tym czasie był w świetnej formie fizycznej i psychicznej. Kończył szkołę Wawelberga, kończył ją jako pierwszy uczeń. Ale nade wszystko - chłonał masami literaturę naukową (przede wszystkim socjologiczną i filozoficzną) oraz brał udział w szeregu odczytów i dyskusji kilku na pół naukowych ośrodków. Słuchał także konspiracyjnych wykładów profesora Hessena<sup>32</sup>.

Umysł dwudziestoletniego mężczyzny był jakby w stanie ciągłego niepokoju w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące go pytania społeczne i filozoficzne.

Znanieckiego<sup>33</sup>, Suchodolskiego<sup>34</sup>, Szczepanowskiego<sup>35</sup> czytał jak pasjonujące powieści. Cechowała go tak dłań charakterystyczna właściwość koncentrowania myśli na zagadnieniu, które decydował się w danym okresie rozwiązywać. Kiedy już raz wybrał sobie temat do przepracowania i przemyślenia, skupiał się na nim całkowicie, poświęcał mu swe

---

<sup>31</sup> Radlewicz - Stefan Mirowski, harcmistrz, komendant Okręgu Południe Chorągwi Warszawskiej, po odejściu Stanisława Broniewskiego, komendant Chorągwi Warszawskiej, wizytator Lwowa, współtwórca Zawiszy.

<sup>32</sup> J. Sergiusz Hessen (1887-1950) - pedagog, filozof, badacz pedagogiki kultury.

<sup>33</sup> Florian Witold Znanecki (1882-1918) - filozof i socjolog

<sup>34</sup> Bogdan Suchodolski (ur. 1903) - filozof, pedagog i historyk sztuki.

<sup>35</sup> Stanisław Szczepanowski (1846-1900) - ekonomista, historyk, działacz oświatowy, autor znanej i bardzo cenionej przez A. Ka-mińskiego książki Myśli o odrodzeniu narodowym (1903).

myśli w czasie posiłków, gimnastyki rannej, w czasie wyczynów Małego Sabotażu, w czasie pełnych iskrzącego humoru rozmów z przyjacielem. W tym czasie przyjaźń między Zośką a Rudym stawała się coraz pełniejsza. Rosła wzajemna sympatia.; Byli szczęśliwi, stwierdzając istnienie licznych, wspólnych zainteresowań. Na „robotę” chodzili coraz częściej razem.

Idąc któregoś późnego wieczoru szybkim krokiem na jakąś bardziej ryzykowną akcję, rozmawiali cały czas o odwiecznym temacie ludzi myślących: o celu życia. Na kilkadziesiąt minut przerwali rozmowę, by wykonać zadanie i wracając do domu, znów ją kontynuowali. Rudy, który grał pierwsze skrzypce w tej pełnej problemów rozmowie, powiedział: „wiesz, w ostatnich czasach zaczyna mi się wszystko porządkować w głowie”. Nawet tak trudne do rozwiązania kwestie religijne zaczynały się jakoś wyjaśniać; jedynie sceptycyzm w stosunku do form zewnętrznych kultu religijnego mącił nieco jasność obrazu. - Halo! Zośka, jeszcze chwilę! - krzyknął Rudy do oddalającego się już przyjaciela. -Zbliżała się godzina policyjna. Zośka stanął zniecierpliwiony. - Cóż tam takiego?

- Nie wyobrażam sobie, bym mógł żyć w przyszłości jako istota wegetująca, bierna - powiedział Rudy. Obaj zaśmiali się. Rudy zatrzasnął drzwi.

Oczywiście życie nie może składać się z samych powodzeń. Zaś niepowodzenia w tym typie roboty siłą rzeczy krążą na pograniczu klęski, a nawet śmierci. Pierwsza klęska związana była z aresztowaniem Jacka Tabęckiego, jednego z najbliższych Zośce ludzi. Któregoś z jesiennych wieczorów Jacek wyszedł z imienin kolegi. Na ulicach zauważył świeżo rozlepione niemieckie afisze. Nie namyślając się długo, zaczął je zdzierać z tablic i słupów. Robił to pod wpływem impulsu chwili. Ot, nalepiono szwabskie ogłoszenia - precz z nimi. Nie wiadomo jak i skąd wyłonili się dwaj żandarmi. Zaaresztowano Jacka i odprowadzono do komisariatu, skąd granatowy policjant odwiózł go dorożką na Pawiak. Wolno człapiąca szkapą wiozła niemrawo Jacka i grubego policjanta. Z Pawiaka po miesiącu poszedł Jacek do Oświęcimia. Ta pierwsza klęska i jej szczegóły wstrząsnęły głęboko całym zespołem. Jak to? Dać się wieźć szkapiną ulicami miasta w otwartej dorożce przez jednego starego policjanta i nie próbować uciec? I żadnej pomocy z zewnątrz, od nie orientujących się w sytuacji przyjaciół? Jaki cios w ambitne przeświadczenie o własnej wartości zespołu oraz o wypracowanych przez Mały Sabotaż cechach charakteru. Ze w owe czasy ogromna większość młodych mężczyzn zachowywałyby się podobnie jak Jacek (w roku 1941 Warszawa była jeszcze psychicznie niedojrzała do śmiałych aktów oporu), tego nie uważano za usprawiedliwienie. Zośka przeżył specjalnie silnie aresztowanie Jacka. Był doń gorąco przywiązany i wysoko cenił tego dzielnego, pracowitego chłopca, najlepiej znającego, dzięki trudnym warunkom domowym, przeciwności życia. Przez dłuższy czas starał się wydostać Jacka z Pawiaka,

potem z Oświęcimia. Na próżno.. Wstrząs wywołany aresztowaniem Jacka był silny, ale skuteczny. Odtąd już żaden z ludzi tej grupy nie pozostanie bierny nawet w najcięższych chwilach. Pierwszy w tym względzie dowód złożył Jędrak, przyjaciel Alka. Przygoda Jędraka wydarzyła się właśnie w tym czasie, gdy Alek był na wygnaniu na wsi. O tym wygnaniu opowiemy wkrótce. Jędrak zastępował Alka i z tego tytułu zorganizował kiedyś zerwanie potężnej flagi z niemieckiego szpitala Czerwonego Krzyża na Solcu. Wielką, białą flagę zdobił czerwony krzyż. I to właśnie trofeum ku pogębieniu Niemców zdecydował zdobyć Jędrak. Stojący w bramie domu wartownik spostrzegł zrywanie flagi i narobił wielkiego gwałtu. Chłopcy uciekli, flaga pozostała, a obok niej przypadkowo oderwany od siodełka numer roweru. Zaraz za najbliższym rogiem pechowa właścicielka roweru - Irka Kowalska zameldowała o tym Jędrakowi (w zespole były dwie dziewczyny). Jędrak zaś, nie zorientowawszy się w doniosłości faktu, udał się do domu Irki wraz z Marianem i tam zaczęli odbywać długie narady. Długość narad była zupełnie dostateczna dla policji niemieckiej. Toteż w pewnej chwili rozległ się energiczny stuk w drzwi i do mieszkania wkroczyło czterech zielonych policjantów. Sytuacja zdawała się beznadziejna. Jeden z policjantów pilnował obydwu chłopców, trzech rewidowało mieszkanie. Matka Irki, kolporterka prasy podziemnej, była przerażona, nie mniej przerażeni byli chłopcy. Ale w miarę mijania czasu, przestraszona znikła, napływało natomiast uczucie zakłopotania z sytuacji, w jaką się sami wpędzili przez swą lekkomyślność. Obydwaj, jak na komendę, pomyśleli o Jacku i o dyskusjach, jakie wywołała jego bierność w dorożce. Jędrak przymrużył oko i czujnie wpatrywał się w kolegę, ten lekko kiwnął głową na znak, że rozumie, o co chodzi. I oto w ciągu jednej sekundy stała się rzecz nieprawdopodobna i najzupełniej nieoczekiwana dla czterech uzbrojonych niemieckich policjantów. Jędrak, którego wzrost wynosił około półtora metra - pchnął z całej siły policjanta, stojącego na progu pokoju, Marian szarpnął drzwi korytarza i obaj, jak wyrzuceni z procy, rzucili się w dół klatki schodowej. Policjanci zbaranieli na mur, gdyż zamiast otworzyć okna i narobić alarmu - usiłowali gonić uciekających po schodach. Bezskutecznie.

Niełatwo jest złapać na klatce schodowej osiemnastoletnich młodzieńców, którym strach przyprawił skrzydła do nóg. Wypadli z bramy, skręcili w najbliższą przecznicę i zaczęli iść wolno przed siebie. Jeszcze jedna przecznica i byli uratowani. Pani Kowalska, właścicielka mieszkania, szczęśliwym trafem wyszła cało z tej przygody. Irka po paru miesiącach więzienia wydostała się z Pawiaka.

W kilka dni po przygodzie Jędrak otrzymał od Alka przez umyślnego gońca długi list. Między innymi Alek pisał: „wykazałeś brak przemyślenia sprawy bardzo istotnej, a



mianowicie: czy jest dopuszczalne urywanie flagi Czerwonego Krzyża, nawet niemieckiego. Na miły Bóg, przecież nie wojujemy z Czerwonym Krzyżem i jego symboliką. Po drugie ponosisz odpowiedzialność za bezmyślne pójście do domu Irki i niepotrzebne tam sterczenie wtedy, gdy JUŻ powinniście byli zdawać sobie sprawę ze skutków zgubienia numerka rowerowego i ustalić na tę okoliczność gryplanż. Ale jest także druga strona medalu - pisał Alek dalej, narysowawszy w tym miejscu swego listu medal z cyferką 2 - spisałeś się pierwszorzędnie, tak że lepiej prawie nie można. Wykazałeś opanowanie, trzeźwość umysłu, odwagę i śmiałość. Czy trzeba coś więcej? Bezwzględnie dowiodłeś istnienia odpowiednich wartości charakteru. Jak mówią - spełniłeś pokładane nadzieje. Ponadto wykazałeś, jak wiele dać może wprawa i otraskanie się z Przygodą”. „Na zakończenie - pisał Alek - przypuszczam, że najlepiej byłoby uścisnąć cię twardo i serdecznie prawicą, a lewicą nie mniej serdecznie dać ci po uchu”. Alek miał prawo zakończyć całą przygodę pogodnym listem: nikt poważniej nie ucierpiał na tej niefortunnej „wsypie”. Najślynniejszym spośród indywidualnych wyczynów Wawra była głośna na cały kraj i świat cała sprawa tablicy na pomniku Kopernika.

Bohaterem „kopernikowskiej afery” był Alek. Jednym z pierwszych „kulturalnych osiągnięć” hitlerowców po zajęciu Warszawy było zasłonięcie tej części podstawy pomnika Kopernika, na której widniał wyryty napis: „Mikołajowi Kopernikowi - Rodacy”, wielką mosiężną płytą, z odpowiednio zmienionym napisem niemieckim. W początkach lutego 1942 roku znalazł i wyczytał Alek w jakiejś encyklopedii, że Mikołaj Kopernik urodził się 19 lutego: chwila namysłu i decyzja gotowa. Trzeba odpowiednio uczcić dzień urodzin wielkiego polskiego astronoma! Jak? Usunąć niemiecką płytę, zakrywającą polski napis. A ponieważ każdą robotę musi poprzedzać dokładny plan, zaczął Alek krążyć wokół Kopernika, przyglądając się z daleka czterem potężnym głowicom śrub, przytwierdzającym płytę z niemieckim napisem do cokołu. Badanie optyczne to mało. Trzeba dotykem zbadać pioruńskie śruby. 11 lutego, t j. na tydzień przed wyznaczonym przez siebie samego terminem, o godzinie szóstej rano, gdy na ulicach miasta był najmniejszy ruch, wybrał się Alek przed pomnik, by dotknąć na próbę śruby. Pomnik stoi w fatalnym miejscu, tuż na wprost Komendy Głównej granatowej policji. Poza tym - jest u styku ruchliwych ulic warszawskich, gdzie zawsze dużo przechodniów i sporo Niemców. Ale - myśli Alek - jeśli tak na wariata wejdę na cokół, to potraktują mnie jak pijaka. Przecież nikomu na myśl nie przyjdzie, że będę likwidował płytę! Oto już pomnik. Przechodniów na ulicy mało. Wartownik policyjny wszedł widocznie gdzieś się ogrzać, bo mróz jest solidny. Świetna sposobność! Bez chwili wahania wchodzi Alek na stopień cokołu i dotyka śruby. Odkręca się

wyjątkowo łatwo. Jeszcze parę ruchów - wyszła. Cóż u Boga Ojca! Krew uderza do głowy Alka. Odruchowo sięga do drugiej śruby - wielka „mutra” poddaje się bez oporu. Alek ogląda się niespokojnie dookoła. Jest ciemno. Przechodnie przesuwają się w dali, jak we mgle. Robić! Robić! Trzecia śruba - wyszarpięta! Czwarta - też! Z grzmotem i mocnym metalicznym dźwiękiem spada na marmur stopni wielka, gruba, mosiężna płyta i po chwili ześlizguje się w śnieg. Przerażony hałasem Alek w jednej sekundzie zeskakuje z cokołu i jak ścigany zając pędem mknie w kierunku ulicy Kopernika. Po paruset metrach staje zdyszany i nasłuchuje. Serce wali mu młotem, policzki płoną. Nasłuchuje uważnie: nic, żadnych głosów, żadnych gwizdków, żadnego ruchu. Cóż to znaczy, do licha ciężkiego? Zawraca i ostrożnie, w każdej chwili gotów do ucieczki, idzie pod pomnik i obchodzi go dookoła.

Zdumiewająca historia! Nikt niczego nie zauważył, nikt niczego nie słyszał.

Policjant po dawnemu grzeje się gdzieś w gmachu. No, taką sposobność trzeba wyzyskać do ostatka! I oto Alek, nie zwracając już żadnej uwagi na otoczenie, na przejeżdżające od czasu do czasu wozy i przechodniów, ciągnąc zaczyna płytę w kierunku ul. Obożnej. Płyta jest ciężka jak sto nieszczęść. Daje się jednak ciągnąć po śniegu. Po kilkudziesięciu minutach pracy zostaje przez Alka zakopana w zaspie przy chodniku. Spocony, lecz szczęśliwy z wykonania niebezpiecznego pomysłu wraca do domu. A więc to tak odbywa się przeprowadzanie wielkich akcji? - myśli zdumiony. W parę dni potem kilku młodych ludzi w pełnym świetle dnia zajęchało saneczkami pod zaspę śnieżną koło Obożnej. Najspokojniej w świecie wtłoczyli przyprószoną śniegiem płytę do wielkich worów i wywieźli ją tam, gdzie czekać miała na swe szczęśliwsze dni. Zdjęcie niemieckiej tablicy poruszyło opinię polską i niemiecką. Tajna i emigracyjna prasa polska potraktowała to jako protest przeciwko germańskiej kradzieży naszych odwiecznych dóbr kulturalnych.

Czynniki zaś niemieckie do żywego dotknął ten na cały świat głośny protest.

Gubernator Fischer rozplakatował zarządzenie: za usunięcie niemieckiej tablicy władze okupacyjne zdecydowały pozbawić miasto pomnika Kilińskiego. Alek prowadził teraz niespokojne, ruchliwe życie. Cały czas był na ulicach. Przy współudziale staromiejskich „cwaniaków” spróbował kupić z rozbieranego pomnika szablę Kilińskiego - udało się. Wobec tego powziął szaleńczą myśl kupienia całego pomnika i wywiezienia go w ukrycie autem ciężarowym. Na tę jednak „transakcję” zabrakło pośrednikom Alka odwagi! Pomnik załadowano na wielką magistralną lorę i wywieziono. Gdzie? Alek krok za krokiem maszerował za lorą i gdy widział, że pomnik ulokowano w Muzeum Narodowym, przybiegł pod muzeum z kubelkiem farby i wypisał na jego murach: „Ludu Warszawy - jam tu! Jan Kiliński”. Potem planował wystawienie na miejsce pomnika Kilińskiego wielkiej makiety

tego pomnika. Pomysł ten jednak Zośka ostro skrytykował i utracił jako nierzeczowy. W czasie tych gorączkowych dni Alek popełnił jedną, jedyną nieostrożność. Była ona jednak dostatecznie wielka, by, ciężko zaważyć na życiu kogoś z jego najbliższych. Gestapo było w domu Alka, nie zastało go tam i aresztowało osobę bardzo mu bliską. Zwyczaj aresztowania najzupełniej niewinnych członków rodzin poszukiwanych przez gestapo ludzi był jedną z najnikczemniejszych podłości hitlerowskich, które muszą być pomszczone z całą bezwzględnością na nieludzkich wynalazcach tej metody. Alek na kilka miesięcy musiał wyjechać ze stolicy. Wyjeżdżał zgnębiony, choć wyjeżdżał z nowym honorowym pseudonimem nadanym mu przez Wawer: Kopernicki. Jechał do narzeczonej.

Basie<sup>36</sup>, o cztery lata młodszą od siebie, poznał Alek na początku wojny. Była szczupłą brunetką, miała delikatną cerę i pociągała Alka tym wszystkim, czego mu brakowało w jego osobowości. Była rozważna, zrównoważona, skupiona, zwarta w swych myślach i zamierzeniach. Potrafiła wytworzyć wokół Alka atmosferę ciepła, serdeczności i spokoju. W Warszawie nigdy nie było czasu na dłuższy kontakt z Basią. Teraz po raz pierwszy mogli ze sobą przebywać całe dni. Jakżeż cudownie się czuli. Na długie popołudnia, a czasem o wczesnym świcie szli na spacer do lasu i tam gadali, gadali. Dziewczyna, las i ciekawa rozmowa - czyż może być przyjemniejszy odpoczynek? Rozmawiali o wszystkim. O książkach i życiu. Alek w tym czasie wczytywał się w Mądrość i przeznaczenie Maeterlincka. Interesowały go zagadnienia psychologiczne i filozoficzne, ale znacznie więcej od książek interesowało go samo życie. Potężny nurt faktów, triumfów i zapadań się w przepaść jednostek i gromad ludzkich. Często też rozmawiali o przyszłości Alka. Czyż nie jest to najtrudniejsza decyzja w życiu - wybrać zawód? Właściwie może by najlepiej było zostać oficerem? Podręczniki wojskowe wydawały mu się ciekawsze od innych. Rozstrzygając z kochaną dziewczyną powstający zamiar związania się na całe życie z wojskiem (artyleria? lotnictwo?), Alek nieśmiałym ruchem obejmował dziewczynę. Charakterystyczny dla postawy Alka wypadek zaszedł kiedyś w domu Basi. Ktoś w rozmowie, zwracając się doń powiedział: - Jest pan bohaterskim typem. - Alek zamilkł, zjeżył się cały i po-kilku minutach wstał od stołu. Czuł się źle psychicznie do końca dnia. Nie znosił w ogóle wielkich słów, nie używał nigdy takich określeń jak: miłość, ojczyzna. To, co usłyszał przy stole, sprawiło mu fizyczną przykrość. Pod koniec pierwszego miesiąca pobytu na wsi przyszedł z Warszawy list od Rudego. Rudy zapraszał Alka do siebie na jeden dzień. „Rodzice moi bardzo mile widzą takich gości jak ty. Wzbudzasz sympatię swoją długością, podobnie jak dziecko swoimi

---

<sup>36</sup> Barbara Sapinska-Eytner - w 1939 uczennica Gimnazjum I Liceum Haliny Gepner w Warszawie, brała udział w Małym Sabotażu. Alek ukrywał się w posiadłości jej rodziny w Olesinku pod Górą Kalwarią.

małymi rozmiarami”. Wyrwał się Alek na jednodniowy urlop do Warszawy i w czasie tego dwudziestoczworgodzinnego urlopu:

- 1) co najmniej dwanaście godzin przegadał z Zośką, Rudym i innymi bliskimi sercu;
- 2) namalował farbą na bramie Ogrodu Saskiego, który wtedy przeznaczono wyłącznie dla Niemców, słowo „ZOO”;
- 3) na placu Piłsudskiego zamalował większość tablic z napisem Adolf Hitler - Platz;
- 4) po bokach głównych drzwi do Soldatenheimu (przedwojenny IPS)<sup>37</sup> wymalował dwie wielkie, z daleka widoczne kotwice. Te właśnie kotwice, tworzące powiązanie liter PW, wprowadzone zostały przed niedawnym czasem przez Wawer, jako symbol Polski Walczącej. Popularyzacja kotwic - znaku mającego przytłoczyć swastyki, była w owe czasy główną pracą Wawra. Stwierdzić trzeba, że w pracach tych specjalnie wyróżnili się jako organizator - Zośka i jako realizator - Rudy. Wyróżnili się największą ilością rysunków oraz ogromnym ich urozmaiceniem i odwagą ich popularyzacji. Zarówno Rudy, jak i Alek - obaj przejawiali w Małym Sabotażu pomysłowość i wynalazczość, ale wynalazczość Rudego była inna niż Alka: Alek szukał nowych rozwiązań w chwytności nowych sposobności i inicjowaniu nowych sytuacji. Rudy natomiast skupiał się głównie na wprowadzaniu do pracy nowych sposobów technicznych. Rudy stał się głównym wynalazcą wszelkich udoskonaleń technicznych Małego Sabotażu. Jego pomysłem był system blokowy wciągania flag na latarnie, on porobił pieczątki z trupa czaszką dla stemplowania afiszów niemieckich. On był wynalazcą kapitalnego pomysłu jajka, z którego wydmuchiwało się przez małą dziurkę zawartość, wlewało się tam farbę i zalepiwszy - tak spreparowanym pociskiem waliło się w hitlerowskie tablice propagandowe albo w szyldy niemieckich urzędów do werbowania robotników na wyjazd do Rzeszy. Rola Zośki w tych robotach była inna: rozplanowywał akcje w terenie i w czasie; dobierał ludzi do właściwych prac, wyznaczał robotę, kontrolował jej wykonanie. To, że znak kotwicy utrwalił się w Warszawie na cały czas okupacji - było w pierwszym rzędzie zasługą Zośki, któremu z tej racji Wawer nadał zaszczytny pseudonim Kotwickiego. W okresie kotwicowego szaleństwa Rudy sporządził własnoręcznie ponad dziesięć dużych stempli kotwic z chytrze obmyśloną poduszczką nasyconą farbą. Sprawa nie była łatwa: chodziło o to, żeby wielki stempel dał się łatwo ukryć, a poduszcзка nie plamiła ubrania. Nie wdając się w szczegóły tego pomysłu, trzeba stwierdzić, że przez kilka wieczorów z rzędu stemplowało się dom po domu stemplami kotwic Rudego. Drugi wynalazek był jeszcze bardziej pomysłowy. Wynalazca nazwał go „wiecznym piórem”. I tego wynalazku nie

---

<sup>37</sup> Soldatenhelm - dom wypoczynkowy dla żołnierzy niemieckich;

będziemy tu opisywać. Wystarczy powiedzieć, że za jego pomocą można było pisać farbą wielkie i grube litery wysokości trzech do czterech metrów. Ku pochwale Rudego stwierdzić należy, że „wieczne pióro” było niewielkie i łatwo dawało się ukryć nawet pod marynarką. Dodać trzeba, że w czasie pisania „wiecznym piórem” zbyteczne było maczanie go co chwila w farbie. Całe słowo pisało się za jednym zamachem. Takim to piórem wykonano między innymi „poprawkę” na wielkim szyldzie zawieszonym na wysokości pierwszego piętra nad urzędem Arbeitsamtu przy Nowym Świecie. Szyld głosił: „Jedźcie z nami do Niemiec”, zaś po „poprawce” na szyldzie widniało: „Jedźcie sami do Niemiec!” Sława tych dwóch wynalazków: poduszki do stempla i wiecznego pióra nie zadowoliła ambicji Rudego w sezonie kotwicowym. Postanowił dokonać jakiegoś większego czynu odwagi.

Zadanie takie sam sobie określił, zaplanował i, mimo rozwalenia się w ostatniej chwili planu, ku dużemu zdenerwowaniu przyglądających się tej akcji kolegów - wykonał. A było to tak. Któregoś dnia Rudy postanowił wymalować wielką kotwicę na pomniku lotnika, stojącym w centrum placu Unii Lubelskiej. By zamiar wprowadzić w czyn, zdecydował za pomocą swoich kluczy do lamp elektrycznych i przy pomocy kolegów pogasić wszystkie lampy na placu Unii i w mroku ciemności wymalować kotwicę. Chytry plan gwarantował bezpieczeństwo i powodzenie. Pierwsza jego część wykonana została bez zarzutu. O późnym zmroku światła pogaszono i Rudy w Jednej z najbliższych bram szykował się ze swym wiecznym piórem do ataku na pomnik. Tymczasem w ostatniej chwili лихо przyniosło na plac mistrza od gaszenia i zapalania ulicznych latarń. Ten najpierw zdumiał się widząc ciemny plac, a potem pośpiesznie zaczął zapalać lampy. Rudy i jego koledzy trzęśli się z irytacji, gdy pocziwiec z każdą minutą wzmacniał światło placu. Kiedy wreszcie odszedł, była za piętnaście minut dziesiąta, to znaczy za kwadrans zaczynała się godzina policyjna. O ponownym zgaszeniu lamp mowy już być nie mogło. Trzeba było albo zaniechać roboty, albo natychmiast malować kotwicę i umykać do domu, by nie zostać zatrzymanym przez nieprzyjacielski patrol uliczny.

I Rudy - ten intelektualista, żyjący w świecie myśli ludzkiej - wbrew rozsądkowi wybrał szaleńczą decyzję. Wyjmując swe wieczne pióro, począł iść szybko ku pomnikowi, jego przyjaciele, stojący w różnych częściach placu, zamarli w niepokoju. Na plac Unii Lubelskiej wychodzi aleja Szucha, tu zmierza wylot ulicy Puławskiej, Marszałkowskiej i Bagateli oraz paru innych ulic, zamieszkałych w znacznej części przez Niemców, przede wszystkim przez policjantów i gestapowców.

W pełnym świetle szeregu lamp mała postać Rudego zbliżała się do stojącego w samotnym centrum pomnika. Już podszedł, skacze na stopnie i gdzieś wysoko w górze

zaczyna swym wiecznym piórem malować kotwicę. Gdy to robi, na placu panuje zwykły o tej porze i w tym miejscu ruch. Jeżdżą tramwaje, przejeżdżają auta, śpieszą do domów dziesiątki zapóźnionych przechodniów. Każda sekunda obserwującym to wszystko kolegom Rudego wydawała się wiecznością. Lada moment mogło się stać coś bardzo złego. Nic się jednak nie stało. W minutę potem Rudy siedział już na rowerze i razem z Zośką pędził do domu. - Cóżes ty zrobił, wariacie! Jak można było tak lekkomyślnie i niepotrzebnie się narażać! Rudy nic nie odpowiedział. Jechał w milczeniu, tylko na wargach błądził mu ledwo uchwytny, kpiący uśmiech. Mały Sabotaż był w tym okresie najważniejszą pracą Buków, ale nie jedyną. I Zośka, i Buki, i większość nowo zaciągniętych towarzyszy walki miała zainteresowania szersze i pełniejsze. Ambicją ich było teraz pełniejsze i szersze zainteresowania wcielić w życie. Na Boga! Walka prowadzona dziś jest koniecznością i potrzebą, ale przecież istnieć będzie dzień jutrzejszy. Do tego Jutra trzeba się również przygotować. Jutro - to powstanie zbrojne i Jutro - to praca pokojowa dla Polski. Wykonując więc zadania małosabotażowe, młodzi ludzie kończyli swe szkoły i to, na ogół, z dobrymi wynikami. Równocześnie na zebraniach dyskutowali zagadnienia społeczne, etyczne, ekonomiczne. I równocześnie organizowali ćwiczenia, mające być zaprawą do żołnierskiej służby w powstaniu. Powstanie... Gdy puści się wodze wyobraźni - widać pola i lasy, przemarsze i biwaki, zasadzki i pościgi. Zośka łatwo powiązał te obrazy z dawnymi, przedwojennymi wyprawami harcerskimi w lasy i pola. Co parę tygodni rozjeżdżały się i rozchodziły zastępy szaroszeregowe w świat I znów jak ongi przed wojną były noce w szumie drzew i dziesiątki kilometrów wydeptanych polnych dróg. Znów oczy szukały dróg na mapach, znów języki ognia lizały metal polowych kociołków i znów siedziało się wokół rozżarzonych głowni, gawędząc i śpiewając półgłosem. Jednego z wrześnieowych dni Zośka postanowił, na zapoczątkowanie sezonu energiczniejszego przeszkolenia żołnierskiego, zorganizować duże ćwiczenia całego hufca Szarych Szeregów, którego wówczas został komendantem. Było tego „towarzystwa” wtedy już niemało. Prawie setka ludzi. Po raz pierwszy cała ta gromada miała się zobaczyć razem na obszernym terenie leśnym. Koncentrację poprzedzała sieć ćwiczeń i prób, przez które przechodziła każda z piątek. Pomysłowość Zośkowego sztabu i jego własne zdolności organizacyjne uczyniły z tych ćwiczeń coś, co na długie miesiące utkwiło we wspomnieniach uczestników. Jest to aluzja do koncepcji programowej:

Dziś-Jutro-Pojutrze, mającej na celu przygotowanie młodzieży nie tylko do życia w konspiracji, ale także w okresie jawnej walki i powojennej odbudowy. Każda z piątek, otrzymawszy krótką instrukcję wyjściową z podaniem kierunku i czasu dojścia, natykała się kolejno na zupełnie nieoczekiwane sytuacje, które musiała rozwiązać. Tu trzeba było w ciągu

pół godziny zorganizować przeprawę przez rzekę, na której nie ma kładki. Tam spuścić się po linie z piętnastometrowej wysokości. Gdzie indziej w szybkim tempie zrobić szkic. Była i strzelnica, było i gorączkowe budowanie rowu strzeleckiego. W ćwiczeniach tych czuł się jak w rajku przede wszystkim Alek. Na czele swej drużyny szedł trasą przeszkód, jak na zawodach. Wyprzedzał innych, śmiał się i dowcipkował. Jakimś psim węchem nieomylnie trafiał najkrótszą drogą tam, gdzie należało. Już o zmroku wokół wielkiej polany kończyły się schodzić piątki. Jeszcze żadna nie wyszła na polanę; był rozkaz tkwić w poszyciu lasu i nie pokazywać się innym do czasu odpowiedniego sygnału. Gdy wreszcie Zośka dał oczekiwany znak, polana zaroiała się w ciągu paru minut. Chłopcy patrzyli nawzajem na siebie podnieconymi, zdumionymi oczyma. Po raz pierwszy widzieli się w takiej masie. Po raz pierwszy owiało ich to specjalne poczucie siły i mocy, które daje liczba. Było już jednak tak szaro, a linia zbiórki była celowo tak rozciągnięta, że nie mogli dokładnie rozpoznać swych twarzy. Zośka wiedział, jak należy rzecz robić! Oto stoi przed frontem swego hufca. W ręku trzyma kartkę papieru, na której po naradzie z Radlewiczem napisał specjalny na tę chwilę rozkaz, rozkaz, który jest programem.

Obok Zośki stoi jego wierny przyjaciel - Rudy. Zośka podaje mu arkusz. Rudy wydaje odpowiednią komendę i czyta:

ROZKAZ I. 3-42. M.p., 12.IX.42

Druhowie!

Bierzcie dziś udział w ćwiczeniach hufca Mokotów Górny. Mimo że już trzy lata znajdujemy się w niewoli, mimo niedostatków, braku najpotrzebniejszych środków do życia, mimo Palmir, Oświęcimia, Wawra, mimo bestialskiego szału wroga, mimo tego wszystkiego odbywamy tu dziś swoje ćwiczenia, aby zacząć nimi ostatni etap naszych zmagania, aby stać się prawdziwymi żołnierzami Polski Walczącej. Staniemy się nimi wtedy, gdy dzięki swemu wyszkoleniu potrafimy spełnić zadania, powierzone nam w chwili decydującej. Ale nie tylko wyszkolenie decyduje o naszej wartości bojowej. Czynnikiem jeszcze ważniejszym będzie bojowy duch żołnierski, który ukształtować się może tylko w walce. Dlatego stoimy mocno i stać będziemy nadal na różnych odcinkach walki podziemnej prowadzonej z wrogiem już dziś.

Chociaż walkę tę prowadzi się bez broni w ręku, jednak można w niej rozwinąć w sobie odwagę, karność, zdolność brania na siebie odpowiedzialności. Tej jedynej w swoim rodzaju szkoły charakterów, jaką jest walka podziemna, nie wolno nam przeoczyć. Byłoby jednak źle, gdybyśmy poprzestali na przygotowaniu się tylko do walki zbrojnej, a zapomnieli o tych rozlicznych obowiązkach, jakie czekają nas w Polsce Niepodległej. Naszym celem jest

nie tylko wychowanie żołnierskie, ale ukształtowanie pełnowartościowego obywatela, zdolnego nie tylko do służby wojskowej, lecz do jak najszerzej pojętej służby obywatelskiej. Czasu mamy mało.

Wielka chwila odzyskania niepodległości zbliża się. Nadejdzie czas, w którym okaże się, czy podołamy obowiązkom, jakie na nas wtedy spadną. Obyśmy nie byli nie przygotowani!

(-) T. KOTWICKI Komendant Hufca Mokotów Górny<sup>38</sup>

Wieczór spędzili przy ognisku. Śpiewali półgłosem, gawędzili! Śpiewali mało, echo zanadto niesło w dal nawet te przytłumione głosy. Za to języków nie żalowali. W śmiechu i podnieceniu opowiadali perypetie dopiero co odbytych ćwiczeń. A potem słuchali Rudego, który nawrócił do podstawowej myśli rozkazu Zośki. - Życie byłoby nędzne i zawstydzające - mówił Rudy - gdybyśmy skupiali się tylko na przygotowaniu do zadań jutra, a nie brali udziału w walce już dziś.

Ale życie byłoby głupie i bezsensowne, gdybyśmy żyli tylko walką dzisiejszą, a nie przygotowywali się do jutra. Zaś przygotowanie jutra to nie jeden tor, to dwa tory: szkolenie żołnierskie do jawnej walki żołnierskiej i szkolenie się naukowe, zawodowe, społeczne do pracy cywilnej w Polsce. Mam odwagę powiedzieć, że moją osobistą ambicją jest nie tylko bicie rekordów w Małym Sabotażu, chcę także kiedyś bić rekordy jako technik i człowiek. żeby ruszyć z miejsca tę przeklętą bryłę świata, żeby dopomóc do nadrobienia tych przeklętych zapóźnień nad Wisłą. Zośka milczał, nic nie mówił. Zośka nie lubił przemawiać, nie lubił występować publicznie. Robił to tylko wtedy, gdy ciążył nad nim mus. W nocy wszyscy porządnie wyziębli, zaczęły się bowiem jesienne chłody. W półmroku świtu już była pobudka i poszczególne oddziały, jeden po drugim, różnymi drogami, w odstępach, wracały do miasta. Zośka, Rudy, Alek i paru innych postanowili maszerować pieszo do granicy miasta. Chcieli się rozgrzać marszem, chcieli być dłużej ze sobą, chcieli jeszcze pogadać. Godzina mijała za godziną w rytmie równych kroków, a oni wciąż roztrząsali to, czym żyli. Zbliżało się południe, gdy Zośka i Rudy wysiedli z tramwaju w centrum miasta. Byli już tylko we dwójkę.

Zmęczeni, zakurzeni, głodni zastanawiali się chwilę i wreszcie poszli tam, gdzie ich w tej chwili obu najbardziej ciągnęło. Hala<sup>39</sup> była koleżanką siostry Zośki. Miała zawsze gorącą herbatę i prawdziwy cukier, a przy tym czyniła na każdym z obu przyjaciół jakieś

---

<sup>38</sup> Jest to rozkaz autentyczny, w książce przytoczony w pewnym skrócie. Jak podaje Tomasz Strzembosz, autorem rozkazu był Stefan Mirowski, piszący na prośbę Zośki.

<sup>39</sup> Halina Glińska - podharcemistrzyni, drużynowa 14 W2DH „Błękitna” hufiec „Śródmieście”.



szczególne wrażenie. Teraz znów siedzą u Hali oczyszczeni i niecierpliwie czekają na gotującą się herbatę. Właściwie siedzą tylko Hala i Rudy, który ze zgorzeniem patrzy na Zośkę. Zośka położył się na tapczanie i najpierw uśmiecha się w milczeniu, a potem parskać zaczyna jak młody źrebak. - Czego się tak cieszysz? - pyta nieco podrażniony Rudy.

- Do diabła! Bo lubię, jak mi promienie słońca grzeją twarz. Hala również zaczyna się śmiać, wstaje i nakrywa do stołu. Obaj młodzi ludzie wodzą za nią oczyma i milczą.

## DYWERSJA

Listopad 1942 roku był przełomowym miesiącem drugiej wojny światowej. Wojska radzieckie nie dopuściły do zajęcia Stalingradu, stwarzając tym sposobem ciężką strategicznie sytuację dla niebezpiecznie wysuniętych armii niemieckich na Kaukazie. Rommel rozgromiony przez Brytyjczyków w bitwie pod El Alamein, cofał się opuszczając Egipt i Libię. Silny desant amerykańsko-angielski, całkowicie zaskakując przeciwnika, opanował Maroko i Algier. Jasne było, że wojna przewaliła się przez swój przełomowy moment; skończył się okres zwycięstw niemieckich, inicjatywa wojenna przechodziła w ręce wrogów Rzeszy. Komenda Sił Zbrojnych w Kraju uznała ten właśnie czas za odpowiedni do wzmożenia akcji dywersyjnej. Przystępowano do organizowania nowych komórek dywersyjnych, powołano do życia centralne kierownictwo Dywersji - które z czasem stało się znane pod nazwą Kedyw. I stało się, że dla Zośki i części jego kolegów nadszedł czas zmiany służby. Ponad półtora roku pracowali w Małym Sabotażu. Przez cały ten czas, przez lata 1941 i 1942, Mały Sabotaż szedł w pierwszej linii Polski Walczącej. Teraz nadchodziły inne czasy. Walka pod okupacją miała nabrać ostrzejszego wyrazu. Jej znamieniem stawał się pistolet, granat i dynamit.

Nadchodziły czasy dywersji i dywersyjne oddziały miały teraz wystąpić w pierwszej linii podziemnego polskiego frontu. Wawer będzie trwał i będzie aż do powstania pełnił swą ciężką i niezbędną służbę; akcję Małego Sabotażu prócz Wawra uprawiać zaczną i inne organizacje Polski Podziemnej. Ale Mały Sabotaż nie będzie JUŻ jednak najbardziej eksponowanym narzędziem przeciwokupacyjnym. Zośka,

Alek, Rudy i część Jego kolegów (między innymi grupa młodzieży Pętu, która przed niedawnym czasem włączyła się do Szarych Szeregów) oderwani od Małego Sabotażu zostali zaliczeni do świeżo tworzonych przez kierownictwo Szarych Szeregów - Grup Szturmowych (GS), zaś owe GS włączono do tych nielicznych oddziałów Sił Zbrojnych w Kraju, które JUŻ miały szczęście prowadzić czynną akcję bojową: oddziałów dywersji. Jasne było, że półtoraroczna praca w Małym Sabotażu dała grupom szturmowym tyle zaprawy i wyćwiczenia, że muszą się w służbie dywersji wybić tak samo na czoło, jak wybiły się w służbie Małego Sabotażu. Ambicji, i to mocnej ambicji, nigdy tym młodym ludziom nie brakowało.

Rozpoczęło się wszystko od gruntownego szkolenia do nowych zadań. Wykłady teoretyczne, ćwiczenia praktyczne, wypadki w teren, opanowanie nowych umiejętności

technicznych... Wszystko to zajmowało dużo czasu. Im prędeej, tym lepiej. Gdy pierwszy raz dostali broń do rąk, przeżyli emocję jedyną w swoim rodzaju. Nareszcie! Odwiedzając się wzajemnie i wymieniając poglądy na temat nowej służby, umacniali w sobie decyzje, którym przypisywali swe małosabotażowe osiągnięcia: maksimum odwagi i maksimum rozsądku, starannie opracowany plan i dobrze przeprowadzone rozpoznanie. O, tych zasad trzymać się będą zębami, te zasady muszą im dać w ręce powodzenie - tak jak dawały im powodzenie w Wawrze.

Gdy dowiedzieli się, że pierwsza akcja wyznaczona została na sylwestrową noc 1942/1943 roku, oczy zapłonęły im z uniesienia. Ale gdy w chwilę potem usłyszeli, że z ich paczki weźmie udział tylko pięciu ludzi, rozczarowanie było tak wielkie, iż nie mogli go pohamować. Wśród szczęśliwych wybrańców znaleźli się Zośka i Rudy. Alek tym razem pozostał „na lodzie”. Ci - przyśpiewując wesoło maszerowali do domu, tamten - włókł się skwaszony i osowiały. Mieszkanie Rudego zamieniło się w laboratorium, w którym przez kilka dni przygotowywano sylwestrową robotę. Ile pomysłowości trzeba było użyć, by nie wzbudzić zaniepokojenia rodziców i nie zdradzić się z tym, co się dzieje w pokoju młodego człowieka. A działy się tam rzeczy, które by przerażeniem przejęły, serce każdego mieszkańca kamienicy, gdyby wiedział. Pod okiem instruktora przygotowywano miny do wysadzania torów kolejowych, sporządzano zapalniki elektryczne i czyniono szereg innych przygotowań, o których nie ma potrzeby rozwodzić się na tych kartkach. W pewnej popołudniowej godzinie pod jednym z sąsiednich domów stanęło niczym nie wyróżniające się auto. Do auta Zośka i jego towarzysze znieśli kilka paczek. W parę minut później pędzili już ulicami miasta w kierunku Pragi, a potem jedną z szos na wschód. Zima tego roku była łagodna. W zatłoczonej budzie auta było ciepło i wesoło. Wszyscy śmiali się i dowcipkowali.

Czuli się świetnie. Zajechali na miejsce, w okolicę Kraśnika, grubo przed północą. Rozpoznanie przeprowadzone zawczasu stwierdziło, że najodpowiedniejszym miejscem na wywołanie katastrofy jest wielki łuk zakrętu toru, przebiegający lasem. Właściwa dla roboty pora wypadła na godzinę między północą a trzecią rano. Auto wjechało w bezdroże leśne i tam stanęło. W odpowiednich miejscach wystawiono ubezpieczenie. Wszyscy inni zabrali się do zakładania kilku min w pewnych od siebie odstępach. I dopiero teraz stwierdzono popełnienie niedorzecznego przeoczenia. Ziemia była zamrznięta, a nie wzięto ze sobą kilofów. Nie było jednak czasu do długich namysłów. Zabrano się więc raźnie do podkopywania torów za pomocą... pilników, noży kieszonkowych, nawet korby samochodowej. Mróz wzrastał, kopano więc energicznie. Rudy ubezpieczał robotę.

Stał samotnie nad torem, wysunięty o sto metrów od kolegów. Dłużył mu się czas,

marzył. Naraz wydało mu się, że słyszy jakieś kroki. Wstrzymał oddech.

Niewątpliwie ktoś idzie. Miga zresztą światło kieszonkowej latarki. - Ładny początek - myśli Rudy i zdenerwowanie wzmagą w nim niepokój. Co robić? Ostrzec kolegów, czy działać samemu? O, gdy się jest pierwszy raz na takiej robocie, lepiej nie odgrywać bohaterskiej roli! Więc tak cicho, jak tylko może, posuwa się Rudy w kierunku pracujących. Chwila szeptania, krótki rozkaz i trzech ludzi wysuwa się nieco naprzód. Widać już wyraźnie idącego wielkiego mężczyznę.

Jeszcze chwila i - trzech młodzi ludzie usiłują stłumić chęć do śmiechu. Nie ulega żadnej wątpliwości, że idący mężczyzna jest „zawiany” i że wraca z jakiegoś wesołego Sylwestra. Otrzeźwiał w jednej chwili, gdy w świetle własnej latarki ujrzał lufy skierowanych doń pistoletów. Przez kilka godzin musiał biedaczysko marznąć w „areszcie” dywersyjnym pod otwartym niebem. Robota skończona, miny założone. Zapalniki włączone, obserwatorzy wystawieni. Praca gotowa akurat na właściwy czas. Z dalekiego świata idzie charakterystyczne dudnienie, gra szyn i ciężkie sapanie nadjeżdżającej lokomotywy. Obserwator Zośka pierwszy raz w życiu pełni tę funkcję, więc we wzruszeniu i napięciu stara się wszystkimi zmysłami właściwie określić sytuację. Nie wolno mu popełnić błędu. Nie wolno spowodować wybuchu ani wcześniej, ani później, tylko we właściwej sekundzie, jeśli ciężki wysiłek wielu dni ma dać owoce. Pociąg jest już tuż-tuż. Zośka chłonie go wzrokiem, wstrzymując ze wzruszenia oddech.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów, jeszcze trzydzieści, jeszcze dziesięć. - Ognia! - wrzeszczy całą siłą płuc, by przekrzyczeć sapanie lokomotywy. Miner, nie mniej od obserwatora wzruszony, włącza zapalnik elektryczny i z przestachem stwierdza, że wybuch nie następuje. Zapalnik zawiódł! Odruchowo szarpie za przewód elektryczny, by uruchomić dołączony doń zapalnik pociągowy. Spóźniony o niecałą sekundę wybuch, wstrząsa powietrzem, jak huk najpotężniejszych gromów.

Ogień i żelazo wytryskują tuż sprzed lokomotywy: Udało się! Udało się! Chaos huków i zgrzytów miesza się z potężnym traskiem łamanych wagonów i z łomotem walących się z szyn wozów. Zośka wraz z innymi pędzi co sił do kłębowiska pogruchotanych i rozwalonych wagonów pociągu towarowego i ciska butelkę z zapalającym płynem. W minutę potem szereg wozów płonie mocnym, czerwonym światłem, a w blaskach pożaru widać wyraźnie wywaloną na bok lokomotywę, spiętrzone w nieładzie wagony. Sześć z nich pogruchotanych i wywróconych w rowie. Z paru wyrwanych boków wygląda niemiecki sprzęt wojenny, sprzęt, którego przeznaczeniem był front w Rosji. Ich pierwsze zadanie dywersyjne wykonano ze stuprocentowym powodzeniem. Tak właśnie, jak być powinno. W

tę sylwestrową noc kilkanaście takich samych jak oni zespołów wykonuje pod ogólnym dowództwem podpułkownika Oliwę<sup>40</sup> tę samą robotę. Odjechali. Punktualnie o godzinie 24 samochód zatrzymał się w białym polu: żołnierze stanęli w szeregu, kierownik dywersji, podpułkownik Oliwa odebrał w chwili narodzin nowego roku wojskową przysięgę od szofera, który tą akcją zaczynał służbę. Był to jeden z nielicznych i pierwszy w roku 1943 uroczysty, moment dla wojska Polski Podziemnej: uczestnicy zdawali sobie sprawę z wyróżnienia, jakie ich spotkało, iż mogli tak właśnie spędzić noc sylwestrową. Będą ją długo pamiętali. Samochód wraca do Warszawy z pośpiechem.

Nagle... szarpnięcie w bok, zgrzyt kół, gwiazdy na niebie pędzą w dół, ziemia unosi się ku górze. Nogi, kolana, głowy - wszystko jednym kłębowiskiem. I... cisza. Szofer, ulegając ogólnemu nastrojowi radości, wziął w niej fatalny udział i oto auto leży wywrócone w rowie o dwadzieścia kilometrów od wykolejonego pociągu. Dowódca wyprawy żołądek podszedł pod gardło, gdy uświadomił sobie, że każdy z pasażerów wywalonego do rowu auta ma w kieszeniach po parę granatów. Na szczęście - nic się złego nie stało. Ludzie byli cali, a w samochodzie tylko popękały resory. Wyciągnąwszy wóz wracali na nim w tempie trzydziestu kilometrów na godzinę. Gdybyśmy napisali, że powrót ten odbywał się w całkowitym spokoju i powadze, napisalibyśmy nieprawdę. Służba w dywersji, jeśli ma być dobrą służbą, wymaga drobiazgowego i dokładnego wyszkolenia, starannego przygotowania pomocy technicznych, a nade wszystko cierpliwego i dokładnego rozpoznania. Sam akt dywersyjny trwa chwilę, jego przygotowanie - całe tygodnie, a nawet miesiące.

Bez tych długich tygodni cierplivej, nużącej, uporczywej pracy nie ma powodzenia - jest tylko narażanie ludzi. Służba w dywersji właściwie prowadzona - jest dobrą szkołą poczucia odpowiedzialności i drobiazgowej dokładności. Nasi chłopcy zabrali się do dywersji w sposób dobry, w czym znakomitą pomocą byli im ich nowi przełożeni Oliwa, Pług<sup>41</sup> i Jerzy<sup>42</sup>. Styczniowe tygodnie biegły na długich pracach przygotowawczych, na wciąż nowych ćwiczeniach, na zapełnianiu właściwymi materiałami magazynów, na oswojaniu się z bronią i na rozpoznaniach.

Niedziela 17 stycznia 1943 roku wryła się w pamięć całej stolicy. Był to dzień słynnej łapanki, kiedy to hitlerowcy wybrali z domów i z ulic ponad 5000 kobiet i mężczyzn,

---

<sup>40</sup> Oliwa - Jan Wojciech Kiwerski (1910-1944), inne pseudonimy „Dyrektor”, „Lipinski”, „Rudzki”, dowódca oddziałów Dyspozycyjnych Kedywu, w stopniu majora. Na przełomie 1943/1944 skierowany na Wołyń jako dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji AK.

<sup>41</sup> Pług - Adam Borys, major, zastępca dowódcy Oddziałów Dyspozycyjnych Kedywu, członek Rady Wychowawczej Szarych Szeregów

<sup>42</sup> Jerzy - Ryszard Bialous, harcmistrz, członek Głównej Kwatery wojskowy komendant warszawskich Grup Szturmowych

wywożąc ich do obozu koncentracyjnego w Majdanku. Niedzielnym rankiem Alek, nieświadom tego, co się zaczyna dzieć w mieście, wyszedł z domu, kierując się na wykład swego zespołu dywersyjnego. W kieszeni miał plik „szkolnych” instrukcji dywersyjnych. Po przejściu paruset metrów zorientował się, że na ulicy dzieje się coś niedobrego. Ludzie zaczęli nagle uciekać, gdzieś z dala mignęły zielone mundury niemieckiej policji. Alek, nie namyślając się, skręcił w najbliższą przecznicę i począł szybko oddalać się od miejsca, w którym krzątała się policja. Jeszcze jedna przecznica, jeszcze jeden skręt i... stanął oko w oko z niemieckim policjantem w hełmie i z karabinem skierowanym ku swej piersi. - Hande hoch!

Alek powoli podnosi obie ręce. - A tom wpadł! Cóż to dzieje się w tym pięknym mieście? Pod ścianą stało już kilku innych mężczyzn. Silny patrol niemieckiej policji z karabinami gotowymi do strzału wykluczał jakąkolwiek możliwość ucieczki.

Jakiś cywilny agent sprawdzał dokumenty. - Niech no tylko sięgną do kieszeni po moje notatki, wtedy dopiero dadzą mi bobu - mignęło w głowie Alka, gdy na rozkaz gestapowca podawał mu swój dowód osobisty. - Ile pan za to zapłacił - cedzi powoli gestapowiec, potrząsając nowym dowodem. Alek nic nie odpowiada, ale z uznaniem przygląda się cywilowi. Ten się zna na swoim fachu! Rzeczywiście dowód Alka był fałszywy, gdyż od czasu aresztowania w jego rodzinie - zmienił nazwisko i papiery. Na szczęście sprawa skończyła się tylko na zatrzymaniu dokumentów w kieszeni cywila. Rewizji nie przeprowadzano. Z każdą minutą przybywali nowi mężczyźni i kobiety. Alek zrozumiał sytuację: łapanka. - No, to jeszcze można żyć! - odetchnął z ulgą. Gdy załadowywano ich do auta celem przewiezienia ich na Pawiak, Alek przepchnął się pierwszy, by usiąść w budzie jak najgłębiej. Miał plan: chciał jak najszybciej pozbyć się piekących go bibulek. Kiedy auto ruszyło, wyjął ostrożnie z kieszeni nieszczęsne papiery i zaczął wpychać w szczelinę między deskami wozu a płótnem, manipulując tak, aby wyleciały na jezdnię. W pewnej chwili dostrzegł, że to mu się udaje. Jeszcze chwila i papierów nie będzie. Nagle auto stanęło i Alek uczył gorąco w całym ciele. - Zauważyli. - Na szczęście był to zbyteczny niepokój. „Buda” stanęła po to, aby zabrać jeszcze jakichś dwóch mężczyzn. W kwadrans potem byli na Pawiaku. Alek miał niezłomną decyzję jak najszybszego wydostania się z tej głupiej afery.

Ogromne rzesze czekających w ponurym milczeniu kobiet i mężczyzn, ludzi bądź wylękłych, bądź zaciętych w gniewie i w pragnieniu odwetu, stały bezradnie na olbrzymim dziedzińcu i w długich korytarzach. Alek nie stał i nie czekał.

Zdecydowany na ucieczkę starał się ją zrealizować jak najszybciej. Gdy się więc zorientował, że w jednej stronie dziedzińca przygotowują grupę na wywiezienie z Pawiaka w jakieś dalsze, nieznane drogi, zaczął podsuwać się do tej grupy.

Stwierdził z uśmiechem, że jest jedynym pchającym się w tym kierunku. Wszyscy inni starali się od grupy wywożonych jak najdalej odsunąć. Kilku podoficerów policji niemieckiej podeszło do przygotowanego transportu ludzi i skierowało go do rzędem stojących wozów. Alek szybko zorientował się w sytuacji. Obok krytych, charakterystycznych dla łapanek „bud”, stały otwarte samochody ciężarowe ZOM.

Sprawa była jasna: za wszelką cenę musi się dostać do odkrytego wozu ZOM, nie do „budy”. Zaczął przeciskać się naprzód. - Panie młody - rozległy się zniecierpliwione głosy - gdzie się panu, do jasnej cholery, tak spieszy? Udało się. Zdążył przepchać się do wozu, który sobie upatrzył. Wgramolił się nań, wybrał najodpowiedniejsze miejsce w zewnętrznym, tylnym rogu, usiadł i czekał z lekka uśmiechnięty. Był pewien swego i zawczasu cieszył się z wrażenia, jakie wywrze na kolegach opowiadaniem o tej awanturze. Gdy zobaczył, że do każdego wozu przydzielono tylko dwóch Niemców i że ci zajęli miejsca obok szofera był całkowicie pewien powodzenia. Szkopy czyniły wszystko, by przeszkopić sprawę.

Kiedy wozy ruszyły, Alek zwrócił się do gromady trzydziestu stłoczonych mężczyzn. - Halo, panowie, wrywamy? Gdy zaczniemy pryskać wszyscy, nie dadzą rady, zbaranieją. Nikt nie odpowiedział. Milczeli... Alek usiłował ich przekonać. W każdym wozie tylko dwóch policjantów, jadą przez te części miasta, gdzie skryć się łatwo, tempo jazdy niewielkie, jeśli wyskakiwać zaczną wszyscy - powodzenie murowane. Milczeli niezdecydowani. Nieufnie spoglądali na Alka, lękliwie patrzyli na karabiny policjantów, bieg auta wydawał się pędem zawrotnym. - Ano, jak się tak namyślacie, panowie mili, to się namyślajcie. Do widzenia, dobrej drogi! - rzucił z uśmiechem. Był w dobrym humorze. Przygoda sprawiała mu coraz większą satysfakcję. Podjeżdżali do rogu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia. Alek szybkim ruchem przerzucił nogi na zewnętrzną stronę barierki i po chwili był już na jezdni. Zgrzytnęły hamulce jadącego za nim wozu, rozległ się jakiś niemiecki krzyk - ale Alek nie oglądał się już na boki. Wpadł w najbliższą uliczkę Starego Miasta, potem w następną, poprzeczną, wmieszał się w tłum... i był wolny! - La, la, la! Wiedziałem, że się uda, ale nie sądziłem, żeby to było takie łatwe. - Wszedł do najbliższego sklepu, na drzwiach którego wisiała tabliczka: „telefon czynny” i połączył się z Zośką. - Halo, Zośka, jesteś w domu? Zmiłuj się, przynieś mi jakieś dowody osobiste, bo uważasz... swoje zgubiłem i jakoś mi niezręcznie przez to zwariowane miasto jechać bez dowodów.

- Co? Nie masz? W ogóle żadnych?

- Że co? Że jestem kiep? Patałachu jeden! Poczekaj przynajmniej w domu na mnie!

Jadę do ciebie. Zły, że Zośka wykpił jego prośbę o jakiegokolwiek dokumenty, ruszył Alek z duszą na ramieniu do tramwaju. Jechał przez miasto niespokojnie wpatrując się w

ulice. Jedna awantura skończyła się dobrze, nie potrzeba się narzucać losowi swą osobą. Nareszcie dojechał. Właśnie kończył u Zośki opowiadanie o swych awanturach, gdy dzwonek zadzwonił w przedpokoju. Wszedł Rudy z teatralnie napuszoną miną i nie witając się z nikim, zakomenderował: - Wstać!

Panowie i panie, hołd oddajcie bohaterowi. Stoi przed wami człowiek (tu wskazującym palcem dotknął swej piersi), który przed godziną wydostał się z paszczy szkopskich łapaczy. - Co, i ty też? - zdumiał się zazdrośnie Alek. Że też ten Rudy ciągle musi mu we wszystkim robić konkurencję! Okazało się, że dom Rudego został obstawiony kordonem niemieckiej policji, która obchodziła mieszkanie po mieszkaniu, legitymując lokatorów i pewną ich część zagarniając do stojących obok bud. Rudy nie czekał, aż nieproszeni goście zapukają do jego mieszkania. Nie-przezorność szkopska spowodowała, że wielki blok domu, w którym mieszkał, był obstawiony tylko od strony frontu, na tyłach zaś, zwróconych ku bocznej uliczce, policji nie było. Rudy przywiązał do nogi stołu długi sznur i zjechał na nim z drugiego piętra. Zarówno ucieczka Alka, jak i Rudego z łapanki wyglądają według tego opisu tak łatwo, że aż warto podkreślić, że były to formy reakcji łatwe dla ludzi tego typu, co Alek i Rudy. Przytłaczająca większość zachowywała się, niestety, w podobnych sytuacjach całkowicie odmiennie. Dla przytłaczającej większości schwytych tej niedzieli zdrowych, silnych mężczyzn zachowanie się Rudego i Alka miało pozory jakiegoś szaleńczego bohaterstwa.

Charakterystyczne jest, że sposób bycia obu młodych ludzi, ich prostota i naturalność w niczym nie zdradzały ich siły i męskości. Zabawny jest pewien szczegół, związany z Alkiem. Alek w tym czasie miał pracę zarobkową w jednej z firm warszawskich. Pracował tam od niedawna, wśród gromady nieco starszych od niego lub równych mu wiekiem. Byli to dobrzy Polacy i dzielni ludzie, należący w większości do organizacji podziemnych, ale hołdujący tradycyjnym wzorom męskiego trybu życia. Już po kilku dniach pracy zarysował się rozdźwięk pomiędzy Alkiem a jego nowymi kolegami. Koledzy każdego wieczoru wstępowali do najbliższego baru „na jednego” i ciągnęli ze sobą Alka; Alek odmawiał. Kiedyś poszli „na dziewczynki” - Alek nie poszedł. Alek nie palił. Alek nie śmiał się, gdy opowiadali soczyste dowcipy. Nie lubił gry w karty. Po pewnym czasie w gronie kolegów przyłgnęło do Alka przezwisko „fajtłapa”. - Ciekawe, jak to też ten „fajtłapa” zachowa się, gdy będzie jakaś porządna awantura - powiedział jeden z Alkowych kolegów. I odtąd już utarło się to przezwisko. Gdy w niedzielę łapankową któryś przybiegł do fabryki i powiedział, że widział Alka zatrzymanego przez Niemców i wpakowanego do policyjnej budy, inni z politowaniem kiwali głowami. - No, wiadomo, fajtłapa! Takemu musi się wszystko zdarzyć.



-Nie należy się zresztą dziwić tym ludziom w ich zabawnej ocenie Alka. Trzeba było bowiem być wytrawnym znawcą dusz ludzkich, aby dostrzec, że ten ciągle uśmiechnięty, gadatliwy młody człowiek jest jednym z najodważniejszych ludzi w Warszawie. Był w życiu codziennym miły, uczynny, delikatnie uprzejmy. O siebie samego nie dbał ze zdumiewającą lekkomyślnością. Nie dbał o swoje jedzenie, nie dbał o swoje ubranie. Był to jeden ze stałych tematów na pół żartobliwych Sprzeczek między nim a Basią, która gderiała na nie oczyszczone buty, nie dobrany krawat, plamę na swetrze, nie leczony u dentysty ząb. Alek zawsze się spieszył. W domu pokpiwano zeń, że potrafi jednym tchem powiedzieć: „Co u ciebie słyhać - przepraszam, już muszę iść”. Łatwo się męczył, lubił odpocząć, czasem położyć się. Był cały przesiąknięty optymizmem, był chodzącym uśmiechem. Każdego nowo poznanego człowieka już z góry traktował przychylnie i był bardzo sentymentalny. W pewnym okresie marzył o skórzanej kurtce. Widział od czasu do czasu na mieście mężczyzn w podobnych kurtkach, przyglądał się tym kurtkom uważnie i wzdychał z zazdrości.

Ach, żeby mieć taką kurtkę! O swych (marzeniach opowiadał przyjaciołom, zwierzył się Basi. Pewnego dnia, gdy miał w kieszeni „grubszą” gotówkę po spieniężeniu deputatu, jaki dostał w fabryce, natknął się przypadkowo na człowieka sprzedającego rzecz, o której marzył. Piękna, skórzana, prawie nowa kurtka!

Przymierzył - leżała świetnie. Uszczęśliwiony zapłacił sprzedającemu i jak mógł najszybciej podążył do Basi. - Basiu, spójrz!

Stał rozpromieniony, szczęśliwy. Dziewczyna popatrzyła na niego zdumiona, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o co chodzi. A zorientowawszy się wreszcie, wykrzywiła usta z lekkim politowaniem. - Kurtka? Jaki ty Aluś jesteś dziecinny!

Czego tu się tak-cieszyć? Alek stał nieruchomo, uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Jakoś zszarzał, zmałał. Wyszedł do przedpokoju i zdjął kurtkę. Z tą kurtką Alka działy się rzeczy zdumiewające. Przyjaciele ocenili ją inaczej niż Baśka. Kurtka uzyskała powszechną aprobatę. Aprobata nie była uczuciem platonicznym. Już w dwa dni po zakupie kurtki pożyczył ją ktoś na wyprawę rozpoznawczą, - Wiesz, Glizda (tak nazywali koledzy wysokiego „długiego” Alka), mam dziś przez całe popołudnie sterczeć w lesie koło mostu w Józefowie. Będzie pewnie padać, pożycz mi kurtkę. W następnym dniu wypożyczył ktoś kurtkę z zespołu przeprowadzającego nocne zadanie w pobliskim miasteczku. W drugim tygodniu kurtka była już przestrzelona, w trzecim - jeden z pożyczających rozdarł ją w ucieczce o druty kolczaste. A w czwartym tygodniu - trysnęła na nią krew i kurtka została w polu na stygnącym ciele któregoś z kolejnych jej wielbicieli. Alek miał ją na sobie tylko parę razy.

Rudy rozwijał się na przełomie 1942 i 1943 roku w sposób zdumiewający. Ten drobny, szczupły młodzieniec był z tygodnia na tydzień bardziej sprężysty i silny. Skromny, powściągliwy mózgowiec stawał się odważnym i zdeterminowanym mężczyzną. Z tygodnia na tydzień wyzwalalo się w nim drzemiące dawniej zacięcie przywódcze. A jeśli w jakimś człowieku zespolą się zdolności przywódcze z nieprzeciętną inteligencją i charakterem, formuje się wtedy jednostka, przed którą może nie być osiągnąć niemożliwych. Na taką właśnie drogę nieświadomie dla siebie wkraczał Rudy. Koledzy coraz uważniej wsłuchiwali się w jego głos, coraz chętniej poddawali się jego sugestiom. Pluton jego - zwany kryptonimowo Sad, co oznaczało skrót słów: sabotaż i dywersja - stawał się z dnia na dzień coraz lepszy, wybijał się wśród pozostałych. Nie tylko sprawy organizacyjne i wyszkoleniowe dociągano do stanu wzorowego, ale tworzyła się własna tradycja, własna ambicja i duch oddziały, którego dowódcą był Rudy. W stosunkach ze swymi ludźmi potrafił stworzyć atmosferę prawdziwego zaufania i braterstwa służby, które w niedalekiej przyszłości znalazło mocny i głęboki wyraz. Mianowanie go w dywersji na odpowiedzialną funkcję dowódcy plutonu było tylko formalnym stwierdzeniem rzeczywistego stanu rzeczy. Najbardziej rzucającą się w oczy właściwością Rudego, dawniej mało widoczną, była jego wielka odwaga, po raz pierwszy tak silnie zmanifestowana przy rysowaniu kotwicy na pomniku lotnika. W owym czasie kilka „grup szturmowych” przeprowadzało ćwiczenia w rozbrajaniu Niemców. Któregoś zimowego wieczoru około godziny 19, Rudy w tym właśnie celu wyruszył z jedną ze swych grup na miasto. Szli w odpowiednim szyku ulicą Emilii Plater. Śnieg skrzypiał pod nogami. Na rogu Nowogrodzkiej na wprost Rudego zbliżał się oficer SS. Gdy odległość między obydwojma zmniejszyła się do pięciu kroków, Rudy wyjął pistolet i skierował go ku piersi SS-manna. - Ręce do góry! - rzucił krótko.

Oficer zbaraniał Zbaraniał przede wszystkim dlatego, że cała sytuacja wydawała mu się groteskowa. Były to czasy pierwszych silniejszych poczynań dywersyjnych w stolicy. Okupanci nie byli jeszcze przyzwyczajeni do napadów. Ale jeszcze jednym powodem zbarania oficera było to, że groził mu mały, szczupły człowieczek o bardzo młodzieńczym wyrazie twarzy. - Czy pan zwariował? - wykrztusił wreszcie hitlerowiec. Widząc jednak złowieszczy błysk w oczach niskiego, szczupłego przeciwnika, uskoczył na jezdnię i sięgnął do boku po broń. Rudy nacisnął spust pistoletu i nieruchomy patrzył jak SS-mann zgina się wpół i pada na śnieg. W odległości niecałych stu metrów od tej sceny stała grupka około piętnastu niemieckich żołnierzy, ale po drugiej stronie ulicy posuwało się równoległe z Rudym kilku jego przyjaciół z rękoma w kieszeniach. Rudy bez pośpiechu schylił się nad umierającym hitlerowcem i odpiął mu pistolet. Wzrokiem szukał wzroku Niemca. - Pan jest

SS-mann, prawda? (Rudy dobrze mówił po niemiecku). Pan wie, co to są obozy koncentracyjne dla Polaków? Słyszał pan o Oświęcimiu? O sposobie badań gestapo, o odpowiedzialności zbiorowej? Niemiec zdaje się zrozumiał, co do niego mówiono. Rysy twarzy Rudego były stężałe w zaciętości. Stężeniem mięśni twarzy opanowywał niespokojne bicie serca i wzrastający niepokój duszy: krew... oczy umierającego... Włożył pistolet hitlerowca do swego płaszcza i wolno poszedł w kierunku Marszałkowskiej. Ubezpieczenie szło po drugiej stronie ulicy.

Grupka żołnierzy niemieckich stała w mroku wieczornym w miejscu. Nie zauważyli?

Nie słyszeli? Czy też może nie chcieli zauważyć i nie chcieli usłyszeć? Tylko wojna, wojna, której w Polsce wyjątkowo potworne formy nadali hitlerowcy, wytworzyć mogła tego rodzaju sytuację, w jakiej znalazł się Rudy i dziesiątki, a może setki tysięcy podobnych mu ludzi. Bo Rudy był w istocie człowiekiem dobrym.

Żenująco delikatnym wobec przyjaciół. Gdy kiedyś miał w dyskusji ideowej wystąpić przeciw najbliższemu przyjacielowi, zwrócił się doń przedtem w cztery oczy. - Zośka, zajmuję odmienne niż ty stanowisko. Czy nie wyrządzi ci to przykrości, jeśli zaatakuję cię dziś na odprawie? - W stosunku do pana Janka, przyjaciela Buków jeszcze z czasów ich służby w komórce więziennej, a teraz inicjatora i organizatora wielu wieczorów samokształceniowych, w których brali udział koledzy Zośki, był nieśmiały i ulegający jego wpływowi. Zresztą wpływy pana Janka, o kilka lat starszego od naszych przyjaciół, obejmowały silną więź całą ten wielki krąg młodych ludzi. Były to ciekawe wpływy; dotyczyły zagadnień nowego stylu życia, przebudowy polskich charakterów, nowego typu polskiego żołnierza. Młodzi ludzie, wróciwszy z jakiejś wyprawy małosabotażowej albo później z jakiejś akcji dywersyjnej, zbierali się bardzo często w miejscach, gdzie przychodził pan Janek i dyskutowali, dyskutowali, dyskutowali. Oczywiście o walce i o jej formach; o Polsce, którą wywalczą. Dyskusje te nie przypominały szablonowych artykułów prasy konspiracyjnej o granicach i kombinacjach politycznych, o zemście na wrogu i o odwecie. Jeżeli mówiono o Polsce przyszłości - to mówiono o ludziach: jacy są, a jacy być powinni i jakich Polsce potrzeba; o wadach i o zaletach ludzkich. Jeśli mówiono o walce - to troszczono się przede wszystkim o to, żeby z tej fatalnej sytuacji ekonomicznej i moralnej, w jaką wpędziła nas okupacja, wyjść najbardziej obronna ręką; mówiono o moralności w walce, mówiono o stylu życia pokolenia wojny i pokolenia powojennego. Problematyką partyjną nie interesowali się. Rudy często zabierał głos w tych dyskusjach. Uczucia swe dzielił teraz między życie umysłowe i najbliższych przyjaciół, spośród których wyróżniał Zośkę. Rudy jako dowódca był bardzo dobry. Całą inteligencję i pasję życiową skupił na swym Sadzie,

starając się natchnąć ludzi nowym stylem życia polskiego żołnierza (był to temat jego długich przemyśleń i przeżyć). Wśród towarzyszy-dowódców stał się Rudy motorem i skarbnicą pomysłów wychowawczych. Przeżywał mocno sens walki i sens dzisiejszych czasów. W ostatnich miesiącach Rudy czuł się wyjątkowo dobrze.

Mówił, że dni jego nie znają godzin zmarnowanych, że żyje pełnią życia. Że wszystkie jego zajęcia są cudownymi zajęciami. Pochłaniał Abramowskiego<sup>43</sup>, Pigoń<sup>44</sup>, Szczepanowskiego i Dzieje Anglii Maurois. Uczył się z zapałem języka angielskiego, poświęcając na to wczesne ranki i późne godziny wieczorne. Każdą wolną godzinę spędzał na rozmowach z przyjacielem. No i oczywiście pełnił swą służbę podziemną. Pełnił ją, rozwiązawszy w sumieniu swoim trudne zagadnienie zabijania. Boć to przecież był czas pierwszych wystąpień Rudego z bronią. Tego właśnie ostatniego problemu nie mógł rozgryźć Alek. Kwestia pozbawienia życia, nawet takiego nikczemnego wroga, jakim jest hitlerowiec, odbierała Alkowi spokój snu. Przez parę miesięcy męczyło go to, gnębiło. Radził się wielu ludzi, do których miał zaufanie. Wybrał jednego z najbardziej rozumnych spowiedników i poszedł do spowiedzi, w czasie której zwierzać się począł z największej swej udręki - zabijania. Na całe dni wymykał się do lasu, gdzie krążył w samotności, szarpiąc się z tym, z czego nie widział wyjścia. Całą duszą pragnął walki, walką żyła cała jego istota. Walka z bronią była przecież koroną walk i, gdy wyobraźnia podsuwała mu obrazy obrony, odpierania napaści wroga w potyczce - nie miał żadnych wątpliwości. Natomiast gdy stawiał siebie w sytuacji napadającego, w szczególności napadającego przez zaskoczenie, szarpał się i dręczył, i w swym odczuwaniu chrystianizmu nie widział rozwiązania tej wątpliwości. Przywoływał wówczas na myśl wszystkie potworności okupacji niemieckiej w Polsce. Zamordowanie ojca, bestialskie znęcanie się gestapowców nad dziesiątkami tysięcy mężczyzn i kobiet, niesamowitość zbrodni dokonywanej na całym trzymilionowym społeczeństwie żydowskim w Polsce. To wszystko było prawdą, lecz strzelić do nie spodziewającego się niczego człowieka? Ile razy o tym myślał - odczuwał niepokój...

Opowieść ta nie jest szczegółową kroniką Kedywu. Nie mamy tu miejsca ani czasu na podawanie wielu szczegółów ówczesnego życia Zośki i jego kolegów, na opowiadanie o akcjach udanych lub nieudanych, o pomysłach szczęśliwych lub niefortunnych, o wysiłkach wyczerpujących, niekiedy zakończonych rozczarowaniem, niekiedy - rozślonecznionych sukcesem. O pewnej jednak „robocie” powiemy tu nieco szczegółowiej. Jest ona

---

<sup>43</sup> Józef Edward Abramowski (1868-1918) - działacz społeczny, filozof, socjolog i psycholog.

<sup>44</sup> Stanisław Pigoń (1886-1961) - historyk literatury i edytor, w młodości blisko związany z harcerstwem. Tu prawdopodobnie mowa o wczesnych publikacjach Stanisława Pigoń poświęconych sprawie wychowania narodowego.

charakterystyczna dla ówczesnych warszawskich kłopotów i nastrojów. Było to w lutym 1943 roku. Wyłoniła się potrzeba ewakuacji niektórych rzeczy i materiałów z pewnego mieszkania, które mieściło się w wielkiej czynszowej kamienicy, w samym centrum śródmieścia przy ulicy Brackiej.

Była to ewakuacja mieszkania przy ulicy Brackiej należącego do Jana Błońskiego.

W czasie akcji zginął Kazimierz Pawłowski „Paweł”, a ranny został Jan Bytnar.

Jednego zimowego wieczoru, niewielkimi grupkami podeszło do domu kilkudziesięciu młodych ludzi. Podjechało także kilka aut. Gdy jedna część, otworzywszy mieszkanie wносиła rzeczy, o które chodziło, druga część ubezpieczała „ewakuację”. Robota trwała bite dwie godziny. Dowódcą całości ubezpieczenia był Rudy, dowódcą piątki ubezpieczającej od strony ulicy był Alek. Wynoszeniem rzeczy kierował Zośka. Od chwili rozpoczęcia akcji nie można było dopuścić, aby ktokolwiek wyszedł z wielkiej kamienicy, w której przeprowadzano ewakuację.

Wszystkich więc ludzi pragnących wyjść z domu oraz tych, którzy wchodzili, zatrzymywano w obszernej klatce schodowej. Robiono to w ciszy i spokoju, aby nie spowodować paniki i aby lokatorzy licznych mieszkań nie zorientowali się, że dzieje się coś niewłaściwego. Przecież w każdym mieszkaniu jest telefon, przecież wystarczy otworzyć okno na bardzo ruchliwą w tym miejscu ulicę i narobić alarmu. Dwie bite godziny, od piątej do siódmej po południu, trwała robota. Grupa zatrzymywanych na klatce schodowej rosła w zastraszający sposób, sięgając pod koniec masy około dwustu ludzi. Zbitą ciżbą stał tłum nieruchomych, milczących mężczyzn i kobiet od pierwszego piętra, z którego ewakuowano rzeczy, aż gdzieś daleko w górę, do pogranicza piętra trzeciego. Tłum musiał stać spokojnie. Twarze stojących przy poręczach młodych ludzi nie miały wyrazu żartu.

Auta wywożące rzeczy odbyły już kilka tur, gdy w bramę domu weszli dwaj granatowi policjanci. Ktoś z mieszkańców domu, zorientowawszy się w nienormalności sytuacji i podejrzewając grabież na wielką skalę, zaalarmował najbliższy komisariat. Alek wpuścił policjantów: miał rozkaz wpuszczać każdego, nie wolno mu było tylko wypuszczać. Policjanci weszli do ewakuowanego mieszkania i dopiero tam, ujrzawszy wymierzone ku sobie lufy, stwierdzili, jaką wielką popełnili nieostrożność. Odebrano im broń, posadzono w kątach. Błagali o zwrot rewolwerów twierdząc, że w przeciwnym razie poniosą wielką odpowiedzialność. W dziesięć minut potem do bramy domu podszedł patrol, złożony z czterech werkschutzów<sup>45</sup> z sąsiedniej fabryki, widocznie także zaalarmowanych przez

---

<sup>45</sup> Werkschuti - straż fabryczna, zielona przeważnie z nie-Polaków

gorliwego lokatora. Werkschutze wchodzili ostrożnie. Alek i tych wpuścił. Rozkaz był wyraźny: wpuszczać każdego. Werkschutze weszli do bramy i czujni skierowali się ku klatce schodowej. Była to chwila, w której musiał wystąpić Rudy, dowodzący całością ubezpieczenia. Uprzedzony dyskretnym sygnałem alarmowym Alka, czekał na gości, w głębi bramy. - Panowie, odbywa się tu akcja oddziałów Polskich Sił Zbrojnych. Opuścić pistolety, oddać mi broń. Krzyżują się z sobą spojrzenia, piersi oddychają w przyspieszonym rytmie. Jeden z volksdeutschów pociąga spust pistoletu. Ubezpieczenie odpowiada ogniem. W mroczonej bramie pełnej ludzi huczy od wystrzałów. Za chwilę walka skończona. Dwóch werkschutzów nie chciało oddać broni, leżą we krwi. - Czy jest kto ranny? - woła Zośka. Rudy czuje piekący ból w udzie i widzi występującą na ubraniu plamę krwi. Opierając się na ramieniu Zośki, którego rykoszet ugodził w.. piętę, wychodzi na ulicę.

Przed minutą pełna gwaru i przechodniów ulica jest teraz zupełnie pusta.

Podtrzymując się wzajemnie obaj przyjaciele pakują się przez pomyłkę do cudzego auta. Gdy spostrzegają błąd, jest już za późno. Szofer w osłupieniu patrzy na pasażerów, mówiących doń w niezrozumiały sposób o niezrozumiałych rzeczach.

Zośka nie mieje w konsternacji i ze złości na własne gapiostwo. W tej chwili nie można się już wahać. - Jechać naprzód! - rozkazuje wyjmując pistolet. Tymczasem Alek przeżywał ciężkie minuty. Przepuszczał wchodzących werkschutzów, przewidywał walkę, lecz nie wolno mu było niczego uczynić prócz ścisłego wykonania polecenia. Stał więc w dalszym ciągu lub spacerował pozornie niewrażliwy, obojętny i całkowicie spokojny, choć w głowie kłębiły się myśli, a duszą miotał niepokój. Uspokojenie dawało mu pieśczośliwe głaskanie „stena”. Ten angielski maszynowy pistolet, dziwaczny w wyglądzie, czyniący wrażenie nieobrobionego żelastwa, jakże był wygodny dzięki swoim niewielkim wymiarom i jakże groźny w działaniu. Nareszcie skończone.

Ludzie opuścili już dom. Ostatni schodził z ulicy Alek. Gdy mija drugą przecnicę, widzi wielkie auto policji niemieckiej pędzące w stronę domu. Ogląda się: auto staje przed „ich” domem, kilkudziesięciu policjantów szybko zeskakuje na ulicę i otacza gmach. - No, no! Skończyliśmy w sam czas!

„Awantury arabskie” tej ewakuacji, miały jeszcze swój dalszy ciąg w mieszkaniu Rudego. Do rannego sprowadzono z wielkimi ostrożnościami jakiegoś podobno bardzo dyskretnego lekarza. Lekarz zrobił, co do niego należało, orzekł, że kula nie tknęła kości, że wszystko będzie dobrze - i odjechał. A następnego dnia Zośka, którego rana okazała się tylko draśnięciem, przeglądając świeżo nadesłany przez kontrwywiad wykaz agentów gestapo, z przerażeniem wyczytał na pierwszym miejscu nazwisko chirurga, który poprzedniego dnia

badał Rudego, i przed którym nie czyniono tajemnicy z -przyczyny zranienia. Powstało piekło. W parę godzin po odkryciu Zośki, u Rudego był już Alek, Andrzej i paru innych. Nie ma co, trzeba zmykać. Ponieważ jednak tego dnia nie było gdzie przewieźć rannego, zaszła konieczność tę jeszcze noc spędzić na miejscu. Lekko gorączkujący Rudy spał w otoczeniu czterech ubezpieczających go przyjaciół. O czwartej rano, o charakterystycznej porze gestapowskich wizyt - alarm. Przed domem stanęło policyjne auto. Przyjaciele gorączkowo ubierają rannego i szybko przewiązują go liną, która przed paroma miesiącami wyratowała Rudego z łapanki. Już stoją przy oknie gotowi spuszczać towarzysza w małą, boczną uliczkę, gdy okazuje się, że alarm jest fałszywy: gestapo udało się do domu naprzeciwko. Po paru dniach dowiedziano się również, że wiadomość o lekarzu była nieprawdziwa. W czasach terroru okupacyjnego tego rodzaju pomyłki i tego rodzaju alarmy przeżyła chyba każda polska rodzina. Choć tylko niecałe pół roku Zośka i jego przyjaciele pełnili służbę w dywersji, byli to już jednak inni ludzie. Broń i przeżycia związane z walką wywołały ogromne przemiany psychiczne. Inny był teraz błysk ich oczu. Ku zdumieniu nie orientującego się w niczym otoczenia zaznaczać się w nich zaczynała wyraźnie i mocno jakaś twardość i szorstkość, męskość i pewność siebie oraz skłonność do częstych refleksji.

## POD ARSENALEM

Pewnej marcowej nocy gestapo aresztowało Jednego z towarzyszy broni Rudego - Heńka<sup>46</sup>. Katuszami i podstępem (znaleziono gdzieś na mieście w czasie jednej z rewizji notatki) wydobyto zeń kilka faktów. Do wiadomości gestapowców dostał się tylko drobny ułamek tego, co wiedział Heniek. W notatkach było zresztą tylko jedno nazwisko i jeden adres: nazwisko i adres Rudego.

Popołudnie 22 marca 1943 roku spędził Rudy ze swym najbliższym przyjacielem.

Skończyli przygotowania do przenoszenia dużego magazynu materiałów wybuchowych, brali udział w dyskusji na temat podjętej w owym czasie przez Szare Szeregi akcji stworzenia porozumienia międzyorganizacyjnego konspiracyjnych organizacji młodzieżowych i teraz szli do domów. Rudy odprowadzał Zośkę. Rozmawiali o sprawie ostatnio bardzo ich obchodzącej: o formowaniu osobowości przez wzajemne oddziaływanie; analizowali dodatnie i ujemne wpływy, jakie na siebie wywierają.

Zbliżała się godzina policyjna, trzeba się było rozstać. Rudy był bardzo ożywiony i pogodny.

- Nie mam teraz żadnych zmartwień - mówił do przyjaciela. - Choćbym nawet chciał, nie mam. Teraz ty musisz się zacząć czymś martwić. Wieczorem przed snem Zośka zatelefonował do Rudego. W ostatnich miesiącach czuli się ze sobą wyjątkowo dobrze> zgadzali się w poglądach na świat, na wypadki, na ludzi.

Pasjonowały ich te same prace, te same zadania. Zapatrzeni byli obaj w te same rzeczy nieuchwytnie a tak ważne, że miały wobec nich wszystkie inne problemy życia. Wymiana najbliższych zdań sprawiała im przyjemność. Zośka telefonował bez żadnego powodu - ot tak, żeby powiedzieć dobranoc. Rudy. leżał już w łóżku i na bosaka przybiegł do telefonu. - Dobranoc! - odpowiedział przyjacielowi. 23 marca o godzinie czwartej minut trzydzieści rano do mieszkania Rudego weszło sześciu ludzi. Sześciu Niemców umundurowanych i po cywilnemu, czterech innych pozostało na zewnątrz. Ci, co weszli, trzymali w pogotowiu maszynowe pistolety.

Jakakolwiek próba oporu lub ucieczki była niemożliwa. Po krótkiej rewizji zabrano

---

<sup>46</sup> Heniek - Henryk Ostrowski, harcmistrz, komendant Grup Szturmowych hufca „Praga”. Aresztowany 19 marca 1943, w Jego mieszkaniu znaleziono broń, amunicję i materiały konspiracyjne. Gestapo posiadało o nim wyjątkowo dużo informacji. W czasie zeznań nie zdradził nikogo, mimo ciężkiego pobicia. Skierowanie przez gestapo podejrzeń na Ostrowskiego jako zdrajcę miało na celu załamanie psychiczne Rudego, a przez to wymuszenie zeznań. Obszerniej pisze o tym Stanisław Broniewski w książce Akcja pod Arsenalem s. 27-30. Pisząc książkę, Kamiński nie znał jeszcze wszystkich szczegółów.



Rudego i jego ojca na Pawiak. W mieszkaniu pozostało jeszcze paru i dokładnie przeglądali każdy pokój, a potem strych i piwnicę. Znalaziono rzeczy, których przeznaczenie nie budziło żadnych wątpliwości. Już w piętnaście minut po przywiezieniu Rudego na Pawiak zaczęto pierwsze badanie. Zwykle badania przeprowadzane są na Szucha i zaczynają się bez takiego pośpiechu. W tym jednak przypadku gestapowcy działali z wyjątkowym tempem. W przebiegu wstępnego śledztwa gestapo nabrało przeświadczenia, że Rudy jest jedną z głównych sprężyn dywersji. Gestapo zdecydowało jak najszybciej wydusić od nowego więźnia adresy magazynów materiałów wybuchowych oraz adresy wszystkich znanych mu przełożonych i kolegów. Pierwsze badanie przeprowadzono na Pawiaku. Rudy wyparł się wszystkiego. Zaczęło się bicie. Pokazano mu znalezione notatki. Wstrząsnęło nim to do głębi, ale nie zachwiało w postanowieniu zapierania się wszystkiego.

Główną jego troską było ukrycie świeżej blizny po ranie na udzie. Toteż tak się kręcił i wystawiał na razy, by uderzenia spadały właśnie na tę bliznę. Po kilku minutach blizna była już na tyle poszarpana i zakrwawiona, że Rudy przestał o tym swoim kłopotcie myśleć. Katujący go gestapowcy z uporem i bez przerwy żądali adresów i nazwisk. Gdy twierdził, że nie zna żadnego i podawał bardzo lakoniczne i bardzo prawdopodobne wersje, tłumacząc powody przechowywania rzeczy znalezionych u niego w czasie rewizji - gestapowców wyprowadziło to z równowagi.

Gdy wreszcie podał pierwsze nazwisko - kolegi zmarłego niedawno w Oświęcimiu, prowadzący śledztwo wściekł się. - Kłamiesz, kłamiesz, łotrze!

Bicie trwało bez ustanku z parogodzinnymi przerwami. Bito go w trzech postawach: na stojąco - pięścią po twarzy i głowie, leżącego na stołku - kijem i pejczem, oraz na podłodze, gdy mdlał - butami po brzuchu i między nogi. Miażdżono mu również podkowami butów dłonie na kamiennej posadzce, gdy leżał wyczerpany bez sił. Bicie kijem ustało dopiero wtedy, gdy kij złamali mu na głowie. Badanie trwało, przeniosło się teraz na Szucha. Na stole leżały niektóre rzeczy, znalezione w mieszkaniu Rudego. Między innymi duża pieczęć z kotwicą z czasów Małego Sabotażu. Jeden z gestapowców umaczał pieczęć w tuszu i ostemplował nią twarz i głowę Rudego. Rudy był zdrow, lecz chudy i dość drobny. Już pierwsze bicia doprowadziły go do utraty przytomności. Zemdlenia były ulgą w torturach.

Nadstawiał więc umyślnie głowę na razy, by stracić przytomność i nie czuć męki.

Zemdlonego budzono do życia kopaniem w brzuch, deptaniem rąk i wierceniem butami między nogami. Już pierwszego dnia męki Rudy nie mógł stać. Musiano go nosić na noszach, lub ciągnąć omdlałego za ręce, włączając głowę i nogami po korytarzach i schodach. Gdy przywieziono go pierwszego dnia z Szucha na Pawiak, zaopiekowali się nim więźniowie.

Ludzie ci, którzy co dnia spoglądali na ciężkie sytuacje, cucąc Rudego w łaźni, byli poważniejsi niż zwykle. Pierwszą noc Rudy spędził na ogólnej sali. Ojciec i kilku przygodnych ludzi na ochotnika dyżurowali przy nim całą noc opiekując się, co parę minut podając wodę i przewracając na drugi bok.

Następnego dnia przeniesiono go do szpitala w stanie bardzo ciężkim. Ale już w parę godzin potem wzięto go na dalsze badania na Szucha. W czasie tych badań leżał cały czas na noszach. Na tych noszach bito go i katowano straszliwie. Z trudem docucono się go na Pawiaku. W piątek przeprowadzono konfrontację z Heńkiem. Gdy Rudy w dalszym ciągu przeczył, zaczęto go katować przy Heńku.

Heniek stał z podsiniaczonym okiem i ze śladami zadawanych mu w czasie badań przed tygodniem razów na twarzy i głowie. Stał śmiertelnie blady z udręki i bólu. Nie mogąc znieść widoku znęcań nad Rudym, zawołał: - Panowie, on powie, ale później! Dajcie mu spokój! To jest bardzo dzielny chłopak! Wobec uporczywego milczenia Rudego, gestapowcy przerwali tego dnia badania, zapowiadając wezwanie na śledztwo w sobotę. - To wszystko, co było, to nic - wycedził przez zęby do Rudego prowadzący śledztwo gestapowiec - od jutra nie zmrużysz oka: będziemy cię lać tak długo, póki się nie przyznasz. A zwracając się po niemiecku do swych pomocników, dodał - bić aż do śmierci! Rudy został aresztowany o świcie, a już około godziny siódmej alarmowo zwoływali się jego przyjaciele. Byli poruszeni w najwyższym stopniu. Los uderzył w kogoś specjalnie im bliskiego. Czuli wzburzenie i pustkę, jakby się coś urwało, skończyło, uleciało. W oczach niejednego z tych młodych mężczyzn, które w ciągu ostatnich miesięcy i lat widziały już wiele groźnych obrazów - błyszczały łzy. Uczucie rozpacz i pustki pod wpływem jednej myśli zmieniło się nagle w uczucie nadziei. Jeszcze nie koniec! Jeszcze jest szansa, przecież można odbić Rudego! Odbić można - odbić trzeba! Zośka głośno wypowiada to, co czują wszyscy. - Odbijemy! Odbijemy jeszcze dziś! - W jednej chwili cała wstrząśnięta wypadkami istota Zośki robi skok od wzburzonych uczuć - do woli, do decyzji, do planowania i zarządzeń.

Gorączkowe narady przerywa dopiero przypomnienie Andrzeja, że za pół godziny jest zbiórka, mająca na celu przenoszenie magazynu materiałów wybuchowych. I takie już było poczucie służby żołnierskiej w tych młodych ludziach, że wszyscy natychmiast wstali i pośpiesznie udali się na wypełnienie wyznaczonego na ten rano koniecznego obowiązku, choć dusze ich łamały się z niecierpliwości i bólu.

Całe przedpołudnie mija w gorączkowej aktywności. Padają rozkazy. Gońcy rozbiegają się w różne strony. Wszyscy z jakąś zaciętością biorą się do roboty.

A roboty jest masa. Prócz ewakuacji magazynu oraz ostrzeżenia zagrożonych, szeregu

żmudnych i pilnych posunięć wymaga przygotowywana na popołudnie akcja.

Tempo roboty jest szalone. Rozpoznanie, alarmowanie zespołów, przygotowanie broni i materiałów, lokale... Specjalnie delikatne zadanie do wypełnienia ma w tych gorączkowych chwilach Wesoły<sup>47</sup>. Wesoły - jeden z kolegów Zośki - jest człowiekiem o zawsze bladej cerze i- jakby w smutku zakrzepłych rysach twarzy.

Jest szczupły, pracuje jako akwizytor u „Wedla”, zna język niemiecki. Przed kilkoma tygodniami na rozkaz Naczelnika Szarych Szeregów rozpoczął ryzykowną, lecz dużej wagi próbę dostania się do gmachu gestapo przy alei Szucha, jako dostawca czekoladek i cukierków „Wedla”. Udało się! Od pewnego czasu co drugi, trzeci dzień jest na alei Szucha i krążąc po korytarzach i pokojach różnych pięter olbrzymiego gmachu - zbiera zamówienia na wyroby „Wedla”. Nerwy ma napięte, w czasie tych pierwszych swych wizyt na Szucha, do ostateczności. Słuch i wzrok wchłaniają najdrobniejsze szczegóły. Próbuje „towarzyskich” rozmów z gestapowcami. Nagłe aresztowanie Rudego narzuca Wesołemu jego pierwsze zadanie: podać kiedy i jak przewożony jest Rudy z Szucha na Pawiak. Gdy Wesoły przeprowadza rozpoznanie na Szucha, Zośka jednocześnie odbywa niecierpliwe rozmowy z naczelnikiem<sup>48</sup> Szarych Szeregów oraz ze swymi dowódcami z Kedywu. W rozmowach tych Zośka jest nieustępliwy. - Odbijemy za wszelką cenę. - Nic to, że chodzi nie o odbicie więźnia z jakiegoś łatwego prowincjonalnego aresztu, lecz w Warszawie pomiędzy Szucha a Pawiakiem. Mówiono im, że Rudy przecież jest nie pierwszym i nie ostatnim. Mury Pawiaka i Szucha pochłonęły tysiące ofiar. Nie odbijano wielkich przywódców Polski Podziemnej, nie odbijano aresztowanego niedawno Delegata Rządu, nie odbijano największych polskich polityków, wojskowych, uczonych... Lecz na perswadujących spoglądają nieustępliwe oczy. - To prawda, że tych wszystkich naprawdę wielkich i ważnych nie odbijano, ale Rudego musimy odbić. Wieczorem wszystko gotowe. Wesoły podał telefonicznie to, co trzeba. Ludzie rozstawieni. Niestety „w górze” nie zapadła jeszcze decyzja .

Tuż przed godziną przejazdu samochodu więziennego Zośka dostaje rozkaz: rozładować akcję. Mieni się cały na twarzy, przeżywa straszliwy wstrząs. Jest już jednak tak wyrobiony i karny, że zdejmuje ludzi z posterunków. Ledwo skończył, ulicą przejeżdża więźniarka z Szucha. Ludzie zeszli ze stanowisk z uczuciem fatalnej bezsilności i żalu. Nikt nie myślał o tym, że walka nie byłaby łatwa: wszystkim przed oczyma stoi postać Rudego. Wczoraj jeszcze wśród nich, dziś zaś w rękach wroga.

---

<sup>47</sup> Wesoły - Zygmunt Kaczyński, hufcowy Bojowych Szkół na Ochocie.

<sup>48</sup> Florianem Marciniakiem. Był to profesor Jan Plekalkiewicz, aresztowany 19 lutego 1943. Wiązało się to z nieobecnością w Warszawie majora Kiwerskiego, który był upoważniony do podjęcia takiej decyzji.

Mijają dwa dni, pełne niepokoju chwile rezygnacji i coraz to na nowo budzącej się nadziei. W czwartek wieczór wątpliwa wiadomość: jutro będzie jechał przez miasto. Całe piątkowe rano ludzie czekają w niepewności. Tego dnia nic się nie klei. Nie wiadomo niczego pewnego. Zbierają się, rozchodzą, znów zbierają.

Nareszcie pozytywna i ważna wiadomość od Wesołego: Będzie jechał przez miasto! Z wiadomością tą wpada naczelnik Szarych Szeregów, Nowak - harcmistrz Florian Marciniak - patrolujący całym sercem i wszystkimi swymi możliwościami sprawie odbicia Rudego. To jego wpływom, jego sile argumentacji, a przede wszystkim doskonałemu zrozumieniu przez niego uczuć, które owładnęły oddziałem, zawdzięczać należy zapadnięcie „w górze” decyzji odbicia oraz realizacji pomysłu. Karetka więzienna ma przejeżdżać Bielańską około godziny piątej po południu. Jest tylko trzy godziny czasu. Nie wolno zmarnować żadnej minuty.

Rozkazy są wydawane pospiesznie umówionym sposobem. W kilku punktach miasta przeprowadzane są ostatnie odprawy, powtarzane szczegółowe instrukcje. I oto wszystko gotowe. W rejonie skrzyżowania Bielańskiej i Długiej, wśród przechodniów i przygodnych gapiów ulicznych niewprawne oko nie dostrzegłoby trzech oddziałów Polskich Sił Zbrojnych. Dwa oddziały z granatami i pistoletami, jeden z butelkami napełnionymi benzyną. W pobliskich ruinach parę pistoletów maszynowych. Na centralnym miejscu dowodzący całością młody człowiek trzyma w kieszeni płaszczą dłoń na kolbie nabitego pistoletu. Chociaż odbicie przeprowadza oddział Zośki, zapadła decyzja, iż całością dowodzić będzie kto inny, mniej niż Zośka ogarnięty wirem wydarzeń i uczuć. Zbliży się godzina siedemnasta. Dowódca, komendant warszawskiej chorągwi Szarych Szeregów - Orsza<sup>49</sup>, występujący po raz pierwszy w podobnej sytuacji, denerwuje się nie z powodu zbliżającej się walki, denerwuje się dlatego, że nie widzi w dalekiej perspektywie ulicy, jak wyznaczony do sygnalizowania o zbliżającej się karetkce policyjnej łącznik<sup>50</sup> obrócił się tyłem do miejsca, które ma obserwować i tak stoi. Naraz ów tyłem obrócony łącznik szybko zakręcił się w miejscu i zaczyna, nie zważając na otoczenie, machać kapeluszem zerwanym z głowy. Orsza przykłada gwizdek do ust i krótkim, zrozumiałym tylko dla zainteresowanych sygnałem, daje oczekiwany znak. Każda sekunda podobna jest teraz do niekończącego się czasu. Normalni przechodnie uliczni wydają się wielką i groźną masą, w której roi się od agentów. Ulicą Bielańską przejeżdża na motocyklu z przyczepką patrol niemieckiej żandarmerii. Tych

---

<sup>49</sup> Stanisław Broniewski.

<sup>50</sup> „Kadłubek” - Witold Bartnicki (ur. 1924) - w akcji członek sekcji „sygnalizacja”, stał na skraju ulicy Bielańskiej, jego sygnał powtórzył „Kuba” - Konrad Okolski (ur. 1923) stojący po drugiej stronie ulicy, dowódca sekcji „sygnalizacja”. Jego fortel polegał na tym, że patrząc w szybę wystawy obserwował ulicę. To jego właśnie widział Orsza.

dopiero licho nadało! Na szczęście przejechali, znikli. Tu i tam na chodniku widać mundur niemiecki.

Trudno, robota musi być zrobiona. Wreszcie na zakręcie ukazuje się charakterystyczna sylwetka dużego niemieckiego auta więziennego, krytej budy marki Renault. Dłonie zwierają się na butelkach, na granatach i na kolbach pistoletów. W ostatniej chwili z bramy najbliższego domu wychodzi granatowy policjant. Widzi pistolet w ręku jednego z młodych ludzi; oczy policjanta wytrzeszczają się w nic nie rozumiejącym zdumieniu, a ręce zaczynają gmerać koło kabury rewolweru. - Precz stąd - krzyczy Zośka. - Odejdź, jeśli ci życie miłe!

Ogłupiały policjant wyciąga jednak pistolet i podnosi go w kierunku Zośki. Zośka naciska spust, policjant chwytając się za bok pada na jezdnię i leżąc oddaje kilka strzałów. W tej samej sekundzie zbliża się od Placu Teatralnego więźniarka niemiecka. Szofer widocznie coś zrozumiał, gdyż dodaje gazu i zamiast wjechać w Nalewki, skręca na lewo w Długą.

Za późno! Z chodnika wyskakują przed auto młodzi ludzie; szkło tłuczonych butelek pryska znad maski samochodu objętej w jednej chwili płomieniem. Płomień z szybkością błyskawicy ogarnia szoferkę. Szofer instynktownie naciska hamulec, auto zatoczywszy krzywy łuk, posuwa się wolno koło arkad Arsenалу Warszawskiego.

Z płonącej szoferki wyskakują dwaj gestapowcy, od strony Nalewek biegnie jakiś oficer SS. Oficer ten biegnie tam, gdzie stoi oddziałek granatniczy Alka. SS- mann zdążył już wyjąć pistolet i krzyczy coś po niemiecku. Alek powoli i ze spokojem bierze go na cel i strzela. Hitlerowiec pada zabity. Gestapowcy, którzy wyskoczyli z auta, zaczynają nerwowo i chaotycznie strzelać; odpowiadają im polskie strzały. Z pobliskich ruin wyrwa się ostra seria pistoletu maszynowego.

Po paru minutach na jezdni tuż koło więźniarki, leżą trzy postacie w mundurach niemieckich, jeden z leżących pali się. Pali się również znieruchomiały przy kierownicy szofer, strzela uważnie i spokojnie już tylko jeden z gestapowców, który wyskoczył z auta. Kule pistoletu maszynowego hitlerowca biją po filarach Arsenалу, za które skoczyła w tej chwili grupka atakujących wraz z Zośką. Młodzi ludzie zaczynają gorączkowo strzelać w gestapowca. Na próżno! Jest doskonale ukryty. Odstrzeliwuje się spokojnie i rozważnie. Jakiś mocny typ. Mijają bezcenne sekundy. Okropna rzecz: impas w walce; w walce, gdzie każda chwila zwłoki grozi stronie polskiej nieobliczalnymi następstwami. Kryzys przełamał Zośka. Wybiega spoza filaru i pędzi wprost na gestapowca. - Naprzód! - woła jakimś nienaturalnym głosem. Jak rzuceni prądem elektrycznym wyskakują teraz za Zośką jego towarzysze. Słoń<sup>51</sup>

---

<sup>51</sup> Słoń - Jerzy Gawin (1922-1944), w akcji dowódca sekcji „sten II”, porucznik. W Powstaniu dowódca plutonu „Felek” kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”.

dopędza Zośkę. Zaciął mu się sten. Zośka wyrywa zacięty pistolet, repetuje. Inni strzelają w biegu.

Niemiec nie wytrzymuje psychicznie, zrywa się i chowa za samochód, gdzie dosięga go kula jednego z nadbiegających. Słoń otwiera płonące drzwiczki szoferki - nikogo. Ktoś inny „szarpie płótno z tyłu wozu i ściąga trupa konwojenta- gestapowca. Alek otwiera tył więźniarki. Oniemiali w pierwszej chwili więźniowie rzucają się teraz gwałtownie ku wyjściu, gniotąc leżącego na noszach, na pół przytomnego młodego człowieka. Dopiero gdy cała grupa dwudziestu pięciu cudem wyzwolonych więźniów wywalila się z wozu, ukazuje się wypełzający na czworakach przez ławki Rudy. - Jest! Jest! - wrzeszczy ucieszony głos. - Jest Rudy!

Szalona radość ludzi, połączona z rozgorączkowaniem bitewnym, nie dostrzega zielonożółtego koloru twarzy Rudego, zapadniętych policzków, olbrzymiego sińca pod okiem, sinych uszu i patrzących na nich nieruchomo wielkich, otwartych oczu.

Już go porwali na ramiona i niosą do czekającego samochodu. Rudy jęczy z bólu, samochód rusza. Przyjaciele nie zwracają uwagi na odbitego, ładują świeżymi magazynkami broń. Dopiero gdy to zrobione - uśmiechają się do Rudego. Ten spogląda na nich olbrzymimi rozwartymi oczyma. Na twarzy poprzez skurcz bólu maluje się uśmiech. Bierze w dłoń rękę Zośki i trzyma mocno. Dłonie ma czarne i spuchnięte. Szeptem: - Tadeusz, ach Tadeusz, gdybyś wiedział... Skrzyżowanie ulic przed Arsenalem jest puste - puścicieńkie. Rozpierzchnął się gdzieś i ukrył tłum przechodniów, zniknęli tak liczni w tym miejscu szmuglerzy towarów do getta.

Wszędzie - cisza. Tylko w powietrzu unosi się jeszcze zapach prochu, jasnym płomieniem dopala się auto więzienne, na jezdni leżą trupy pięciu gestapowców, gdzieś dalej trup oficera SS, na chodniku granatowy policjant. A na tę scenę bitewną jednego z najślawniejszych wyczynów Polski Podziemnej patrzą prastare mury władysławowskiego Arsenału<sup>52</sup>, świadka insurekcji kościuszkowskiej i rebelii listopadowej 1830 roku. Poszczególne sekcje oddziału przeprowadzającego odbicie więźniów oddalały się od miejsca akcji różnymi ulicami. Alek na czele swej sekcji granatniczej szedł szybko Długą w kierunku Miodowej. Zbliżali się do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, w którym mieściły się biura Arbeitsamtu.

Naprzeciwko biegnącej z bronią w ręku sekcji, po drugiej stronie jezdni wyszła z Urzędu grupa około siedmiu cywilów. Rzut oka na nich nie dał powodu do niepokoju - biegli

---

<sup>52</sup> Arsenał - zbudowany w XVII wieku jako składnica broni. 17 kwietnia 1774 tu rozpoczęło się Powstanie Kościuszkowskie, a 29 listopada 1830 – Powstanie Listopadowe.

więc dalej, gdy nagle któryś z idących mężczyzn dobył szybko pistoletu i strzelił. Niemcy! Alek uczył ostre uderzenie w brzuch. Uderzenie tak silne, że skurczył się, zatoczył i opadł na chodnik. Dotknął lewą ręką ubrania i wyczuł coś ciepłego, lepkiego, spojrzał - krew. Przez chwilę skurcz strachu wstrzymał bicie serca, ale potem w ułamku sekundy szarpnęła mózgiem ostrość świadomości - ujrzał bowiem lufę pistoletu wymierzoną wprost w swoją twarz. Niemiec nie zdążył strzelić. Anoda<sup>53</sup>, jeden z ludzi Alka, szybciej nacisnął spust swego pistoletu i w chaosie strzałów, które nagle rozległy się na ulicy. Alek dostrzegł walącego się z nóg Niemca. Reszta - pierzchła za bramę Arbeitsamtu i stamtąd strzelała dalej. - Wytluką nas jak kaczkę, jeśli się nie przebijemy - mignęło w omdlewającej głowie Alka, gdy uświadomił sobie, że odwrót sekcji z powrotem ku Arsenałowi jest niedopuszczalny.

Fala energii napłynęła do trzepocącego przed chwilą w niepokoju serca. - Za mur!

Za mur! - krzyknął do swoich. Próbował powstać - i nie mógł. Skurcze chwyciły mięśnie brzucha. Zdołał się jednak unieść na rękę. Wydobyl z kieszeni granat, odbezpieczył i całą moc skupiwszy na rzucie - cisnął przez jezdnię ku bramie, za którą schronili się urzędnicy - Niemcy. Gdy widział, że granat skacząc po chodniku, wtoczył się do bramy - przywarł głową do betonu ulicy. Huk eksplozji, a w chwilę potem jęki rannych wskazały, że granat poskutkował. Strzały z bramy Arbeitsamtu umilkły. - Naprzód! Naprzód! - krzyczy Alek.

Część kolegów pędzi dalej. Dwóch pozostaje przy Alku, zatrzymują przygodne, obce auto i usunąwszy szofera wciągają rannego. Po chwili pędzą Długą. Alek stara się powstrzymać dłonią broczącą z brzucha krew, a jednocześnie rozmyśla nad tym, gdzie w tym stanie zajechać. Niepokoi go także wojskowa ciężarówka niemiecka, która nie chce odzepić się od auta i towarzyszy mu krok za krokiem. Widocznie wojskowy szofer zorientował się w sytuacji i pragnie zatrzymać uciekających. Oto ciężarówka robi na wirażu skręt, wymija uciekających i gwałtownie zagradza swą potężną masą drogę małemu samochodowi osobowemu. Alek, mino upływu krwi i bólu, czuje się odpowiedzialny za całość. Od paru minut trzyma w ręku granat. Gdy ciężarówka zabiegła drogę i paru żołnierzy szykuje się do wyskoczenia - Alek uchyla drzwiczki swego auta i ciska pod ciężarówkę granat. W tej samej sekundzie towarzysz Alka prowadzący auto skręca na chodnik, a ledwo wyminał ciężarówkę, rozległa się eksplozja wybuchu. Jeden z żołnierzy niemieckich upadł, dwaj inni gdzieś zniknęli. Po kilkudziesięciu minutach auto Alka zatrzymuje się przed jego

---

<sup>53</sup> Anoda - Jan Rodowicz (1923-1949), w akcji dowódca sekcji „butelki”, podporucznik. W Powstaniu zastępca dowódcy plutonu „Felek” kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”. Zginął 7 stycznia 1949 w więzieniu. Zob. B. Wachowicz: pluton batalionu „Zośka”. „Przekrój” 1983, nr 1972

domem na Żoliborzu. Koledzy prowadzą go pod rękę. Opanowując fale omdlenia idzie powoli, wchodzi do bramy i zmierza do mieszkania. A zasadą podstawową przy ranach w brzuch jest: żadnych ruchów, żadnego wysiłku.

Alek nie zdawał sobie sprawy z tego, jak poważnie jest ranny i jakie grozi mu niebezpieczeństwo. Odczuwał co prawda ból, lecz samopoczucie psychiczne było tak świetne, a myśli o wyzwoleniu Rudego i zwycięskiej walce - tak podniecające, że chciało mu się nieustannie o tym mówić. Był przy tym zadowolony z siebie. Ten granat pod Arbeitsamtem musiał sporo „poharatać” Niemców, no i dał wolną drogę jego ludziom! O, kiepsko by było, gdyby się nie przebili przez strzelających szkopów! Wezwani lekarze nie mieli po oględzinach chorego dobrych min. Nawet natychmiastowa operacja nie poprawiła stanu. Lecz Alek czuł się doskonale. Mimo wzrastających bólów był wesoły i bardzo żywy. Ciągłe go ktoś odwiedzał z rodziny. Basta, któryś z przyjaciół. - No, nareszcie się tu wyśpię! Wyśpię za wszystkie czasy - żartował Alek. A do Basi poważnie: - Nie uwierzysz, ale jednym z powodów mego zadowolenia jest to, że wreszcie ja sam cierpię, dotąd cierpieli inni. Tyle ludzi. Ojciec... A ostatnio przeze mnie matka... To, że mnie dotąd omijało, było nieznośne. Teraz wszystko w porządku. Basia patrzy w twarz kochanego chłopca i choć szarpie nią niepokój, uśmiecha się łagodnie. Bierze rękę Alka w swoje dłonie i głaszcze je delikatnie. Alek przymyka oczy, jest mu tak dobrze... Drugiego dnia po operacji nastąpiło silne pogorszenie. Mocny, tępy ból nie ustawał ani na chwilę. - Jak tam Rudy? Mój kochany, weź tę pomarańczę i zanieś Rudemu. Tak bardzo chciałbym go zobaczyć i pogadać z nim. Ten ma dopiero do opowiadania! Alek nie wiedział nic o ciężkim stanie Rudego. Nie powiedziano mu, by go nie martwić. Temperatura wzrastała. Osłabienie opanowywało ciało. Gdy został sam z kimś z rodziny - poprosił o portmonetkę. Z jednej z jej przegródek wyjął małą karteczkę. Ręką Basi była na niej napisana modlitwa, która Alka najwięcej wzruszała. „Kto się w opiekę odda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu, śmieie rzec może: mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga...”<sup>54</sup> Alek słuchał odczytywanych słów psalmu - i uśmiechał się.

Rzecz nie do wiary: mimo cierpień fizycznych Alek wciąż czuł się bardzo dobrze.

Śmierć? Najprawdopodobniej ominie go tym razem. Ale gdyby przyszła - niech przychodzi. Niech spieszy! Jest całkowicie gotów na jej przyjęcie. Tyle setek razy już o niej myślał, tak zawsze był na nią gotów, że zżył się z nią i niemal zaprzyjaźnił. Swoją część roboty „odwalił”. „Odwalił” ją tak dobrze, jak tylko mógł. To najważniejsze! A przy tym był

---

<sup>54</sup> Jest to psalm I w wolnym przekładzie Jana Kochanowskiego, znany jako pieśń religijna.



w tak przyjaznych stosunkach z Panem Bogiem! - Halo, jak tam Rudy? - Mówił już tak cicho, że Jędrak musiał pochylić się nad rannym. Było rzeczą oczywistą, że każdej godziny może nastąpić koniec.

Wieść ta błyskawicznie rozeszła się wśród przyjaciół Alka, wywołując męczące uczucie przygnębienia i rozpacz. Odchodził w zaświaty ich najdroższy przyjaciel, a oni byli bezsilni. Tu już nic pomóc nie mogli.

Alek gasł. Tracił przytomność. Rozumiał już, że gra jego życia dobiega końca.

Rozumiał i nie przestawał się uśmiechać. Jakaż to wielka była gra.

A w innej części stolicy - na Mokotowie - leżał wśród przyjaciół Rudy. Zmieniali się koło niego ludzie - ktoś najbliższy z rodziny, przyjaciele - ale jeden człowiek trwał w pokoju chorego bez przerwy: Zośka. Stan Rudego był straszny: z trudem rozebrano go i ułożono na łóżku. Nie można go było dotknąć w żadną część ciała. Cierpiał bardzo, ale wpatrując się w twarz przyjaciół i wchłaniając cudowną atmosferę otaczającej go przyjaźni, szeptał - och, jak boli - ale, Tadeusz, jakże przyjemnie i jak rozkosznie. Całe ciało od pasa do kolan było jakby bardzo silnie opalone i spuchnięte. W wielu miejscach widniały strupy i zakrzepła krew. Nie widać było sińców. Wszystko było rozbite równomiernie. Gdy powiedział, że nie jadł od poniedziałku - dali mu sucharek i herbatę. Nie mógł jednak tego zjeść. Zaprzagnął oddać mocz. Niedoświadczeni w pielęgniarstwie przyjaciele zawlekli go na ramionach do ustępu, podtrzymując zwisającą bezsilnie głowę. Jęczał z bólu, mówiąc jednocześnie, że jest szczęśliwy. Wielu lekarzy oglądało Rudego. Na wszystkich wygląd skatowanego wywierał wstrząsające wrażenie. Pomogli niewiele. Cóż w tej sytuacji mogli pomóc? W nocy Rudy zasnął.

Zasnął również Zośka, położywszy się na łóżku polowym obok. Zośka spał spokojnie - po wyczerpujących nerwy godzinach ostatnich paru dni, po cudownym zerwaniu koszmaru uwięzienia pewny, że przyjaciel jest bezpieczny i szczęśliwy.

Koło północy Rudy przebudził się i przywołał Zośkę. Kazał usiąść koło siebie i ucisnąć serdecznie. potem opowiadali sobie o przeżyciach ostatnich dni.

Wzajemna ich bliskość była dla nich prawdziwym szczęściem. - Miałem na Szucha chwilę dużej satysfakcji - mówił Rudy - gdy prowadzący śledztwo gestapowiec krzyknął do mnie: „Ty polski bandyto! Co się tak patrzysz!” I do innych gestapowców po niemiecku: „Przecież to spojrzenie i twarz urodzonego bandyty”. - I tylko żal mi było was opuszczać. I swego plutonu - ciągnął dalej. - I ciężko mi było samemu bez ciebie. Słuchaj, jak pomyślę, co by wyczyniali tam ze mną dziś na Szucha, to słabo mi się robi. Właściwie najważniejszą moją troską tam - było ciągle szukanie sposobów przyspieszenia śmierci. Mówienie zmęczyło go.

Kazał Zośce położyć się obok siebie i gdy przyjaciel układał się ostrożnie, by go nie urazić, Rudy objął go mocno za głowę i zasnął. Miał uczucie całkowitego bezpieczeństwa. Nie denerwowały go ani kroki pod oknami, ani strzały na ulicy, ani dzwonki już za dnia. Rano znów gawędzili z Zośką.

- Jak szczęśliwi będziemy, gdy zamieszkamy razem, gdy pojedziemy stąd na wieś na moje wyzdrowienie. Tylko warunek zasadniczy: te typy z Warszawy muszą nas odwiedzać. A szczególnie Glizda! Po strzale należy mu się urlop (o tym, że rana Alka. była bardzo ciężka nie powiedziano Rudemu). Mijały powoli godziny tych kilku dni bólu, przeplatanego szczęściem, a potem szczęścia - przeplatanego rozpaczą. Rudy niczego nie mógł trawić. Ciągle wymiotował. Gdy po skurczach bólów wymiotnych wyglądała mu się twarz powtarzał: - Jak rozkosznie... Czy może być przyjemniej? Gdy zostali sami z Zośką, sprawiało im przyjemność trzymanie ręki w dłoni przyjaciela. Rozmowa była wtedy otwarta, szczerą i żaden nie starał się ukryć tak dawniej nieśmiało wyrażanych uczuć przyjaźni. Gdy przychodzili inni - rozmowa stawała się iskrząca, pełna przekomarzań i dowcipów, wyśmiewania się i udawania cynizmu. Nigdy dotąd to przyjacielskie grono nie czuło się tak mocno ze sobą związane. Nigdy jeszcze nie było im ze sobą tak miło. Mijały godziny i dni. Po pewnym czasie prawda, której nie dopuszczali do świadomości, stawała się oczywista. Stan Rudego był beznadziejny. Rudy umierał...

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny męczył się strasznie. Sen przerywały nieustannie paroksyzmy bólu. - Tadeusz, Tadeusz, jak boli, jak strasznie boli...

Już nie mogę - i łzy toczyły mu się po policzkach. W Zośce wszystko skręcało się z cierpienia. Obawiał się, że lada chwila zerwie się z krzesła i zacznie krzyczeć lub wyleci na ulicę i popęlni jakieś szaleństwo. Umierający Rudy był zbyt inteligentny, żeby nie zdawał sobie sprawy, że los jego jest nieodwołalnie przypieczętowany. Nie wspomniał jednak ani słowem o śmierci. Po co? Żeby wprowadzać zbyteczny czynnik zakłopotania wśród przyjaciół? Istotą każdego cierpienia jest to, że pożąda śmierci jak łaskawej i dobrej wybawicielki. Rudy cierpiał straszliwie - niewątpliwie więc z myślą o śmierci kojarzyły mu się uczucia ulgi. Wzywał jej niecierpliwie każdym włóknem umęczonych nerwów, lecz o niej nie mówił. Gdy w godzinie pewnej ulgi, któryś z przyjaciół zaczął deklamować wiersz o tym, jak to będzie za dziesięć lat, Rudy przerwał z uśmiechem. - Powoli, panowie, spokojnie - i machnął ręką. A po chwili - powiedz raczej, Jasiu, ten wiersz Słowackiego... Zapanowała cisza. Czarny Jaś starając się opanować głos, mówił Testament. Rudy trzymał w dłoni rękę Zośki i szeptem powtórzył sinymi wargami jedną ze zwrotek:

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei

A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,  
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec...  
Rudy i Alek umarli tego samego dnia.

Śmierć ich wywarła wstrząsające wrażenie na braterskim gronie przyjaciół. Zbyt wielka była poprzednio radość z odzyskania Rudego. Wszystko dookoła na świecie bladło wobec tej nieprawdopodobnej radości. Radości krótkiej, gwałtownej. I dumy, że ich braterstwa nie wolno bezkarnie tykać. Teraz, przez kontrast, byli wstrząśnięci śmiercią Alka i Rudego. Ale śmierć każdego z nich odczuto inaczej.

Śmierć Alka była śmiercią w ich rozumieniu normalną. Normalnym losem żołnierskim. Jak każda śmierć - poruszyła najgłębsze, najwewnętrzniejsze uczucia tych, co pozostali. Ale nie kryła w sobie grozy piekieł. Stała się rzecz w pewnym sensie zwykła. Jest wojna - trudno. My strzelamy - i do nas strzelają.

Wróg ma takie samo prawo do naszej krwi, jak my do jego. Alek uderzał we wroga - wróg uderzył w Alka. „Taka jest żołnierska dola, taki jest żołnierski los” - wypełniły się słowa piosenki. Ale śmierć Rudego? Włosy się jeżą na głowie tych, co widzieli to zmaltretowane ciało i słyszeli koszmarną opowieść. Tego zapomnieć się nie da. Tego wybaczyć nie można. W odwet za katowanie podczas śledztw, Kierownictwo Walki Konspiracyjnej rozkazało likwidację najbardziej wyróżniających się swym bestialstwem gestapowców Schultza i Langego. W miesiąc po śmierci Rudego w dzień jego imienin, na ulicy Mokotowskiej w pobliżu placu Zbawiciela stanęło cywilne auto. W jednym z pobliskich domów mieszkał oberscharführer Schultz, wysokiej rangi gestapowiec, odpowiedzialny za wydział, który przeprowadzał badanie Rudego. Schultz zaglądał do pokoju badań i udzielał instrukcji gestapowcom, usiłującym wymusić na Rudym zeznania. Zbliży się godzina, w której Schultz wychodzi z domu w aleję Szucha. Oto już idzie energicznym krokiem. Olbrzymi, barczysty mężczyzna o nalanej twarzy i grubym karku. Nie zauważył kilku młodych ludzi spacerujących ulicą. Jeden z tych ludzi skręca w jego stronę i wyjmuje pistolet. W oczach Schultza zwierzęce przerażenie. Skręca, zaczyna biec. Padają strzały - Schultz biegnie dalej w stronę ogrodów działkowych. Strzela drugi pistolet - Schultz wciąż biegnie.

Wreszcie pada zalany krwią. Jeszcze kilka strzałów. Koniec. Jeden z młodych ludzi odbiera ze stygnących rąk gestapowca pistolet, drugi przymocowuje mu na piersiach kartkę, na której wypisano kilka słów o metodzie śledztw gestapowskich. Gdy wreszcie wsiadają do auta - towarzysze przyglądają się im z lękiem. A w trzy tygodnie potem, dnia 22 maja, cios spadł na gestapowca Langego, tego który prowadził sprawę Rudego. Gestapowiec o ósmej rano szedł przez plac Trzech Krzyży. Szedł zamyślony, z opuszczoną głową. Nagle - drgnął.

Tuż przed nim stał człowiek ze spojrzeniem tak groźnym i wyrazem twarzy tak szczególnym, że gestapowiec uczył, jak serce w nim zamiera. - Czego pan tu chce? - wymamrotał nieswoim głosem.

Nieznajomy wyjmując pistolet. Krew odpływa z mózgu gestapowca. Czuje, jak uginają się pod nim nogi. Nie usiłuje nawet uciekać. Seria strzałów - i koniec. Tłum w panice umyka z placu. Strzelający nachyla się nad zabitym i przymocowuje do jego munduru podobną kartkę, jak przed trzema tygodniami Schultzowi. Ktoś drugi odpina od pasa gestapowca rewolwer. Potem obydwaj spieszenie idą do auta.

Odjechali. W tym czasie Wesoły częściej niż zwykle, przychodził ze swymi cukierkami na aleję Szucha.

## CELESTYNÓW

Po śmierci Rudego i Alka stan psychiczny Zośki był okropny. Stracił sprężystość, tylko siłą woli wymuszał na sobie załatwianie bieżących spraw organizacji i życia codziennego. Z rana leżał długo bezmyślnie wpatrzony w sufit. Spóźniał się na spotkania. Chodził zaniedbany. Nie chciał z nikim rozmawiać, był zawsze posepny. Jedyne tylko na zbiórkach, w gronie towarzyszy broni, odyskiwał na krótki czas zainteresowanie bieżącą chwilą i czuł się jakoś lepiej. W momentach trudnych, jakie obecnie raz po raz sypały się na jego wojskowe otoczenie, potrafił nawet zdobyć się na uśmiech i chwilę pogody. Wnet jednak znów posepniał. Teraz dopiero zaczął odczuwać ciężar odpowiedzialności za losy towarzyszy pracy. Gdy kiedyś nalegano nań, aby odwiedził ojca jednego ze świeżo aresztowanych młodych ludzi, odburknął: - Łatwo wam mówić, poumieszczałem ich w obozach, więzieniach lub na tamym świecie, a sam chodzę po ulicy. Co powiem temu ojcu? W owym czasie hitlerowcy rozpoczęli ostateczną likwidację warszawskich Żydów. Krótka, bohaterska walka powstańców żydowskich - a potem długie tygodnie ognia i dymów unoszących się nad gettem - męczącą atmosferą otoczyły stolicę. W obliczu milionowego, bezsilnego miasta dokonywał się jeden z najpotworniejszych dramatów, jakie zna ludzkość. Młodzi ludzie z Grup Szturmowych przeżywali szczególnie mocno sprawy powstania w getcie. - Naszym obowiązkiem żołnierskim jest pomóc tym ludziom - mówił naczelnik Szarych Szeregów Florian Marciniak. Jakże jednak mogli pomóc praktycznie? Przekazano do getta znaczną część posiadanej broni i pod dowództwem Stefana Orszy szykowano akcję na nieprzyjacielskie stanowisko ogniowe przy bramie do getta od strony ulicy Bonifraterskiej. Akcja nie doszła jednak do skutku: na kilka godzin przed jej wykonaniem Niemcy przenieśli to stanowisko w głąb getta, a za parę dni wszystko już było spóźnione. Psychiczny stan Zośki budził zaniepokojenie.

Najbliżsi koledzy, w przymierzu z rodziną, zaczęli go namawiać, by wyjechał na wieś. Po pewnym czasie Zośka uległ, szczególnie gdy ojciec podsunął mu pomysł spisania wspomnień o Rudym. Na wieś wyjechali we trójkę: ojciec, syn i Hania, siostra Zośki. Hania była o dwa lata starsza od brata i siedziała również gdzieś w konspiracji<sup>55</sup>. Zośka pisał, chodził na spacer z Hanią lub z ojcem. Wspomnienia o Rudym zajęły mu około dwudziestu stron maszynopisu. Pisząc przeżywał od nowa wszystko, co zaszło. Profesor, ojciec Zośki, przewidywał jednak dobrze: były to wspomnienia wyzwalające. Gdy Zośka skończył - zaczął

---

<sup>55</sup> Hanna Zawadzka- harcmistrzyni, była hufców hufca „Śródmieście” organizacji Harcerek.

się czuć wyraźnie lepiej.

Wspomnieniom swym nadał tytuł Kamienie rzucone na szaniec. Kiedy w parę tygodni potem spotkał się w Warszawie z kimś, kto pragnął napisać książkę o Alku i Rudym - Zośka uporczywie nakłaniał do dania tej książce tytułu swoich wspomnień Kamienie rzucone na szaniec. Było to jednak potem, w Warszawie. Na razie zaś Zośka jest wciąż jeszcze na wsi. Co dzień chodzi na spacer z Hanią. Potrzebuje tych spacerów bardzo. Tak dotąd powściągliwy i milczący chce się teraz wypowiedzieć, podzielić z siostrą wszystkim tym, co przeżył i przemyślał. Hania słucha uważnie. Dopiero teraz zabiegane i zapracowane rodzeństwo zaczyna naprawdę ze sobą współżyć. Najwięcej oczywiście rozmawiają o Rudym, o jego wpływie wychowawczym na zespół, o tym, co Zośka sam zawdzięcza Rudemu. - Zostałem zupełnie sam - mówi kiedyś Zośka, i mówi to z takim wyrazem oczu, że wrażliwa Hania czuje lęk, napływający do serca. - Zostałem zupełnie sam - powtarza ten młody człowiek. Kiedyś nad rzeką Hania zwróciła się do brata z pytaniem:

- Straciliście Rudego i Alka, przedtem do obozów poszli Jacek i Mały. Odeszli najlepsi i niezastąpieni. I co teraz będzie z waszą gromadą? Zośka biegnie myślami za myślą siostry, patrząc w zadumie na jej zmarszczone czoło, gładko uczesane włosy i małe, kształtne uszy. - Absurd - mówi po chwili jakby sam do siebie. - Absurd - powtarza głośniejszym głosem. - Masz rację, że strata Rudego i Alka jest okropna, nie tylko dla naszego zespołu, lecz w ogóle. Ale wiesz, Haniu, gdyś to powiedziała, uprzytomniłem sobie, że w naszej gromadzie zachodzi ciekawe zjawisko. - Niestychanie szybko dojrzewają teraz ludzie. I tyle namnożyło się nowych. Gdy się przyjrzeć dobrze niektórym z nich - to wprost widać, jak ci ludzie rosną psychicznie i umysłowo. Zośka wstał, uniósł nieco lewą rękę i zaczął na palcach wyliczać. - Grubas, pamiętasz, ten wychowanek Rudego, Zawadowski. Jakżeż ten chłopak stara się dorównać Rudemu. Co za fantastyczne poczucie odpowiedzialności wobec tych, co odeszli. Wiesz, Haniu, że ten jegomość pracuje nad sobą zupełnie tak samo jak Alek: co dzień ranna gimnastyka, zdumiewająca punktualność, systematyczność lepsza niż u Alka. I uczy się lepiej niż Alek. Rudemu jednak w nauce nie dorówna... Zamilkł i chwilę patrzył zamyślony w wodę. A potem znów się ożywił, uniósł rękę, zgiął drugi palec. - Andrzeja Długoszewskiego - Długiego”, nie znasz. Żałuj. Wiesz, ten jegomość chodzi z kulą w głowie. W czasie jednej z naszych pierwszych akcji strzelił do niego jakiś szkop. Kula utkwiała w kości, lekarze nie chcą jej ruszać. Czy myślisz, że Długi cacka się z tą swoją kulą? Facet bierze stale udział we wszystkich robotach. Ma na sumieniu niejednego hitlerowca, ale w twoim towarzystwie czy by na pewno spuszczał i rumienił się panieńskim rumieńcem. - Andrzeja Morro-

Romockiego<sup>56</sup> też zdaje się nie znasz - ciągnął Zośka. - Wyróżnia się w całym towarzystwie fantastyczną dokładnością. Szczeniak to jeszcze prawie, chyba o trzy lata młodszy ode mnie, ale doskonale instruuje. Bardzo uporządkowany jegomość. I wiesz, Haniu, czym Andrzej Morro najbardziej zdumiewa?

Nie jest z naszej starej paczki Buków; choć był dawniej w harcerstwie, wszedł do Szarych Szeregów z grupą Pętu zaledwie przed rokiem. I dziś znacznie lepiej wczuwa się w istotę naszych pragnień i zamierzeń niż większość starej gwardii bukowej. Bardzo to jest dziwne w życiu, Haniu. - A -Maciek Bittner?<sup>57</sup> - spytała Hania. - Ten, to chodząca odwaga. Zupełnie jak Alek. Widziałem go parę razy w krytycznych chwilach. Ta bestia nawet strzela z uśmiechem. Chodzi z głową zawsze zadartą. Kiedyś zatrzymał go patrol żandarmerii, któremu wydał się podejrzany. - Komm, komm - zaczął kiwać żandarm. - Ich habe keine Zeit<sup>58</sup>. Uśmiechnął się uprzejmie do żandarma Maciek, uchylając czapki. I gdy ogłupiały szkop otworzył ze zdumienia usta, Maciek prysnął za najbliższy róg. Albo Pająk, Jerzy Tabor<sup>59</sup>. Ten gość siedzi dniami i nocami w radioaparatach i ma JUŻ kilka własnych wynalazków. Jest chyba jakaś genialna żyłka u tego chłopaka, który ma dziś dziewiętnaście lat, a gdy się wojna zaczynała, miał lat tylko czternaście. Z nami, to jak z lasem, Haniu.

To i tamto drzewo pada pod siekierą, a tymczasem cały las rośnie i pnie się ku górze... Ale Rudego nikt mi już nie zastąpi... Pobyt na wsi, spisane wspomnienia, rozmowy z siostrą i ojcem, odpoczynek - wszystko to znacznie uspokoiło Zośkę, wprowadzając go w atmosferę większej równowagi psychicznej.

Zośka wrócił do Warszawy „w niezłej formie”. Wkrótce potem wziął udział razem ze swoimi najbliższymi w nabożeństwie żałobnym za duszę Alka i Rudego<sup>60</sup>.

Nabożeństwo żałobne? Oto stoi gromadka młodych mężczyzn, kilka dziewcząt i parę osób starszych przed pięknie przybranym ołtarzem, w cichej, jasnej, ozłoconej promieniami słońca kaplicy Sióstr Urszulanek na Gęstej. Jest wiosna. Jedno z okien kaplicy wychodzące na mały sad jest otwarte. Drzewa soczyste świeżą zielenią obsypane są blad różowym kwieciem. Śpiew i świergot ptaków napełnia ciszę spokojnej kaplicy. Dzwoneczek. Wychodzi ksiądz. Jest w jasnożółtym ornacie - nie w czerni, ani w fiolecie. Może tego jasnego tonu wymaga dzisiejsze święto kościelne? A może ksiądz sam?... Wszyscy są bardzo poruszeni nastrojem

---

<sup>56</sup> Andrzej Romocki, „Morro” (1923-1944) - harcmistrz, kapitan, w Powstaniu dowódca kompanii „Rudy” batalionu „Zośka”, zginął 15 września na Solcu.

<sup>57</sup> Maciej Bittner, „Maciek” - dowódca I kompanii batalionu „Zośka” aresztowany na ulicy, prawdopodobnie rozstrzelany na Pawiaku w lutym 1944.

<sup>58</sup> Ich habe keine Zeit (niem.) - nie mam czasu.

<sup>59</sup> Jerzy Tabor „Pająk” (1924-1943) plutonowy, podchorąży, podharcmistrz, rozstrzelany.

<sup>60</sup> Nabożeństwo odbyło się w kaplicy Sióstr Urszulanek, nazywanej kościołem garnizonowym Szarych Szeregów, odprawiał je ksiądz Jan Zieją, od roku 1943 kapelan naczelny Szarych Szeregów.

dnia wiosennego, rozświetloną kaplicą i głosem pieśni, która rozlega się z chóru.

Chorąży, niebieski chorąży... Daj przestąpić ten promienny! próg. Gdzie żołnierzy swych czeka Wódz-Bóg W pewnej chwili ksiądz-starszy przyjaciel tych młodych ludzi - odwraca się od ołtarza i rzuca pierwsze słowa kazania: - Nie ma śmierci!!!

Zośka znów zaczął interesować się tym, co się działo wokół niego. Znów był sumienny, punktualny, choć gdy zostawał sam, wciąż jeszcze prowadził nie kończące się rozmowy z cieniem Rudego i wciąż robił nieustanny rachunek sumienia, czy niczego nie zaniedbał w ratowaniu obydwu przyjaciół. Z Komendy Głównej Sił Zbrojnych w Kraju przyszło pismo o odznaczeniach. Zośka zebrał swych najbliższych podkomendnych w jednym ze swoich lokali, by im odczytać rozkaz. To, że sam został odznaczony, nie cieszyło go. Czuł się jakby zawstydzony. Nikomu o tym nie mówił. Ojciec i siostra dowiedzieli się o jego odznaczeniu bojowym dopiero w pół roku potem. Gdy już się wszyscy zebrali, wydał komendę i czytał:

N.BP-L.68 3.V.43 r.

Rozkaz Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju Na podstawie upoważnienia Naczelnego Wodza nadaję: śp. ob. Glizdzie (Alkowi) - Krzyż Virtuti Militari za bohaterską postawę wobec wroga i śmierć na posterunku. śp. ob. Rudemu - Krzyż Walecznych po raz pierwszy za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach wojska w konspiracji; za wzorową postawę po uwięzieniu i śmierć z rąk wroga. śp. ob. Tadziovi (Tadeusz Krzyzewicz) - Krzyż Walecznych po raz pierwszy za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach wojska w konspiracji i śmierć na posterunku. ob. Kajmanowi (Zośce), Anodzie (Jan Rodowicz), Słoniowi (Jerzy Gawin), Maćkowi (Maciej Bittner), Kołczanowi (Eugeniusz Koecher)<sup>61</sup> Krzyż Walecznych po raz pierwszy za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach wojska w konspiracji.<sup>62</sup> (-) GROT Komendant Sił Zbrojnych w Kraju.

Skończył. Dłuższą chwilę milczał, nie lubił wygłaszać przemówień, ale teraz musiał. - Winszuję wam odznaczeń. Nie jest to rzecz ważna - odznaczenie pojedynczego człowieka, ale dla zespołu jest to bardzo cenne. Komendant Sił Zbrojnych w Kraju udzielił tymi odznaczeniami pochwały całej naszej grupie.

Zamilkł, jakby szukając czegoś w myślach i wreszcie zaczął ponownie: - Nie o tym właściwie chciałem powiedzieć. Chciałem, abyśmy wszyscy rozumieli rzecz ważną: cięży na

---

<sup>61</sup> Eugeniusz Koecher „Kołczan” (1920-1944) dowódca plutonu „Alek”, kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”, w akcji pod Arsenalem członek sekcji „sten I” podharc mistrz, porucznik, poległ w Powstaniu 8 sierpnia.

<sup>62</sup> Były dwa rozkazy odznaczające uczestników walki pod Arsenalem. Przytoczony wyżej tekst sumuje dane z obydwóch rozkazów.



nas obowiązek wobec Rudego i Alka. Byli to tacy ludzie, że życiem swoim wskazywali kierunek. Musimy ich uwiecznić idąc ich śladami i postacie ich traktując jako wzory.

Był maj. Stan psychiczny Zośki stał się na tyle zrównoważony, że można już było powierzyć mu odpowiedzialne zadanie. Ponieważ zaś w akcji pod Arsenalem zdolności dowódcze Zośki zajaśniały pełnym blaskiem - na jednej z odpraw u swego przełożonego usłyszał zapytanie. - Czy czułby się pan na siłach zorganizować i przeprowadzić akcję odbicia więźniów, transportowanych pociągiem? - Nie jestem oficerem - odpowiada zaskoczony Zośka.

- To by była pana pierwsza całkowicie samodzielna robota - uśmiecha się lekko wysoki, trzydziestopięcioletni mężczyzna, o którym fama głosi, że nikt nigdy nie słyszał jego podniesionego głosu. Kapitan Pług jest wychowankiem szkoły wojskowej w Kanadzie i ma opinię skończonego dżentelmena. - Jedną mam tylko prośbę do pana, panie Tadeuszu - mówi do Zośki kapitan Pług - pragnę pojechać z panem jako obserwator. Może pan być pewny, że z panem będą tylko moje oczy i uszy, ale nie język. Zośka, trochę oszołomiony, przyjął propozycję i, jak zwykle on, postanowił rzecz wykonać nie tylko gruntownie, ale i szybko. Już w parę godzin po rozstaniu z kapitanem Pługiem zaczął prace przygotowawcze. Jak łatwo się domyślić, najdonioślejszym czynnikiem dywersji jest rozpoznanie. Na drugim miejscu - przygotowanie elementów realizacyjnych zadania i dopiero na trzecim miejscu - sama akcja. Akcja to rzecz krótka - chwila zrywania owocu. Ale jeśli do zerwania owocu ma w ogóle dojść i jeśli to ma być owoc dojrzały, trzeba go w trudzie i znajomości rzeczy wyhodować. Udaje się tylko część zamierzonych akcji dywersyjnych. Ta mianowicie część, w której istniało dobre rozpoznanie i rzetelne przygotowanie. Zadanie Zośki było następujące: co pewien czas z Majdanka, wielkiego obozu koncentracyjnego koło Lublina, wywozi się niektórych więźniów do Oświęcimia. Przewóz odbywa się na linii Lublin-Warszawa. Więźniowie są przewożeni w specjalnych wagonach, tzw. więźniarkach. Należy zatrzymać pociąg z więźniarką i uwolnić więźniów. Rozpoznanie przeprowadzone zostało przez Zośkę szybko i dokładnie. Po paru dniach miał już rysunek więźniarki. Jest to wagon towarowy, podzielony mocnym przepierzeniem na dwie części. W jednej, większej, mieszczą się transportowani więźniowie, w drugiej wygodnie podróżuje konwój, rekrutujący się z najgorszych gestapowskich kanałii. Wewnętrzne drzwi z przedziału konwojentów do przedziału więźniów zamykane są na dwie zasuwę i tęgi zamek. Wyjście dla więźniów prowadzi tylko przez przedział konwoju. Dwa małe okienka towarowego wagonu są jedynie na użytek eskorty. W przedziale więźniów okienka są szczelnie zabite deskami, nie dochodzi tam ani światło, ani powietrze. Nieco więcej kłopotu było z wyborem miejsca napadu na

pociąg. Jaki odcinek trasy jest najbezpieczniejszy? Gdzie najkorzystniej to zrobić: na stacji, w polu? W jakich porach dnia i nocy wypada bieg transportów oraz na jakich odcinkach idą one nocą? Zośka po dokładnym przestudiowaniu trasy na mapach wyruszył na obejrzenie kilku odcinków, które mu się wydawały najbardziej odpowiednie. Równocześnie porozumiewał się z Lublinem i studiował rozkłady jazdy. Wreszcie decyzja zapadła: Celestynów. Celestynów jest to mała stacyjka na linii kolejowej z Lublina do Warszawy, otoczona świerkami, nieco z boku od szosy Lublin-Warszawa. Najbardziej wrażliwym punktem przygotowań był wywiad i organizacja szybkiego kontaktu wywiadu z dowódcą akcji. Dobór uczestników wyprawy, taki dobór, który by przydzielił właściwym ludziom właściwe zadania, był dla Zośki rzeczą prostą: miał on dobre wyczucie ludzkich charakterów i ludzkich możliwości. Oczywiście Maciek, najodważniejszy, nie tracący się w ogniu, obejmie dowództwo ataku. Zaś ubezpieczenie... Zośka był teraz w nieustannym ruchu. Pilnował remontu samochodów, przeglądał broń, uzupełniał amunicję, opracowywał drobiazgowo instrukcje. Od rana do wieczora, zapamiętały w służbie, lata bez obiadu - z bułką w kieszeni płaszcza, płaszcza jakiegoś obskurnego, wyświechtanego. Przetarte podeszwy butów przepuszczały wodę, a deszczów nie brakło tej wiosny. Na szczęście - Zośka ma dobre zdrowie. Oto idzie szybkim, drobnym krokiem, wysoki, w cyklistówce, w owym obskurnym, nie zapiętym na guziki płaszczu, w pumpach, błyskający gołymi łydkami: znów gdzieś się zapodziały pończochy i trzeba było włożyć skarpetki! 19 maja w południe przyszła alarmowa wiadomość, że idzie więźniarka przy pociągu nr 401. Wszystko było JUŻ gotowe od paru dni. Zośka od razu uruchomił aparat alarmowy oddziału - i wkrótce grupa aut (jedno osobowe i trzy ciężarówki) mknęły szosą Warszawa-Lublin.

Pierwszy samochód prowadził Zośka osobiście. Po raz pierwszy od kilku miesięcy był uśmiechnięty, prawie szczęśliwy. Trzymał mocno w dłoniach drżącą kierownicę, jechał na dobrym gazie i myślami wybiegał do tych odległych, chyba sprzed stu laty czasów, kiedy w kostiumie sportowym stawał do zawodów. Dobrze czuł się w tym wozie, w swym ulubionym, niezawodnym oplu, zdobytym w akcji pod Arsenalem.

Obok Zośki siedzi wysoki, postawny, zawsze opanowany kapitan Pług. Trzyma w ręku trzciniową laseczkę. Na wszystkie wyprawy bojowe kapitan Pług jeździ zawsze z laseczką. Tak jak obiecał - milczy. Nie pyta o nic, nie dzieli się żadnymi spostrzeżeniami, nie poucza. Zośka czuje się jednak w obowiązku zameldować o stanie przygotowań. Po wyminięciu którejś z wsi, mówi: - Ludzie stawili się w stu procentach, broń i amunicja w przewidzianym komplecie. Przyjazd pociągu z więźniarką na stację Celestynów ma nastąpić o godzinie 22. Postój - trzy minuty.

Będziemy na stacji znacznie przed czasem. Oto szkic terenu w rejonie stacji, wraz z ugrupowaniem sekcji. Zośka wyjmując z bocznej kieszeni arkusz papieru i podaje go sąsiadowi. Kapitan Pług wyciąga rękę po papier i uśmiecha się do Zośki nieco ironicznie. Nic nie mówi. Było już prawie zupełnie ciemno, gdy dojechali.

Auta zostały w lesie. Kilkudziesięciosobowy oddział, rozbity na mniejsze grupki, zbliżał się ostrożnie ku wyznaczonym stanowiskom. Paru ludzi zostało skierowanych do zbadania położenia na stacyjce. Wszyscy byli w doskonałych nastrojach. Powodzenie pod Arsenalem dało im dużo pewności siebie. Pewność ta wzrosła, gdy obserwowali przygotowania Zośki do dzisiejszej roboty. Ufali sobie, swej odwadze i swym nerwom. Ufali także Zośce, jego przewidywaniom i spokojnej pewności siebie. Otuchy dodawała obecność Pługa. Leżą już na stanowiskach wśród krzewów i drzew. Na wysokości stacji - Maciek ze swą grupą szturmową. Wzdłuż torów, tuż poza obrębem stacji - ubezpieczenia. Na ławkach stacyjki „drzemie” kilku młodych „podróżnych”. Jest tak ciemno, że ledwo widać tory pociągu towarowego z piaskiem, który tkwi bez lokomotywy przed budynkiem stacyjnym. Dwa dalsze tory są puste. Na jeden z nich ma wjechać oczekiwany pociąg. Dochodzi godzina 22. Nie można się nie denerwować. Lada chwila się zacznie. Jest godzina 22.30 - cóż u diabła to znaczy? Dochodzi godzina 23: przeklęte spóźnienie!

Naczelnik stacji mówi, że pociąg spóźni się o kilka godzin. Dochodzi północ - ziąb jest taki, że niemal każdy z młodych ludzi drży, mimo że to maj. Co za przeklęty maj! Godzina 0.30 w nocy. Od strony Warszawy słychać z dala zbliżający się pociąg. Głos nadchodzącego pociągu po pewnym czasie zamiera. Z mroku wyłania się i staje przed Zośką Andrzej Długi.

- Naczelnik stacji mówi, że za pół godziny pociąg z Lublina będzie tutaj. Czy już przeciąć drut telefoniczny? - Jeszcze nie.

W piętnaście minut potem znów kroki, teraz bardzo szybko, ktoś jakby biegł. - Zośka? Fatalna wiadomość! Na sygnale pod semaforem, czterysta metrów stąd, stanął pociąg wojskowy, idący na wschodni front. Naładowany kilkoma kompaniami Wehrmachtu. Zośka wstaje z rowu, w którym siedział, zaciska pięści, chce coś powiedzieć, gdy nagle słuch chwyta znaczne, charakterystyczne dudnienie idące od strony Lublina. Fala krwi napływa do mózgu Zośki, w którym wirują dwa tylko pojęcia: Wehrmacht - więziarnia. Po paru gwałtownych uderzeniach - puls wraca do normy. Zośka rozluźnia pięści. - Wracaj na stanowisko - mówi do gońca, a po chwili rzuca szeptem w ciszę nocy - Andrzej Długi! - Żadnej odpowiedzi. - Długi! - nikt nie podchodzi. Dudnienie nadjeżdżającego pociągu jest coraz wyraźniejsze.

Zośka robi parę kroków i zwraca się do kapitana Pługa. - Proszę natychmiast przeciąć połączenie telefoniczne stacji. Drut wychodzi z górnego rogu tego tam skrajnego okna, widzi pan? - Tak jest - odpowiada kapitan Pług i po chwili znika.

Dudnienie pociągu jest już zupełnie bliskie. Dochodzi godzina pierwsza w nocy.

Kilkadziesiąt serc bije szybciej niż zwykle. Kilkadziesiąt dłoni obejmuje mocniej broń. Sapiąc wtoczył się pociąg na stację i stanął. Słychać trzask otwieranych drzwi. Kilka osób wsiada. Niemiecki kierownik pociągu zeskakuje ze stopni wozu służbowego. W jednym z wagonów „Nur für Deutsche” słychać niemiecki śpiew. Maciek szybko biegnie wzdłuż pociągu, szukając więźniarki. Jest! Chce cichym gwizdem przywołać oddział, gdy wtem drzwi więźniarki uchylają się i w świetle latarki widzi wyskakującego gestapowca, pragnącego załatwić naturalną potrzebę. Gestapowiec skoczył tuż przed Maćkiem, niemal twarzą w twarz. Obaj są swym wzajemnym widokiem zaskoczeni i poruszeni. Maciek odruchowo unosi broń i strzela. Strzał i wrzask trafionego Niemca przeszywają powietrze. Przez chwilę wszystko dookoła cichnie. Naraz gdzieś od lokomotywy, wzdłuż toru, trzaskać zaczynają karabiny, a równocześnie chaotyczne strzały padają z okien paru wagonów, w których jadą niemieccy podróżni. Konwojenci gwałtownie zasuwają drzwi więźniarki. Zośka jest wściekły. Nieprzewidziany wypadek z wyskakującym gestapowcem wprowadził w walkę chaos. Strzelają teraz od strony lokomotywy bahnschutze, strzelają Niemcy jadący wagonem „Nur für Deutsche”, strzela nie wiedzieć dokąd część ubezpieczenia. Speszeni, zdezorientowani ludzie Maćka, który dowodzi atakiem, chronią się pod wagony. - Jasne pioruny - klnie Zośka, wyczuwając cały absurd, ale zarazem i całe niebezpieczeństwo sytuacji.

Przedłużający się impas grozi nieprzewidzianymi komplikacjami. - Maciek, atakuj!

Maciek już ochłonął z niespodzianki. Stoi sam jeden w pełnym świetle księżyca i w ogniu strzałów, badając wzrokiem więźniarkę. - Słoń do mnie! Kuba do mnie! - woła Maciek ostrym głosem. Słoń i Kuba poderwani spod wagonów przeskakują do Maćka. Trzymają steny. - W okienka! - krzyczy Maciek do Słonia, a sam, gdy Słoń i Kuba naciskają spusty stenów, podbiega do drzwi więźniarki i usiłuje je otworzyć, mocując się z przytrzymującym drzwi od wewnątrz Niemcem. Zośka, krzyknąwszy dowódcy ubezpieczenia parę zdań o przerwaniu ognia i o bahnschutzach strzelających od strony parowozu, podbiega do Maćka, nie zważając na strzały Niemców. - Chłopcy, wszyscy do Maćka! - krzyczy w stronę tych, co jeszcze są pod wagonami. Kryzys walki został przełamany. Z mroku wyskakuje kilkanaście postaci i rzuca się ku więźniarce. Gestapowcy usiłują zaryglować drzwi. Któryś z atakujących rzuca granat przez okienko do przedziału konwojentów. Po chwili rozlega się huk wybuchu i

dziki wrzask poranionych. - Łom! Dawać łom! – krzyczy Zośka.

Koło lokomotywy pada trafiony celną kulą niemiecki kierownik pociągu.

Bahnschutze prerażeni barykadują się w wagonie służbowym za tendrem. Strzały z wagonów niemieckich ustają zupełnie. Niemcy gaszą tam światła i tylko od czasu do czasu po tych oknach „Nur für Deutsche” grzechocą serie polskich pistoletów maszynowych. Granat rzucony w drugie okienko więźniarki oraz łom - zrobiły swoje. Zasuwa rozwalona, drzwi rozbite. W konwojce jeden z gestapowców leży we krwi. Dwaj inni także pokrwawieni gmerają koło karabinów. Zośka strzela raz i drugi - i już nie ma żadnego wroga. Chce jeszcze z łomem w rękę podejść do drzwi, za którymi znajdują się więźniowie, oddaje jednak łom kolegom, wychodzi przed wagony niemieckie i staje twarzą w kierunku Warszawy, gdzie w mroku nocy stoi odległy o czterysta metrów pociąg pełen żołnierzy niemieckich.

Niepodobieństwo, żeby nie słyszeli, nie zrozumieli. Łom wali w drzwi i przepierzenie więźniarki. Mijają nie kończące się minuty. Wystraszeni, nic nie rozumiejący podróżni zamarli w swych przedziałach, polska obsługa pociągu i stacji skupiła się przy lokomotywie, targana zmiennymi uczuciami. - Dobra jest! - wrzeszczy opętańczo jakiś zachrypły, męski głos. W tłoku i w gorączkowym ścisku wyskakują z więźniarki uwolnieni ludzie. - Do mnie, panowie, do mnie - mówi powoli i spokojnie Zośka. - Jesteście zupełnie bezpieczni, nic wam nie grozi, odprowadzimy was stąd kawałek. Wyzwoleni więźniowie rzucają się w kierunku wybawców, któryś prosi o broń, któryś śmieje się histerycznie, któryś chce całować Zośkę po rękach. Wszyscy są cali, żaden nie ucierpiał. Czterdziestu dziewięciu ludzi! „Obrabianie” pociągu w Celestynowie trwało minut czterdzieści.

Spod semafora, od strony pociągu naładowanego Wehrmachtem, nie dobiegły żadne kroki, nie doszedł żaden głos, nie rozległ się żaden strzał. Wykluczone, by nie słyszeli w ciszy nocy granatów i karabinów maszynowych. A nie wysłali nawet patrolu na wywiad! Auta Zośki stały już pod samą stacją. Teraz gdy wszystko jest skończone, podnieceni zwycięstwem ludzie zajmują miejsca w samochodach. Do swego samochodu poleca Zośka złożyć dwu ciężko rannych żołnierzy - skoczków spadochronowych z Anglii - należących do małego patrolu, który specjalnie na tę akcję przydzielono oddziałowi Zośki. Spośród ludzi Zośki jest ranny tylko Luty<sup>63</sup>.

Kiedy wrócili wreszcie ci, co odprowadzali uwolnionych więźniów we właściwe miejsce - Zośka daje znak odjazdu. Dopiero gdy odjechali, ożywiła się i rozdygotała stacja. Niemcy tylko leżą we krwi bez ruchu, bez życia, a kilku rannych jęczy w niemieckich

---

<sup>63</sup> Wacław Dunin - Karwicki, „Luty” - przyboczny 6 WDH, dowódca plutonu 3 kompanii batalionu „Parasol”.

wagonach. Dopiero o białym świetle postrzelany pociąg ruszył w kierunku Warszawy, ciągnąc rozwaloną więźniarkę. Zośka, wioząc swym wozem ciężko rannych, jechał z Bolkiem Radlewiczem. Kapitan Pług wracał w innym aucie. Zośka jechał ostrożnie, uważnie wybierając drogę. Jest godzina druga w nocy. - Halo, Bolek, wyjmij stena i pokaż, jak się odbezpiecza pistolet!

Bolek, który w Wawrze był przełożonym Zośki, a na tej wyprawie jest jego podkomendnym, jest zdumiony i zaskoczony, ale posłusznie robi, co mu rozkazano.

Pokazuje pistolet, zabezpiecza, odbezpiecza, mówi jak się strzela. Znów milczenie. - Bo widzisz, kochany Bolesławie, są takie chwile, kiedy się zapomina nawet o tak ważnej rzeczy, jak sposób odbezpieczania pistoletu. Przed Arsenalem musiałem odbezpieczać Słoniowi stena w trakcie ataku na samochód niemiecki.

Wyprawa na Celestynów, jedna z najbardziej udanych i owocnych wypraw, potwierdziła w pełni dobrą opinię zarówno o całości oddziału Zośki, który rozrósł się bardzo i liczył paruset ludzi, jak i o dowódczych wartościach Zośki.

Było rzeczą oczywistą: w wojsku podziemnym kształtował się szybko i dojrzewał wysokiej klasy oficer, nie mający wówczas jeszcze nominacji oficerskiej. Zawsze spokojny, rzeczowy, pogodny, niezawodny, dla wszystkiego i wszystkich wyrozumiały, dla siebie wymagający. Szczęśliwe połączenie wybitnych zdolności organizacyjnych z wielką wrażliwością moralną. Umysł zdolny do bystrej i trafnej pracy w warunkach największego napięcia nerwowego. Zośka rozwinął się bardzo podczas ostatniego półrocza. Jego wygląd zewnętrzny także stracił wiele z chłopięcej świeżości. Rysy twarzy nabrały twardości. Między brwiami tworzyła się bruzda. Tylko uśmiech pozostał dawny, niemal dziewczęcy. W charakterze umacniała się zaciętość. Wyrazu „niemożliwe” nie używał już od dawna. Oczywiście jako dowódca nie był i nie mógł być ideałem, chociażby z tego względu, że nie miał normalnego wyszkolenia wojskowego. Ale był niewątpliwie ciekawym typem oficera.

Zresztą oficera - należy przyznać - o swoistych poglądach. Jednego wieczoru któraś ze znajomych pań odezwała się do Zośki. - Pan chyba po wojnie zostanie na stałe w wojsku.

- Niezupełnie.

- Jak to? Przecież pana tak bardzo wojsko „wzięło”. Jest pan żołnierzem do szpiku kości. - Mała poprawka - odrzekł, uśmiechając się Zośka - „wzięła” mnie i oczarowała przede wszystkim walka. Jestem takim, jak pani powiedziała, „do szpiku kości” żołnierzem, że nie mógłbym po wojnie żyć bez walki. Dlatego prawdopodobnie nie zostanę w wojsku. Będę dalej w walce. Pytający wzrok kobiety nie schodził z uśmiechniętej twarzy młodego człowieka. A ten kończy rozpoczętą myśl: - Bo w tamtych, przyszłych czasach powstaną

nowe fronty: społeczny, gospodarczy, kulturalny, polityczny. Ja właśnie szykuję się już teraz na jeden z tych przyszłych frontów. Zośka milknie.

Powoli odwraca wzrok od twarzy swej sąsiadki gdzieś ku górze, ku rozświetlonym żarówkom. Przed oczyma duszy stają mu tyle razy przemyślane obrazy nieuregulowanych rzek, nędznie rodzących pól, smrodliwych, zatłoczonych „mieszkań” i ludzi zabiedzonych, pracujących za nędzne grosze, pracujących niedobrze, nieumiejętnie. Ludzi spragnionych odrobiny dobrobytu i bezpieczeństwa, szacunku i tego, by nikt nad nimi nie stał z batem...

## WIELKA GRA

Mijały letnie miesiące 1943 roku, tego roku obfitych zbiorów polnych, roku klęsk niemieckich w Rosji i we Włoszech, roku natężenia polskich akcji dywersyjnych.

Coraz nowe grupy Armii Krajowej w różnych częściach kraju otrzymywały zadania dywersyjne. Mnożyły się wystąpienia bojowe Batalionów Chłopskich, oddziały partyzanckie Armii Ludowej stawały się coraz liczniejsze, wróg czuł się w Polsce coraz mniej pewnie. Jednocześnie szła służba Małego Sabotażu podejmowana przez różne grupy podziemne, w której zawsze jednak prym wiedli wawerczycy. Cóż za efekt w Warszawie wywołało kiedyś włączenie się Wawra w megafonową sieć „szczekaczek” i nadanie krótkiej audycji polskiej z hymnem narodowym, marszem generalskim, z gorącym przemówieniem. Osiemnastoletni Janek Gutt<sup>64</sup>, jeden z głównych realizatorów tej imprezy - przez miesiąc chodził dumny jak paw. Grupy Szturmowe Szarych Szeregów wykonywały otrzymane zadania raz lepiej, raz gorzej.

Na wojnie różnie wypada. W jednych akcjach brał Zośka udział osobiście - w innych nie. Zresztą „akcje” stanowiły tylko ułamek właściwej pracy. „Orało się” i „harowało” naprawdę w czasie nie kończących się rozpoznań, przygotowań, ewakuacji zagrożonych lokali, urządzania magazynów, naprawiania samochodów itd. Samochody potrafiły zatruć życie, wyciskać z człowieka siódme poty. Raz się jednak zdarzyło, że pewien samochód stał się przedmiotem przyjaznych uśmiechów. Był to Czerwony Ford. Kiedyś urządzono wyprawę na Targówek do fabryki chemicznej po środki wybuchowe. Zośka dowodził w tej wyprawie „kolumną zmotoryzowaną”, Maciek prowadził „czołówkę”. Oczywiście można było materiały wybuchowe preparować samemu, ale skoro jest na Targówku legalna fabryka - czemu jej istnienia nie wyzyskać? Fabrykę obstawiono, stróżów sterroryzowano i Maciek ze swoimi ludźmi wytaczał wielkie beczki, które Zośka ze swoimi ładował na wozy. Przez pomyłkę załadowano parę beczek z czerwoną farbą. Jedna z tych beczek puściła, oblewając forda posoką. Szpetna plama pozostała na pół denerwując, a na pół śmieszac. I tak oto dostał swe imię bojowe Czerwony Ford. Dobry był to wóz. Z Czerwonego Forda zastrzelono gestapowca (jednego z tych, co dręczyli Rudego) na minutę przed przejazdem patrolu policji niemieckiej słynnym w okupowanej Warszawie mercedesem z alei Szucha. Mercedes zdążył jeszcze dostrzec zawracającego forda - nie zdążył go jednak odszukać i dopaść.

Szczęśliwą miał również „rękę” Czerwony Ford, dowożąc broń i amunicję do

---

<sup>64</sup> Jan Gutt (1925-1943) - w polowych Szkołach zastępowy zastępu Mokotów Górny 430, przewodził ekipie wawerskiej w naklejananiu afiszy we Lwowie. Aresztowany 3 grudnia 1943 i stracony w egzekucji ulicznej.



magazynu przy ulicy Różanej. Co prawda na trop tego magazynu wpadła policja niemiecka i pewnego ranka otoczyła willę, w której znajdował się magazyn. Ale policja nie przewidziała, jak się zachowają dwaj młodzi ludzie, strażnicy magazynu. Byli to bracia. Dostrzegli zawczasu manewry hitlerowców przed willą.

Obaj mieli szansę ucieczki przez sad i zabudowania na tyłach. Ale starszy Wróbel - zapragnął wyzyskać okazję, jaką mu podsunął los. Więc wyprawił młodszego brata, sam zaś, w spodenkach kąpielowych, tak jak wyskoczył z łóżka - stanął do walki. Uzbroidł się i czekał. Dopuszczał policjantów pod same drzwi. Szli hurmem, nie czuli się zagrożeni. Gdy w tę hurmę rzucił kilogramową filipinkę, która - jak to filipinka<sup>65</sup> - narobiła piekielnego huku, potem puścił w ruch pistolet, a wreszcie przez okno cisnął granat w stojące przed domem auto - bitwa została wygrana. Pięciu niemieckich policjantów konało we krwi, reszta zbiegła. Młody człowiek zdążył włożyć spodnie, marynarkę, buty i przez nikogo nie zatrzymywany - opuścił pechową willę. Czerwony Ford przynosił szczęście. Jaka szkoda, że nie było go w czasie wyprawy czarnocińskiej. Czarnocin - była to jedna z najbardziej pechowych i ciężkich robót Zośki. Drogo kosztowała - dała małe wyniki. Ale na wojnie - jak na wojnie! Żadne wojsko nie idzie od zwycięstwa do zwycięstwa.

Umiejętność znoszenia niepowodzeń jest wielką i ważną umiejętnością. Oczywiście jeśli towarzyszy jej zdolność i chęć do wyciągania nauki z porażek. Miało to być wysadzenie mostu pod Czarnocinem. Jeśli się da - brzmiało zadanie - wysadzić most w czasie transportu z materiałem wojennym idącym na front wschodni, jeśli się nie da - wysadzić sam most. Było to zadanie ćwiczebne, szkoleniowe - dopuszczało więc pewną swobodę wykonania. Jeszcze przed właściwą wyprawą zdarzyło się pierwsze nieszczęście. „Podstawiony” do wyprawy samochód, przejeżdżając przez jedno z przedmieść Warszawy - Bielany - natknął się na drogowy patrol polującej na samochody żandarmerii niemieckiej. Dotychczas nie znano tak modnych potem „streif”<sup>66</sup> - toteż trzech młodzi ludzie, siedzący w wozie, zostali całkowicie zaskoczeni. - Halt!

Niemiecki żandarm stoi pośrodku drogi i trzyma uniesioną tarczیکę. Reszta wrogiego patrolu znajduje się z boku. Szofer zaskoczony zwalnia bieg i mówi do kolegi półgłosem: „Diabeł wie, co to znaczy... Chyba nie stanę. Wyjmij pistolet”.

Tuż przed żandarem młody człowiek nacisnął pedał i w pełnym pędzie mija Niemca.

Niestety, patrol na takie niespodzianki był przygotowany, miał maszynę na gazie, zwróconą w kierunku jazdy naszej trójki. W pół minuty żandarmi już pędzili za uciekającymi

---

<sup>65</sup> Filipinka - granat szturmowy z zapalnikiem uderzeniowym.

<sup>66</sup> Strelta - posterunek niemieckiej żandarmerii kontrolującej pojazdy.

strzelając.

Niemiecka maszyna była lepsza. Odległość malała.

Na nic się zdało kluczenie. W gorączce skrętów i wymykań się dostali strzał w oponę i auto zaczęło skakać po bruku pustą kichą. Nie ulegało wątpliwości - zbliżał się koniec. Nie umawiali się co robić. Nie było chwili czasu. Zresztą wiedzieli. Wskoczyli z pistoletami i biegli do najbliższych domów. Jeden padł na drodze, ugodzony śmiertelną kulą. Drugi zdołał ocaleć, ostrzeliwując się i wymykając pogoni. A trzeci? Trzeci, ranny, postanowił drogo sprzedać swoje życie. Wpadł do piwnicy pewnego domu - i bronił się. Dwustu lotników nadbiegło do pomocy patrolowi żandarmerii. Półtorej godziny trwało oblężenie rannego, który ostrzeliwał się z piwnicznego okienka. Strzelał powoli, uważnie celując.

Miał mało naboji. Dwóch Niemców ranił śmiertelnie, dwóch dalszych również zabrano na noszach. Niestety, wyczerpała się amunicja. Ostatni granat w Niemców - i koniec. Tak zginął Oracz - Tadeusz Mirowski<sup>67</sup>.

Wypadek ten wstrząsnął Zośką i jego przyjaciółmi. Podenerwowani z uporem i zaciętością kończyli przygotowania do wyprawy. Część patrolu, mającego wysadzić most, wyruszyła wcześniej. Zośka musiał zostać, by zabrać z magazynu pewne niekonieczne, lecz pożądane materiały i dodatkową broń. Zły los zrządził, że magazynier na skutek nieoczekiwanych przeszkód nie mógł stawić się na czas, potem mu czegoś brakowało, i gdy Zośka wreszcie opuszczał Warszawę - był bardzo spóźniony.

Nie koniec na tym!

Ten sumienny i zazwyczaj tak przewidujący dowódca - tym razem nie miał opracowanej trasy przez parę mijanych miasteczek. W miasteczkach mylił się, zawracał, pytał o drogę. Potem usiłował nadrobić stracony czas, ale bez większych wyników. Zdążył na kilkanaście minut przed nadejściem pociągu, na który polowano. Niestety - nie wszystko było wykończone. Przydzielony do wyprawy oficer-obszernik nie mógł się bez Zośki zdecydować: robić? nie robić? - Robimy!

Prędko na miejsca! - rozkazał Zośka, zeskakując z samochodu. Nie udało się już jednak nadgonić straconego czasu i pociąg, pełen czołgów, cały i zdrowy przejechał przez most. W Zośce wszystko kipiało - nie dał jednak poznać po sobie, co przeżywa. Trudno! Będziemy wysadzać sam most. Przeklęty pech! Miny nie wysadziły całego mostu - uszkodziły tylko jego część. Zadanie szkoleniowe zostało co prawda wypełnione - ale dla Zośki było to niczym. Most! Most! To pudło stoi całe, głupią dziurę zreperują w ciągu dnia.

---

<sup>67</sup> Tadeusz Mirowicz, „Oracz” członek Grup Szturmowych. szef komórki motorowej Warszawy.

Wściekły wsiadł do auta i ruszył z połową swego patrolu. Drugie auto, z drugą połową patrolu, jechało za nim. To drugie auto prowadził Rysiek<sup>68</sup>, kierowca nowicjusz. A ponieważ odskok odbywał się w bardzo trudnych warunkach - ze zgaszonymi światłami po nierozpoznanej drodze (wycofywano się przez Skierniewice-Mszczonów) szofer na jednym z zakrętów stracił panowanie nad kierownicą i auto wpadło do rowu, wywracając się kołami do góry. Trzej szturmowcy jadący tym samochodem wyszli z opresji cało, natomiast nieszczęsny kierowca miał ciężką ranę głowy połączoną ze wstrząsem mózgu, połamane żebra i, jak się zdawało, uszkodzony kręgosłup. Zośka błady ze zdenerwowania ulokował rannego w swoim wozie, ale ponieważ nawierzchnia drogi była zła - jechano odtąd, dla uniknięcia wstrząsów szkodzących rannemu, z szybkością 20 kilometrów na godzinę. W tej sytuacji musieli wracać do Warszawy pieszo oraz przez kilka pierwszych godzin osłaniać przed ewentualnym pościgiem wolno jadący samochód Zośki z rannym i pozostałymi kolegami. Szli szosą we trójkę możliwie jak najszybciej – Felek Pendelski<sup>69</sup>, Andrzej Zawadowski-Gruby i Maciek. Wszyscy trzej należeli do najwybitniejszych ludzi Grup Szturmowych, uczestniczyli we wszystkich niemal poważnych akcjach, dwaj z nich kierowali hufcami Grup Szturmowych. A jednak pech fatalnej wyprawy dotknął i ich. Zaczynał się wczesny poranek pięknego czerwcowego dnia. Wciąż szli szosą, rozumiejąc, że jeszcze nie minął czas ubezpieczania samochodu podążającego do Warszawy z rannym. Widoczność stawała się coraz większa. Już od kilku godzin żandarmeria niemiecka miała meldunki o uszkodzonym pod Czarnocinem moście. Rozesłano patrole samochodowe. Jeden z sześciuosobowych patroli dostrzegł na drodze sylwetki trzech mężczyzn. Przez pewien czas żandarmi jechali w dużej odległości, obserwując ich przez lornetkę, a kiedy w pewnym miejscu zaczął się długi spadek drogi - rozpedzili samochód, wyłączyli gaz i bezszelestnie a szybko zbliżyć się poczeli do idących środkiem drogi przyjaciół. Gdy tknięty szmerem wozu Maciek odwrócił głowę, auto było tuż-tuż. - Uwaga! - wrzasnął Maciek. Trzech młodych ludzi skoczyło w rów. W tej samej chwili zagrało jednocześnie sześć żandarmskich pistoletów maszynowych. Andrzej Zawadowski zwałił się jak ścięty do rowu. Felek i Maciek pędzili w kierunku ładu zboża. Uchodzący spostrzegli, że nie ma z nimi Andrzeja. Więc padli w bruzdy i odwróciwszy się ku żandarmom otworzyli do nich ogień. Niestety już po pierwszych strzałach pistolet Maćka zaciął się i nic nie pomagało rozpaczliwe szarpanie jego zamka. Strzelał teraz tylko Felek. Strzelał w potoku niemieckich pocisków, z których jeden przebił mu policzek, a drugi szyję.

---

<sup>68</sup> Ryszard Wesoły. „Rysiek” - szofer w akcji czarnocińskiej.

<sup>69</sup> Feliks Pendelski, „Felek” (1921-1943) - hufcowy hufca Centrum Warszawskich Grup Szturmowych, w akcji pod Arsenalem członek sekcji „ubezpieczenie-getto” - kapral podchorąży, podharc mistrz. poległ 6 czerwca.

Krwawił, ale nie tracił przytomności i ostrzeliwał się dalej, starając się bić jak najcelniej. Odległość między żandarmami i walczącym Polakiem wynosiła około czterdziestu metrów. I oto radość, szalona radość zaczęła napływać do serca krwawiącego Felka; dwóch żandarmów leży bez ruchu na szosie, dwóch innych slaniając się uchodzi z terenu walki, pozostali - kryją się. Felek przewyciężając ubytek sił zaczyna pełznąć ku Andrzejowi Grubemu, aby mu pomóc, jeśli jeszcze żyje. Ruchy Felka nie mogły być szybkie. Ogarniała go coraz większa słabość, a przy tym któryś z Niemców wciąż jeszcze strzelał. Nie zdążył się zbliżyć do Andrzeja, gdy na szosie od strony Woli Pękoszewskiej pokazało się kilka samochodów, a w nich około czterdziestu żandarmów. Teraz JUŻ nie miało sensu zbliżanie się do Andrzeja.

Felek, skupiwszy wszystkie siły, powstał i począł biec schylony ku niewielkiemu łanowi zboża. To, co nastąpiło potem, trudno nazwać walką. Wróg czuł respekt przed pistoletem dywersanta. Z daleka więc otoczono małe pole i z daleka czterdziestka ludzi poczęła ciskać w to pole granaty. Gdy wreszcie tyraliera niemiecka weszła na obrzucony granatami teren, Felek poszarpany odłamkami był już w agonii. Umierając oddał ostatni strzał raniąc zbliżającego się żandarma.

Gdy lekarz - Polak, którego żandarmi przywieźli ze sobą, stwierdził zgon dwóch żandarmów i opatrując rany trzech innych oglądał pole końcowej walki - stwierdził, że dywersant zdążył przed śmiercią zniszczyć dokumenty osobiste, połykając cząstki papieru i grzebiąc w ziemi resztę. Felek, jeszcze jako drużynowy 80 Warszawskiej Drużyny, a potem jako hufcowy Hufca Centrum w Grupach Szturmowych, był zawsze człowiekiem, ku któremu zwracały się z zaufaniem, przyjaźnią i oddaniem serca wielu dziesiątków młodych ludzi. Ale odtąd, gdy szczegóły o ostatniej jego walce rozchodzić się zaczęły wśród Hufca Centrum, wspomnienia o nim poczną się układać w legendę. I pamięć o Felku przeżyje w setkach serc okupację, utrwali się w Powstaniu. A Maciek - trzeci z zaatakowanej trójki - ocalał. Bezbronny na skutek nie oddającego strzałów pistoletu leżał czas pewien w zbożu, a potem, stwierdziwszy swą bezradność wyczołgał się i uszedł pościgowi. Przebieg akcji czarnocińskiej ogromnie poruszył cały oddział, a szczególnie Zośkę. Na szeregu odpraw roztrząsano każdy szczegół rozpoznania, przygotowań i wykonania roboty. Zośka z uporem maniaka analizował błędy tej akcji. W dyskusjach padały często wspomnienia o Rudym i Alku, o ich metodach pracy, bezpieczeństwa, walki. Małą pociechą dla Zośki i jego najbliższych pomocników stało się stwierdzenie ich bezpośredniego przełożonego: - Było w tej robocie kilka niedociągnięć - to fakt. Niepotrzebnie jednak je przeceniacie.

Walka jest nieodłącznie związana z przypadkiem i ze śmiercią. A zresztą zadanie, jakie mieliście wykonać - zostało wykonane. - Niestety, nie tak jak pragnęliśmy -

odpowiedział Zośka. W każdym razie dla Zośki i jego kolegów Czarnocin stał się kubłem zimnej wody. Znow z całą jaskrawością dostrzegli doniosłe prawo: na wojnie nie ma drobiazgow, jest tylko zwycięstwo lub klęska, życie lub śmierć.

Któregoś dnia Zośka z panem Jankiem szli ulicami Powiśla. Zośka trzymał w ręku parę róż, owiniętych w bibułkę. Wybierał się na grób Oracza, gdzie chciał róże zostawić. Szli, rozmawiając na temat, który Zośka miał poruszyć na jednej z odpraw: o jaką Polskę walczymy? Gdy skręcili w Dobrą, ujrzeli w odległości około stu metrów stojącego pod murem mężczyznę z podniesionymi rękami i rewidujący go patrol niemieckiej policji. - Ładna historia - mruknął pan Jan - skręcajmy w Lipową.

Ledwo uszli kilkadziesiąt kroków, spoza zakrętu wyłonił się drugi patrol. Weszli do najbliższej bramy i przeczekali, aż patrol przejdzie. - Co u Boga Ojca dzieje się na tym Powiślu? - niecierpliwił się Zośka. - Windujemy się najkrótszą drogą do śródmieścia. - Masz ty może co przy sobie? - spytał podejrzliwie pan Jan - bo ja jestem zupełnie czysty. - Żadnych pistoletów, żadnych granatów, nawet żadnej bibuły - uśmiechnął się Zośka. - Jeden drobnutki grzech, to mała kartka papieru, dane do fałszywej karty rozpoznawczej, które mam za parę godzin wręczyć łącznikowi, ale ta kartka schowana jest na sto jeden! Żaden Sherlock Holmes jej nie znajdzie. Wyszli z bramy, szybko zmierzali ku Karowej. Po kilku minutach, tuż przed nimi spoza rogu wyszedł trzeci patrol niemiecki. Mowy nie było o skręceniu w bok. Patrol szedł wprost na nich. Otoczył obu młodych ludzi, trzymając karabiny w pogotowiu. - Was ist das? - wskazał oficer policyjny na owinięte bibułą róże.

- Róże - odburknął Zośka. Niemcy odsunęli się na wszelki wypadek, wciąż trzymając karabiny w pogotowiu, i kazali Zośce rozwinąć kwiaty. Zośka powoli odwijał bibułkę. Gdy skończył, z kwiatów wypadła mu mała kartka. Podoficer schylił się, podniósł i powoli wczytywał się w kartkę. Zośka stał zmieszany, a zarazem wściekły na kwiaty i swój idiotyczny pomysł. Kartka wydała się podoficerowi podejrzana. Zażądał od Zośki dowodu osobistego. Włożył do dowodu kartkę a dowód do kieszeni. - Pójdiesz z nami - powiedział do Zośki.

Pan Jan po wylegitymowaniu i pobieżnej rewizji został puszczony wolno. Patrzył zdenerwowany i przybity, jak patrol prowadził Zośkę. W Zośce wszystko kipiało.

Złościły go głupie róże, które trzymał w pełnej ich krasie idąc z ponurą miną między policjantami. Złościły go miny przechodniów, którzy, ujrzawszy dziwaczne widowisko, nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Doprowadziła go do pasji myśl o tak beznadziejnej wpadce. Nieraz przygotowywał się na zetknięcie z gestapowcami lub niemieckim żandarmem. Nieraz wyobrażał siebie w sytuacji schwytanego, ale żeby tak idiotyczny mógł

być początek końca kariery dowódcy Buków, zwycięzcy spod Arsenалу, komendanta wyprawy na Celestynów? Krew może zalać człowieka! Na szczęście droga trwała tak długo, że Zośka miał dość czasu na uspokojenie się.

Szli do posterunku niemieckiej policji. O ucieczce nie mogło być mowy. Otaczało go pięciu ludzi, trzymających broń gotową do strzału. Na posterunku przeprowadzono szczegółową rewizję, zadawano szereg pytań. Był już całkowicie spokojny. Dawał odpowiedzi rzeczowe i wzbudzające zaufanie. Mimo to odesłano go na Szucha. - Teraz się dopiero zacznie. - pomyślał Zośka, idąc w towarzystwie konwojujących go żandarmów. Na Szucha w korytarzu przy drzwiach jakiegoś referatu siedział dłuższy czas, czekając na swoją kolejkę. Żandarmi niecierpliwili się. - Panie, niech pan mi odda mój dowód - zwrócił się Zośka do jednego z konwojentów. - Zostawicie mnie tu i potem będę miał kłopot bez dowodu.

Żandarm uznał widocznie słuszność argumentu Zośki, gdyż sięgnął do kieszeni i podał Zośce dowód. Wkładając dowód do portfela, Zośka spostrzegł, że została w nim przekłeta karteczka, sprawczyni nieszczęścia. Oniemiał ze wzruszenia i ze zdumienia. W dziesięć minut potem, mimo obecności żandarmów, kartka już była w żołądku Zośki. Siedział teraz uśmiechnięty, pewien siebie, zadowolony i niemal żałujący, że przez małoduszność nie zabrał ze sobą z posterunku róż. Wprowadzono go wreszcie do referenta. Żandarmi gdzieś zniknęli, o kartce nie było mowy.

Odpowiadał na pytania tak naturalnie i z taką pewnością siebie, z tak stuprocentowym poczuciem własnej niewinności, że był szczerze zaskoczony, gdy Niemiec mimo to zadecydował. - Do więzienia. Będziemy jeszcze wyjaśniać pana personalia i sprawdzać, to co pan zeznał. - O, do diabła, znów źle! Licho wie, co z takich sprawdzeń może wyniknąć. Gdy Zośka, w towarzystwie konwojujących go policjantów niemieckich, schodził korytarzami ku wyjściu, w drzwiach któregoś pokoju ukazała się wysoka sylwetka młodego człowieka z bladą smutną twarzą.

Młody człowiek niósł kilka paczek cukierków. Przez ułamek sekundy skrzyżowały się spojrzenia młodego człowieka i Zośki. Tymczasem pan Janek alarmował przyjaciół Zośki fatalną wiadomością. W kilka godzin potem setka ludzi w Warszawie chodziła jak struta. Kilku najbliższych przyjaciół odbywało gorączkowe narady wciągnąwszy w nie rodzinę Zośki. Nie ulegało wątpliwości, że zrobią wszystko, co jest w ich mocy, by Zośkę szybko z więzienia wyciągnąć. Mijał dzień za dniem wśród wysiłków uporczywych, a zarazem subtelnych i delikatnych, Subtelnych i delikatnych? Chyba tymi dwoma słowami można określić misterne zabiegi Wesołego, który w tym czasie miał już na Szucha licznych

znajomych.

Zabiegi te rozpoczął Wesoły tego samego dnia, gdy ujrzał Zośkę w gmachu gestapo.

Bardziej niż ktokolwiek wiedział, jak często przypadkowe aresztowanie kończy się tragicznie. Toteż działał z największym pośpiechem i z największą starannością.

Udało się! Zośka był w więzieniu tydzień. Czy to dużo, czy mało? Obiektywnie - jest to nic, lecz dla wielu dziesiątków ludzi w Warszawie było to siedem razy po dwadzieścia cztery godziny. Dla Zośki te siedem więziennych dni stało się pierwszorzędną szkołą. Zrozumiał i dostrzegł wiele nowych stron życia. Wrócił z ostrzyżoną głową, wymizerowany, zawszony, bardziej spokojny niż kiedykolwiek.

Gdy uszczęśliwieni przyjaciele, ściskając go i klepiąc po ramieniu, wypytywali o wrażenia i przeżycia więzienne, powiedział: - Zrobiłem odkrycie, że na świecie prócz konspiratorów istnieją także ich matki, ojcowie, siostry i żony. Nie bardzo jestem pewien, kogo opiewać musi pieśń gminna: konspiratora, przystrojonego we wspaniałe szaty bohaterstwa, czy wylęklą matkę, co wieczór przeżywającą na nowo męki czekania... Po swej przygodzie aresztanckiej Zośka starał się okazywać jak najwięcej serdeczności ojcu i siostrze, częściej i dłużej przebywać w domu. Najbliższych swych przyjaciół wolał raczej zapraszać do siebie, niż latać do nich. Zresztą wśród przyjaciół tych zapadło milczące porozumienie udzielenia Zośce po areszcie kilkutygodniowego urlopu. Wyręczali go w pracy, starali się, aby miał jak najspokojniejsze i jak najprzyjemniejsze dni.

Wiele w owe czasy odbyli rozmów, dyskusji i narad. Najbardziej dla wszystkich ciekawe dyskusje obracały się koło niebezpieczeństw i wypaczeń, które kryje w sobie praca niepodległościowa. Profesor, ojciec Zośki, wciągany do tych rozmów, kładł szczególny nacisk na ten rodzaj niebezpieczeństwa, któremu uległo wiele najlepszych jednostek z poprzedniej wojny. Przecież wśród ludzi z obozu socjalistycznego, z organizacji bojowej, z legionów, z POW<sup>70</sup> było pełno pierwszorzędných jednostek - jakżeż okropnie wypadł dla wielu z nich egzamin życia w polskim świecie powojennym! Ci bohaterscy żołnierze, ci pełni poświęcenia i talentu dowódcy - jakże często przy warsztacie życia cywilnego staczali się po równi pochyłej prywaty i zaniechania kontroli nad sobą. Andrzej Morro: - Duże niebezpieczeństwo tkwi w intensywności przeżyć, dziś przez nas doznawanych. Dzień dzisiejszy tak targa duszą, że gdy się wreszcie skończy, gotowa nadejść fatalna reakcja. Profesor: - Ma pan dużo racji. Kiedy analizuję losy „niepodległościowców” z pierwszej wojny światowej - widzę trzy groźne rafy, o które rozbijały się okręty życia tych ludzi. Rafa

---

<sup>70</sup> POW - Polska Organizacja Wojskowa - tajna organizacja wojskowa powstała z inicjatywy J. Piłsudskiego w 1914.

pierwsza - to chęć używania:

„Tyle cierpieliśmy, że należy nam się wreszcie rewanż od życia”. Rafa druga - to przesadne poczucie własnej wartości, napelniające serce lekceważeniem i goryczą w stosunku do otoczenia: „Tylko my wiedzieliśmy, co robić i robiliśmy to ofiarnie w obliczu bezmyślnego, małosłownego i krótkowzrocznego otoczenia”. Rafa trzecia - to „ideologia kombatancka”: miejsce dla obrońców Ojczyzny! Posady, ordery, honory i zaszczyty! Dla tych, co własną krwią... Młodzi ludzie roześmiali się, a po chwili Andrzej Długi:

- Chciałbym bardzo podkreślić to, co tak silnie wpajał w nas Rudy. Życie jest tylko wtedy coś warte i tylko wtedy daje radość, jeśli jest służbą. Formy służby mogą być zmienne i ciągle dostosowywane do potrzeb życia. Raz to będzie Mały Sabotaż, innym razem dywersja, kiedy indziej praca w organizacji społecznej lub prowadzenie kompletu samokształceniowego. Formy służby muszą być zmienne, jej istota pozostanie zawsze nienaruszona. Istota ta polega na odsunięciu siebie i swojej osoby na dalszy plan, wysunięciu na plan pierwszy idei gromady. Jeremi<sup>71</sup>: - Myślę, że jest rzeczą bardzo ważną to, co my robimy od dawna: nie tylko pełnić służbę dziś, ale także przygotować się do służby w Polsce jutro. Profesor: - Tylko na miłość Boską ostrzegam was przed najgorszym: nie dopuście myśli, że jesteście jakimiś pomazańcami, jakąś elitą. Ten z was, który zacznie sądzić o sobie, że jest specjalnie wartościowym i specjalnie cennym człowiekiem, że do specjalnych w przyszłej Polsce musi być przeznaczony celów - ten się skończył i przepadł, gdyż roztrzaskany zostanie o najgroźniejszą z raf - rafę własnej, unicestwiającej człowieka pychy. Samouwielbienie powinno pozostać przywilejem małych dzieci i dzikich szczerpów. Pan Janek: - Fatalne jest wykołowanie nas wszystkich w nauce i przygotowaniu do dobrego opanowania fachu, z którym ma się wejść w życie. Rudy w sposób wspaniały przełamał te trudności, kończąc jedną z najbardziej wymagających warszawskich szkół. Prawie żaden z nas nie jest na tym odcinku bez winy. Grozi nam to wielkie niebezpieczeństwo, że wejdziemy do swych zawodów jako dyletanci i niedouki. Warunki okupacji utrudniają walkę z tym niebezpieczeństwem. Najważniejsze, co w tej mierze zrobić możemy, to zawsze zdawać sobie sprawę z własnych braków i przy każdej sposobności braki te zmniejszać. Na tym zakończył się wieczór rozważań i analizy. i.- w gromadzie Zośki samokształcenie miało powodzenie już od dawna. Szczególnie gorliwie zajął się Zośka tymi sprawami po tygodniowym pobycie w więzieniu, wciągając jak to zawsze u niego, w swoje zainteresowania całe otoczenie. Dawnymi laty duszą poczynań samokształceniowych był Jacek, a głównie Rudy, dla którego

---

<sup>71</sup> Jerzy Zborowski „Jeremi” (1922-1944) - zastępca dowódcy batalionu „Parasol”, w akcji pod Arsenalem szofer, podporucznik, harcmistrz, zginął na gestapo we wrześniu.



praca umysłowa, poważne książki i poważne rozmowy były rozkoszą. Teraz, gdy Rudy odszedł, Zośka czuł się spadkobiercą jego samokształceniowego testamentu.

Powziął plan przepracowania we wszystkich piątkach paru samokształceniowych cykli i zabrał się do urzeczywistnienia tego zamiaru z całą energią człowieka, który wie, ku czemu zmierza. Pan Janek sekundował mu nieodstępnie w tych poczynaniach, pomagając układać programy, dobierać prelegentów itd. Specjalne zainteresowanie tymi sprawami okazywał zespół młodzieży Pętu - z Rafałem (Stanisław Leopold<sup>72</sup>) na czele. Wszystkie tematy koncentrowały się wokół zagadnień Polski współczesnej i nurtujących w umysłach współczesnego pokolenia przeciwieństw w poglądzie na świat. Przy organizowaniu tych dyskusyjnych zebrań pan Janek i Zośka wpadli kiedyś na pomysł zgromadzenia młodych z różnych środowisk i grup politycznych. Tak dużo się w Polsce mówi o tym, co ludzi dzieli, że warto spróbować pogadania na temat: co nas łączy. W pierwszej chwili pomysł zorganizowania takich zebrań wydał się absurdalny, a jednak powiódł się.

Przede wszystkim dzięki talentom Zośki do skupiania wokół siebie ludzi z różnych obozów. Równoległe z tym pan Janek i Zośka rozpoczęli rozmowy z socjalistami o współpracy w dziedzinie kształcenia wojskowego. Między innymi porozumiewano się w sprawie szkolenia przez instruktorów Zośki kilku plutonów PPS. Ale najowocniejszy w wynikach okazał się pomysł założenia tajnego gimnazjum i liceum dla młodzieży z Szarych Szeregów. Wojna wykołubiła wielu młodych ludzi z ich toru szkolnego. Szczególnie wśród chłopców z BS i GS było sporo takich, którzy z tych czy innych względów zaniedbali naukę. Pan Janek miał na tym punkcie uraz: walka musi iść w parze z ciągłym przygotowywaniem się do życia „cywilnego” w wyzwolonym kraju. Toteż wpływał, jak mógł, aby chłopcy trzymali się szkół, a wykołejeni, aby do szkół wracali lub uczyli się na kompletach. I właśnie dla podniesienia nastroju nauki, dla zachęty wahających się i opornych, dla zharmonizowania godzin ćwiczeń z godzinami uczenia się uradzili teraz – pan Janek, Zośka i kilku innych - stworzenie własnych tajnych kompletów. Ten projekt poparł gorąco Naczelnik Szarych Szeregów. Kedyw również bardzo chętnie wyasygnował odpowiednie środki. No i znaleźli się ci, którzy mieli zdecydować „w ostatniej instancji” o powodzeniu pomysłu: nauczyciele. Grono dawnych profesorów gimnazjum i liceum im. Stefana Batorego, macierzystej szkoły Buków, pod przewodnictwem dyrektora Radwańskiego, stanęło do współpracy. Komplety ruszyły! I tak biegły dnie za dniami. Ojciec Zośki ze zdumieniem spoglądał na syna, którego mógł teraz więcej obserwować, jako że Zośka częściej przebywał w domu. Kiedyś po

---

<sup>72</sup> Leopold Stanisław „Leopold”, „Rafał” (1M8-1944) - kierownik konspiracyjnego PET- u, harcmistrz, członek Rady Programowej przy Naczelniku Harcerzy.

pogawędce w gronie przyjaciół Zośki, profesor wyjął z zamkniętej na klucz szuflady brulion. Profesor tak samo jak syn prowadził pamiętnik.

Odkręcił wieczne pióro. Dłuższą chwilę siedział nieruchomo, a potem zaczął pisać: „Znajduję w Tadeuszu typ, jaki w najśmielszych marzeniach wyobrazić sobie chciałem, Jako typ nowej młodzieży, która nową, lepszą Polskę budować będzie.

Widzę w nim, tak rzadko niestety spotykane, połączenie głębi duchowej, czystych intencji, czystego życia z umiejętnością brania życia w garść i nieprzeciętnym talentem organizacyjnym i wychowawczym”.

Kierownictwo walki konspiracyjnej powzięło decyzję zlikwidowania jednej nocy sieci ponad dziesięciu posterunków żandarmerii niemieckiej na północno- wschodniej granicy Generalnej Guberni. Do wykonania tego zadania wyznaczono, prócz oddziałów będących do dyspozycji na miejscu, parę oddziałów warszawskich.

Jednym z wyznaczonych był oddział Zośki. Zośka, nauczony lekcją czarnocinską, pilnuje najdrobniejszych szczegółów przygotowawczych. Dla celów szkoleniowych oddziałem dowodzić będzie Andrzej Morro. Zośka ma pójść w charakterze obserwatora. Tym niemniej teraz, w czasie żmudnych przygotowań, trzyma oko i rękę na wszystkim. Nie może się zdarzyć żadne niedopatrzenie, żadna zła kalkulacja, żaden błąd. „Ich” posterunek znajduje się pod Wyszkowem. Mieści się we wsi Sieczychy, w dużym drewnianym budynku, gdzie kwateruje około dwunastu żandarmów. Aby wykluczyć czynnik opóźnienia - Zośka rozpoczyna koncentrację swego oddziału w lasach na trzy dni przed uderzeniem. Odjazd!

Zaczyna się druga połowa sierpnia. Lato jest pełne słońca. Dnie są upalne, noce ciepłe. We wszystkich sadach, obok których przechodzi Zośka, pełno jabłek.

Gałęzie aż uginają się od owoców. Młodzi ludzie objadają się papierówkami, są szczęśliwi z wyrwania się z miasta i podnieceni czekającą ich przygodą.

Temperaturę uczuć podnosi świadomość, że nie tylko oni jedni stoczą ten nocny bój. Podobnych walk będzie na pograniczu dziesiątek. Oczywiście mowy nie ma, żeby się wobec pozostałych oddziałów zbłaźnić. Biwakują w wielkim lesie, owianym wspomnieniami 1863 roku. Tradycja okoliczna nazywa te miejsca Linią Powstańców.

Gdy młodzi ludzie siedzą wieczorem przy ognisku, nie sposób jest odpędzić myśli od tamtych z 1863. - Mój pradziad... - zaczyna jeden.

- Mówiła mi babka...

- U nas w domu wisi taka śmieszna fotografia. Jak to się nazywa? Dagerotyp?...

Andrzej Morro i Maciek szepczą o Alku. Ten by się tu świetnie czuł. Sęki chrustu trzaskają w ogniu. Dym mile podnieca nozdrza. Można tak leżeć na kocach zapatrzonym w

ognisko godziny całe. Płomienie migocą blaskami na twarzach skupionych wokół ognia. Co się kryje poza tymi oczyma, wpatrzonymi w płomień?

Czy odbija się w nich treść tego, o czym mówią przy ognisku? Może myśli wirują gdzieś po pokojach i pokoikach warszawskich? A może kołacze w sercach niepokój o to, co zdarzy się nieodwołalnie jutro? Zośka, jak zwykle, nie odzywa się. Słucha tylko i dorzuca do ognia chrustu. Robi się już późno. Odmówili modlitwę, odśpiewali pieśń wieczorną i zaczęli grupkami oddalać się na spoczynek. Andrzej Morro poszedł sprawdzać czujki. Następnego dnia - 20 sierpnia 1943 roku - dłużył się nieskończenie. Nikt nie mógł się wychylić z lasu, by nie wzbudzić podejrzeń.

Porządkowanie broni zajęło tylko chwilę czasu. Leżeli więc w plamach słońca lub w cieniu drzew i czekali. Nareszcie! Jest godzina 19.30. Zbiórka. Podział broni; pouczenie lekarza, jak się zachować w przypadku zranienia. O godzinie 20 - odmarsz. Kolumna posuwa się w idealnym porządku i w całkowitej ciszy, starannie ubezpieczona. Na przedzie kroczą w zwartej grupce Zośka, Andrzej Morro, Długi i Maciek. Idą leśną drogą. Mrok gęstnieje coraz szybciej. Od posterunku żandarmerii dzieli ich tylko osiem kilometrów. Wyszli na polną drogę. Jest już zupełnie ciemno. Posuwają się tak cicho, że nie słychać najmniejszego brzęku, żadnych głosów. Tylko serca biją nieco szybciej niż zwykle i tylko czoła są bardziej niż zwykle skupione. Mija czas...

- W tej cholernej dywersji nie można żyć jednolitym, prostym, żołnierskim życiem, ciągle huśtawka rozdzielenia: żołnierz-cywil, dowódca-mama, pistolet- szkoła... - Ciicho! - syczy Zośka.

Mijają znów dziesiątki minut. Celowo wikłają krok, aby nie wbijać w ziemię rytmu. Od idącego na przedzie ubezpieczenia błyska ostrzegawcze światełko:

Uwaga! Zeszli w bok. Stanęli. Nad słuchują.

Powoli mija ich jadący rowerem niemiecki żołnierz. Przejeżdża w odległości kilkudziesięciu kroków. Nic nie widzi, nic nie słyszy. Pedałuje spokojnie.

Zniknął. Idą dalej. Wschodzi księżyc. Z minuty na minutę robi się jaśniej.

Zapowiada się cudowna noc. W księżycowej poświacie Zośka dostrzega wyraźne zarysy twarzy swych najbliższych towarzyszy. Ten Długi wzrostem przypomina Glizdę-Alka. Nie, jest trochę niższy. I nie taki radujący się życiem, jak Alek.

Za to Maciek - ma zupełnie ten sam typ odwagi co Alek. Cóż za szaleńcy! Andrzej Morro? Drugiego takiego jak Rudy już nigdy nie będzie, ale - Morro ma jednak w sobie coś z Rudego. To jego „swędzenie mózgu”... Rudy... Rudy... - Daj jabłko, w gardle mi zaschło - mruczy do Długiego. Długi podaje Zośce jabłko. Ten je... W świetle księżyca rysują się

wyraźnie kontury pierwszych chat. Tu gdzieś musi być jar, gdzie przeczekają ostatek czasu. Czasu tego jest „jak lodu”. Wyprawa dobrze przygotowana przebiega w spokoju i ładzie. Czarnocin się nie powtórzy! Jar - to podstawa wyjściowa do natarcia. Na skraju wsi, o - tam, w tym wielkim drewnianym baraku. mieści się posterunek żandarmerii. Zośka z dwoma dziesiątkami ludzi poprowadzi natarcie. Andrzej Morro będzie w ubezpieczeniu. Obie grupy wchodząc do jaru, oddzielają się, zalegają obok swych dowódców, czekają, jest jeszcze czas. Z mroku wyłaniają się sylwetki dwóch zwiadowców i zbliżają się do Andrzeja Morro. - Wszystko w porządku. Śpią, jest ich dziesięciu czy dwunastu. Wszyscy w baraku. Wartownik kręci się, wchodzi i wychodzi z domu. Uzbrojony w karabin. Zośce błyszczą oczy. Maćkowi bielą się w uśmiechu zęby. Zapowiada się „gładka robota”.

Dochodzi północ. Już pora.

Andrzej Morro podchodzi do Zośki, daje znak. Zośka unosi się, za nim jego ludzie. Każdy od dawna wie, co ma robić. Zośka wyjmuje colta, podaje Andrzejowi Morro dłoń i wspina się ku górze, na pole, poza jar. Ludzie za nim, w odstępach sekcjami. Cudowna noc... Drzewa, pola, łąki, niedaleko chałupy - wszystko w blasku! Ostrożnie skradają się polami, wybierając miejsca zacienione przez krzaki i drzewa. Półzaciemnione okna na posterunku świecą jak latarnia morska, przyciągają jak magnes. Coraz to widoczniejsze, coraz bliższe, hipnotyzują.

Ostatnie instrukcyjne ruchy ramienia, ostatni szept rozkazu. Dalej nie można - już tylko kilkadziesiąt kroków dzieli od wrogów. Po werandzie wolno chodzi wartownik. No, w imię Boże, zaczynamy! Zośka krótko błyska latarką.

Jeden z młodych ludzi unosi się z ziemi, robi zamach ramieniem - i pada.

Kilogramowy granat - filipinka - wali pod płot baraku. Sekunda ciszy i .. Błysk!

Płomień! Potężny huk! Dym i kurz... Wybuch - to przerażenie wrogów, wybuch - to znak do szturm. Powinni się zerwać, pędzić, strzelać! Nikt się nie rusza... Są oszołomieni potęgą wybuchu. Przywarli do ziemi jak urzeczeni. W łomocie serca - bezwolni... W izbie - wrzask. W oknie miga hełm wartownika z karabinem. Jasne pioruny! Ten śmiertelny bezwład chwili kryzysu... To samo co pod Arsenalem i w Celestynowie! - Naprzód! - wrzeszczy Zośka nienaturalnym głosem i oderwany od ziemi pędzi ku furtce. Odrętwienie znikło. Zerwał się Maciek, pędzą inni.

Furtka! Zośka kopie nogą drzwi, skacze na próg, czując za sobą tupot dziesiątka stóp towarzyszy broni. Strzał z okna! Wali coś w pierś! Zapiera oddech...

Jak cugłami szarpnięty koń, wpiera się Zośka stopami w deski werandy i powoli skręca półobrotem. Słania się ku ścianie. A obok, w czującym zwycięstwo pędzie przebiegają

jego ludzie, wpadając do izb. Strzał po strzale... Gęsto... Wrzaski strachu i wybuchowe krzyki bitewnego upojenia... Głosy stają się coraz dalsze, coraz cichsze... W głowie wzmaga się szum, przed oczyma blaski i cienie. Czy to się zbliża postać zwycięskiego Maćka, czy też idzie szaleniec Alek? Nie... To Długi szybko nadchodzi od pola, Alek, czy Długi? Rudy! Rudy! To na pewno on...

Złocista, rozwichrzona czupryna - to on! Nareszcie znów razem, w walce.

Kochany... Teraz.. ja... ranny... Bezsilne, omdlałe ciało osuwa się spod ściany ku ziemi... Zdobycie posterunku żandarmerii w Sieczychach było jednym z najpiękniejszych zwycięstw Zośki. Całkowicie udana akcja. Tylko jeden człowiek z całego polskiego oddziału przelał w tej bitwie krew: Zośka. Kończy się w tym miejscu opowieść, choć walka toczy się dalej. Nieubłagana sprawiedliwość powoli, lecz nieodwołalnie zbliża karzącą dłoń ku gardłom zbrodniarzy świata. We krwi i męce tworzenia rodzi się polski świat Jutra, zamglony chaosem chwili. Walka trwa. Trzeba przerwać tę opowieść. Opowieść o wspaniałych ideałach BRATERSTWA i SŁUŻBY, o ludziach, którzy potrafią pięknie umierać i PIĘKNIE ŻYĆ.

Warszawa, kwiecień 1944 r.

## UWAGI

SZARE SZEREGI - kryptonim harcerstwa męskiego, walczącego w konspiracji w latach 1939-1944 roku. Szare Szeregi zorganizowały się z czasem w trzy warstwy: najstarsi służbą i wiekiem, najbardziej wyrobieni tworzyli Grupy Szturmowe (GS), przeznaczone do dywersji bojowej i do partyzantki. Bojowa Szkoła (BS) - tworzyła warstwę „średnią”, pełniącą służbę wojskową, głównie na różnych odcinkach łączności. Wreszcie Zawisza - to najmłodszy wiekiem, których ćwiczenia i zbiórki najbardziej się zbliżały do przedwojennych harcerskich ćwiczeń i zbiórek. Grupy GS i BS wchodziły w skład Armii Krajowej, zachowując w ramach AK swą autonomię harcerską. Z czasem utarł się zwyczaj obejmowania nazwą Szare Szeregi także organizacji harcerek z okresu konspiracji. WAWER - konspiracyjna organizacja Warszawy z lat 1940 do 1944, której celem była akcja Małego Sabotażu (napisy, nalepki, rysunki na murach, gazowanie lokali, wybijanie szyb, ulotki, afisze, flagi narodowe, szykany wobec kanałii itd.). Mokotów, jeden z pięciu okręgów, na jakie podzielona została w Wawrze stolica - obsadzony był przez kilka drużyn Szarych Szeregów - między innymi jeden z czterech rejonów Mokotowa obejmowała w latach 1941 do 1942 grupa Zośki. Prócz Mokotowa Szare Szeregi współdziałały z Wawrem w jednym rejonie Pragi oraz w powiecie warszawskim. Nazwa organizacji - Wawer - wiąże się z nazwą miejscowości podwarszawskiej, w której okupant dokonał pierwszej w rejonie stolicy masowej zbrodni, mordując w grudniu 1939 roku ponad stu ludzi wywleczonych z domów. W odczuciach ludności Warszawy nazwa ta wyrażała nienawiść do hitlerowskich zbrodniarzy. BUKI - jest to nazwa fikcyjna, nadana przez autora zespołowi harcerzy 23 Warszawskiej Drużyny Harcerzy przy gimnazjum i liceum Stefana Batorego (tzw. Pomarańczarnia - od pomarańczowego koloru, wybranego przez drużynę na swą barwę). Buki to ta grupa Pomarańczarni, która na wiosnę 1939 roku ukończyła szkołę, tworząc żywą i zwartą gromadę. PET - nieliczna, lecz na starych tradycjach oparta organizacja młodzieży szkolnej „Przyszłość”, wywodząca się z założonego w 1886 roku z inicjatywy Zygmunta Miłkowskiego ZETu (Związek Młodzieży Polskiej). Warszawska grupa PETu zetknęła się z Szarymi Szeregami na terenie Małego Sabotażu (w Wawrze), a w roku 1942 włączyła się całkowicie w Szare Szeregi, dając swych najlepszych ludzi przede wszystkim do Grup Szturmowych. ZOŚKA - pseudonim Tadeusza Zawadzkiego, harcmistrza, drużynowego 23 WDH w czasie wojny. Urodzony 24 stycznia 1921.

Poległ 20 sierpnia 1943 pod Sieczychami. Odznaczony Virtuti Militari 5 klasy i

dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Był komendantem rejonu Mokotów Górny w organizacji Wawer. Był pierwszym komendantem GS na terenie stolicy, podporucznikiem AK. Jego imieniem nazwany został batalion GS, który okrył się sławą bojową w najcięższych walkach Powstania Warszawskiego, wraz z innym batalionem GS - „Parasol” oraz z oddziałami harcerskimi „Wigry”, „Aniela” etc.

ALEK (w poprzednich wydaniach Kamieni zwany fikcyjnym imieniem Wojtek) – Aleksy Dawidowski, podharc mistrz, członek podziemnej organizacji Wawer, dowódca drużyny GS, sierżant podchorąży AK, pierwszy z GS, który udekorowany został krzyżem Virtuti Militari. Urodzony 3 listopada 1920 roku, zmarł z ran dnia 30 marca 1943 roku. Koledzy nazywali go najczęściej Glizdą ze względu na jego „długi” wzrost.

Jego imieniem „Alek” nazwany został pluton GS. RUDY (w pierwszych wydaniach Kamieni zwany fikcyjnie Czarny) - pseudonim Jana Bytnara, harcmistrza, członka podziemnej organizacji Wawer, dowódcy plutonu GS, podporucznika AK. Urodzony dnia 6 maja 1921 roku, zmarł na skutek skatowania przez gestapo dnia 30 marca 1943 roku. Odznaczony Krzyżem Walecznych. Jego imieniem „Rudy” nazwana została kompania GS w batalionie „Zośka”. Kamienie na szaniec są we wszystkich szczegółach oparte na rzeczywistych faktach. Są dokumentem, któremu nadano formę opowieści. W szóstym wydaniu Kamieni; rozszerzono opis walki Felka, Andrzeja Grubego i Maćka, stanowiącej ostatni akt nieszczęsnej akcji wysadzania mostu pod Czarnocinem. Dopiero teraz wyszły na jaw szczegóły tej walki. Tym ważniejsze są one, iż tłumaczą, dlaczego jeden z plutonów batalionu „Zośka” nazwany został „Felek”. Dalsze losy młodzieży Grup Szturmowych (w. dywersji i Powstaniu Warszawskim) autor przedstawił w książce „Zośka i Parasol” wydanej przez „Iskry”. Ponadto autor opracował Powojenne losy byłych żołnierzy batalionu ZOŚKA (Rocznik Warszawski t. X. Warszawa 1971), zaś Andrzej Tymowski napisał: 25 lat potem - współczesne losy dziewcząt i chłopców z PARASOLA (tygodnik „Polityka” nr 22 (587) z 1 VI 1968).

## NOTA EDYTORSKA

Pierwsze wydanie Kamieni na szaniec ukazało się w lipcu 1943 roku, zaopatrzone było ono w podtytuł Opowiadanie o Wojtku i Czarnym; Jako autor figurował Juliusz Górecki. Taki pseudonim miał swoje głębsze uzasadnienie: imię Juliusz wybrał Kamiński na pamiątkę Juliusza Dąbrowskiego, swego serdecznego przyjaciela, zamordowanego przez Niemców w 1941, nazwisko Górecki na pamiątkę lat spędzonych w Górkach Wielkich. Nakład wynosił 2000 egzemplarzy, nakładcą był KOPR. Okładkę formatu 16,5 X 11,5 cm wykonał Stanisław Kunsteter; była ona zarysowana ceglami o szarej barwie, na całej przestrzeni namalowana była duża, czarna kotwica.

Pierwsza edycja książki liczyła 68 stron. Doprowadził w niej autor akcję do śmierci Rudego, który ze względów konspiracyjnych nosił w książce fikcyjne imię Czarny, Zośka nazywał się Staśką, Alek - Wojtkiem, Czarny Jaś – Jankiem Brunetem, a Zeus występował jako Zbigniew Chałupczyński, podobnie zaszyfrowane zostały wszystkie inne postaci. Wydanie drugie powstało po śmierci Tadeusza Zawadzkiego, w czerwcu 1944. Okładka była taka sama jak poprzednio, podobnie format. Wydawcą był Podziemny Dom Wydawniczy M.K i S-ka, ilustracje wykonał Stanisław Tukan, nakład wynosił również 2000 egzemplarzy, podtytułu nie było.

Pojawiły się w nim dwa dalsze rozdziały: Celestynów i Wielka gra, napisane pod wpływem śmierci Zośki. Trzecie wydanie Kamieni na szaniec pojawiło się na półkach księgarskich w wolnej Polsce, w roku 1946 - jego kształt stylistyczny można JUŻ uznać za ostateczny, zresztą w porównaniu z pierwodrukiem wszelkie zmiany autorskie były zupełnie drobne i miały charakter jedynie korektor stylistycznych. W tym wydaniu wszyscy bohaterowie występują już pod prawdziwymi nazwiskami i noszą autentyczne, konspiracyjne pseudonimy. Kolejne edycje książki ukazywały się w latach: czwarte - 1956, piąte - 1957, szóste - 1958. W wydaniu szóstym wprowadził pisarz jedną, istotną zmianę, różniącą tę edycję od poprzednich, mianowicie w rozdziale Wielka gra rozszerzył opis wydarzeń po zakończeniu akcji wysadzania mostu pod Czarnocinem. Wydania następne są JUŻ bez jakichkolwiek zmian: 1968 - wydanie siódme, 1972 - ósme, 1978 - wydanie dziewiąte, dziesiąte w 1982. Łączny nakład książki we wszystkich wydaniach wynosi około 280000 egzemplarzy. Były także dwie reedycje Kamieni na szaniec na emigracji, obie w 1945, jedna w Londynie, druga we Włoszech, oraz dwa tłumaczenia na języki obce. W 1945 ukazał się angielski przekład książki zatytułowany Stones for the Rampart, a w 1948 czeski przekład;



Hradba statečnosti. Podstawą niniejszej edycji jest wydanie z roku 1978, to znaczy ostatnie wydanie przygotowane do druku za życia autora. Nie ingerowano w emocjonalnie nacechowaną interpunkcję ani w składnię autora, jedynie w dwóch wypadkach usunięto rażące błędy stylistyczne, mające charakter lapsus calami.